

**Prof. Danuta Hübner
i Adrian Zandberg**
Komu pieniądze z Unii

Prof. Mariusz Ratajczak
Możemy starzeć się
wolniej

Prof. Janusz Mierzwa
Spiski i skrytobójstwa w II RP

**Emigracja o powstaniu
warszawskim**

RODZINA À LA PiS



I że Cię nie opuszczę...

26

2020

Jazz na Starówce

Międzynarodowy
Plenerowy
Festiwal

4 lipca - 29 sierpnia 2020

Warszawa, Rynek Starego Miasta godz. 19⁰⁰

www.jazznastarowce.pl

Organizator

Patroni wyjątkowego m. st. Warszawa

Stowarzyszenie „Jazz na Starówce” – Fundacja Kultury i Dziedzictwa Narodowego
(Stowarzyszenie „Jazz na Starówce” jest zarejestrowanym stowarzyszeniem, którego siedzibą jest ul. Miodowa 10, 00-610 Warszawa, NIP: 142-225-11-11, REGON: 142225111)

Patroni Medialni

Partnerzy

JAZZ ART
FUNDACJA



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Instytut muzyki i tanca
III T

WARSZAWA

ZAIK

COURTYARD

JAZZ

KULTURA

TVP3

WARSZAWA

JAZZ

JAZZ FORUM

WARSZAWA

JAZZ

JAZZ

JAZZ

JAZZ

CYTATY

**PROF. KRYSZYNA
SKARŻYŃSKA,**

psycholog społeczna, PAN

*Nie widziałam Dudy
w żadnej poważnej
dyskusji z osobami
myślącymi inaczej niż on.
„Polityka”*

DR AGNIESZKA GRAFF,
wykładowczyni na UW

*Każdy i każda z osobna
jako się trzyma,
ale jako zbiorowość
jesteśmy chorzy.
„Wysokie Obcasy”*

**GRO HARLEM
BRUNDTLAND,** b. premier

Norwegii, b. dyrektor
generalna WHO

*Niekiedy wolność
osobista stoi
w drugiej kolejności za
bezpieczeństwem ogółu.
„Forum”*

TOMASZ TERLIKOWSKI,
publicysta katolicki

*Kościół jest już młodym
ludziom do niczego
niepotrzebny.
„Polska The Times”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Budżet państwa kasą partii

Kilka dni świętowania bądź leczenia ran. I zaczęła się nowa kampania wyborcza. Proszę się nie martwić, że piszę te słowa powalony chorobą. Najbliższe otoczenie też nie mówi, że coś jest ze mną nie tak. Pisząc o nowej kampanii, przypominam tylko starą prawdę, że jeśli chcesz wygrać następne wybory, musisz wystartować od razu po tych, które opijasz z radości lub żalu. Kto nie zna bądź nie rozumie tych reguł, powinien dać sobie spokój z polityką. Z kalendarza wyborczego wynika, że najbliższe powinny być za trzy lata i dwa miesiące. Powinny. Ale do tej daty lepiej za bardzo się nie przywiązywać. Przyspieszone wybory parlamentarne mało kogo by zdziwiły. Z rozwaleniem Mazowsza prawica nie będzie tak długo czekać. Jedyne, co mogłoby powstrzymać armię pisiewiczów gotową do skoku na posady, to wielka mobilizacja przeciwników traktowania polskiego państwa jako łupu. Władza tak silnie uzależnia, że wielu polityków dla jej utrzymania gotowych jest na wszystko. Widzieliśmy to jak na dłoni w kampanii prezydenta Dudy. Rekordowej pod względem sięgania do zasobów finansowych państwa. Widzieliśmy pełne i dowolne korzystanie z budżetu państwa na wydatki partyjne. Kasa państwa stała się kasą trzech rządzących partii. Tu nie ma żadnych reguł.

Gdziekolwiek pojadę, słyszę o sobiepaństwie i decyzjach, które nie mieszczą się w głowie. I wszędzie ten sam refren: owszem kradną, nawet bardziej niż inni, ale jako pierwsi dzielą się z ludźmi.

Opozycja, a zwłaszcza lewica, musi wreszcie pojąć, że bez zrozumienia powodów, dla których tylu ludzi poparto Dudę, nie ma większych szans na powrót do władzy. Zamiast odsądzać tych wyborców od czci i wiary, mądrzej byłoby pomyśleć, jak się z nimi porozumieć.

Rządząca prawica szybko określiła swoje cele na najbliższe lata. Spróbuje odbić opozycji te przyczółki, gdzie Duda wyraźnie przegrał. Musi to zrobić, bo następnym razem może jej zabraknąć szczęścia i cała konstrukcja się wywróci. Dlatego uwaga polityków prawicy i jej struktur od gmin po województwa będzie skierowana na odbudowywanie wpływów w samorządach z równoległym marginalizowaniem tych, które już są dla PiS stracone. No i młodzież. Największy ból głowy prezesa i jego zaplecza.

Z planami opozycji jest dużo gorzej. Wiemy tylko, że mają być. A na lewicy, która zaliczyła największą w historii klęskę? Trudno tam o ślad refleksji, dlaczego jej wyborcy powędrowali w innym kierunku.



NOWOŚĆ!

empik.com

ma w ofercie nie tylko
nasze e-booki, ale też
elektroniczne wydanie
PRZEGLĄDU!

SPRAWDŹ

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 To nie będzie łatwy pieniądź**
– rozmowa z prof. Danutą Hübner
- 11 Krok w dobrym kierunku, ale...**
– rozmowa z Adrianem Zandbergiem
- 14 I że cię nie opuszczę aż...**
sąd kościelny nas nie rozłączy
Śluby ośmieszane przez unieważnienie
- 18 Nie tylko Kurski**
Kolejne małżeństwa celebrytów
- 19 Hera, koka, hasz, LSD**
Nowy narkotyk, silniejszy niż morfina
- 50 Uwaga na zmię**
Czy jest się czego bać

HISTORIA

- 24 Powstanie nie miało żadnego sensu**
Krytyczna ocena emigracji
- 29 Bunt społeczny w II RP**
– rozmowa prof. Januszem Mierzwą

ZAGRANICA

- 32 Jak zarobić na kwarantannie**
Wygrani pandemii
- 34 Mojito ma smak spokoju**
Wakacje na Kubie

NAUKA

- 36 Wiecznie młodzi i zdrowi**
dzięki szczęściu mikrometrom?
– rozmowa z prof. Mariuszem Ratajczakiem

OPINIE

- 39 Lucjan Pawłowski**
Fakty i mity troski o dobre powietrze
- 40 Sławomir Czapnik**
To nie jest kraj dla dobrych ludzi

KULTURA

- 42 Reżyser szary, zwykły, czasem naiwny**
– rozmowa z Pawłem Łozińskim
- 46 Echa pustych stadionów**
Piłka nożna do czytania
- 49 Culturalia**
- 66 Co mi w duszy gra. Chopinowi Duda-Gracz**

ZDROWIE

- 52 Glukometry do lamusa?**
Nowości w leczeniu cukrzycy

MEDIA

- 54 Telewizja Dziewcząt i Chłopców**
To były programy!

OBSERWACJE

- 56 Monika Krzyszkowska. Kamienica**
- 58 Sorry, no Spanish**
Nowi mieszkańcy Hiszpanii

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Budżet państwa kasą partii
- 13 Andrzej Romanowski**
Cudaczność
- 17 Jan Widacki**
Ach, co to był za ślub!
- 23 Roman Kurkiewicz**
Czy stać nas na wakacje od polityki?
- 35 Tomasz Jastrun**
Jak dopieścić lud?
- 45 Wojciech Kuczek**
Imitatorzy głosu



29
HISTORIA

BUNTY SPOŁECZNE W II RP

– rozmowa
prof. Januszem
Mierzwą

42
KULTURA



REŻYSER SZARY, ZWYKŁY, CZASEM NAIWNY

– rozmowa z Pawłem Łozińskim



56
OBSERWACJE

MONIKA KRZYSZKOWSKA. KAMIENICA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS



Prof. Agnieszka Chacińska
Naukowcy kontra rektor UW

Wakacje nad morzem
w dobie epidemii

Dr Tomasz Witkowski
Kłamstwo i strach
to paliwo polityki



✉ Duda z Kościołem, Kościół z Dudą

W numerze 30. PRZEGŁĄDU Jarosław Makowski pisze, że Andrzej Duda „nie kryje się ze swoją wiarą”. Jestem zdania, że to błędne stwierdzenie. Andrzej Duda nie kryje się ze swoją religijnością, a to duża różnica. Najlepszym komentarzem są słowa Jezusa z Ewangelii św. Mateusza: „...podobni jesteście do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są (...) wszelkiego plugastwa”.

Jan Szefermeh

✉ Kiedy niemożliwe staje się możliwe

Z czasów harcerskich utkwiło mi w pamięci powiedzenie: „Kto chce – szuka sposobów, kto nie chce – szuka powodów”. Dlatego z niejakim zażenowaniem czytam wyjaśnienia stołecznych urzędników o totalnej niemożności badania kierowców/motorniczych komunikacji miejskiej na okoliczność zażywania narkotyków. Tymczasem jest to norma (!) w przypadku pilotów linii lotniczych, a Kraków robi to od czterech lat. Wystarczy w umowie o pracę z kierowcą/motorniczym zawrzeć jego zgodę na badania i już. Przy czym narkotyki mają negatywne działanie zarówno po ich zażyciu, jak i wtedy, kiedy kierowca/motorniczy jest w stanie głodu narkotykowego, więc ich zażywanie kiedykolwiek w okresie zatrudnienia powinno skutkować zerwaniem umowy.

Małgorzata Żuber-Zielicz

f Za co przede wszystkim powinien przeprosić Andrzej Duda?

Za brak politycznej samodzielności oraz przykładanie ręki do fałszowania historii. Wspieranie kultu niektórych „żołnierzy

wyklętych” jest wielką niegodziwością, tym bardziej że prezydent RP o to samo ma żal do naszych sąsiadów! Panie prezydencie – czym różnił się bandytyzm sotni „Chrina” od bandytyzmu oddziału „Burego”?

Paweł Strączyk

To tak nie działa, że narozrabiasz i wystarczy przeprosić. Jeśli czuje się winny, niech zacznie to udowadniać czynem, a nie słowami.

Barbara Krzezińska-Sobczyk

To prezes powinien przeprosić połowę obywateli za Dudę.

Piotr Januszek

UWAGA NA EPIDEMICZNYCH OSZUSTÓW

Gdy odbieramy telefon i słyszymy po drugiej stronie płacz, pierwszą myślą będzie oczywiście, że komuś bliskiemu stała się krzywda. Odruchy serca lepiej jednak przyhamować, gdy ma się telefon stacjonarny. „Mamusiu, jestem w szpitalu w Niemczech, zaraziłem się koronawirusem”, chlapał w słuchawkę młody mężczyzna. Na pytanie, kim jest, podał odpowiednio nazwisko, zapewne korzystając ze starej książki telefonicznej. Drobną niedo-godność – trafił na osobę bezdzietną, ale cóż, ryzyko zawodowe. Czytelników przestrzegamy przed następną falą oszustw, na tę zarazę nie ma szczepionki.

ZDJĘCIE TYGODNIA

Protest pod siedzibą Ordo Iuris w Warszawie 24 lipca br. Wypowiedzenie postanowień antyprzemocowej konwencji stambulskiej, którego chce ta organizacja, to pierwszy krok do polskiej teokratycznej Republiki Gileadu i legalizacji przemocy domowej.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Moje ulubione miejsce na wakacje w Polsce to...

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI,
*literaturoznawca, redaktor naczelny
Polskiego Słownika Biograficznego*

Takie miejsca są trzy. Zawsze na pierwszym miejscu będą dla mnie Tatry, które uwielbiam i w których spędzam wakacje, odkąd skończyłem cztery lata; niestety, obecnie te piękne góry są zbyt zdeptane przez turystów. Od lat dorosłych moim ukochanym rejonem jest wschód Polski, gdzie znajduję spotkanie Zachodu ze Wschodem. Tam czuję się u siebie, dopiero gdy mam obok kościół rzymskokatolicki i cerkiew prawosławną lub unicką – do pełni szczęścia brakuje mi wówczas tylko synagogi, gdyż pamięć o tym, że te tereny zamieszkiwali także Żydzi, jest dla mnie bardzo ważna. Moje trzecie ulubione miejsce to Ziemia Zachodnie i Północne, choćby Gliwice i Stargard, gdzie z kolei poszukuję śladów niemieckich, na których trwaniu bardzo mi zależy. Na terenach dawnego Śląska, Prus Wschodnich czy Pomorza Niemcy przez 700 lat mieszały się z żywiołem słowiańskim, co stworzyło niepowtarzalną przestrzeń, w której Polak ma możliwość głęboko zanurzyć się w całości kultury europejskiej.

TOMASZ JASTRUN,
poeta, prozaik

Od jakiegoś czasu jeżdżę nad Bałtyk, do wsi między Łebą a Wejherowem. Znajduje się ona w odległości kilku kilometrów od plaży, dlatego nie ma w niej wielu ludzi, natomiast jest dużo gniazd bocianich – jednym słowem prawdziwa wioska. Zaletą tego miejsca są wspaniałe plaże, jedne z piękniejszych w Polsce, przy braku tłoku. Poza tym mój gospodarz, Kaszub, i jego kuracjusze mają podobne poglądy polityczne co ja, dzięki czemu wieczorami możemy omawiać sytuację w kraju i przeżywać te same emocje.

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO,
poetka, krytyczka literacka, pisarka

Moje ulubione miejsca wakacyjne w Polsce to zabytkowe uzdrowiska: Duszniki, Kudowa, Krynica – wszystkie z końcówką Zdrój. I właśnie ta końcówka zapewnia rozmaite atrakcje: od architektury z epoki (Krynica) po oryginalne parki zdrojowe (Kudowa), muszle koncertowe i dworek Chopina (Duszniki). Śmierdzące zgniłym jajkiem baseny lecznicze i pijalnie (Ślótwinia), legendy o słynnych hydroterapeutach – to wszystko składa się na dwuznaczną atmosferę tych miejsc: tro-

chę funeralną, trochę zabawną. I – ma się rozumieć – nostalgiczną, bo to tam Śląsk najchętniej jeździł na szkolne wycieczki, z których przywoziło się badziewne kubki słone i kryształ górski na rzemykach.

Czytelnicy PRZEGLĄDU



JANINA FRYKACZ

Gdzieś na odludziu, bez radia, tv, internetu. Byle mieć co czytać (książki), wodę i niezbędne artykuły spożywcze. Telefon też tylko do niezbędnego kontaktu.

EWA GOJAWICZYŃSKA
Wiejska chałupa.

MARIA ŁAKOMY

Dolny Śląsk albo Lubelszczyzna. Cudowne miejsca i fantastyczni ludzie.

ARTUR DARIUSZ PRZYCHODZEŃ

Bieszczady, Tatry i Karkonosze. Zdecydowanie poza sezonem wakacyjnym.

PAWEŁ STRĄCZYK

Obszar wzdłuż rzeki Oslawy i linii kolejowej 107. Polecam Łupków.

Not. Michał Sobczyk

To nie będzie łatwy pieniądz

Polska ma dostać z Unii prawie 160 mld euro.
Na co je przeznaczymy?

Rozmawia Robert Walenciak

Jeśli wierzyć premierowi Morawieckiemu, wynegocjował on podczas posiedzenia Rady Europejskiej gigantyczne pieniądze. I za chwilę Polska zostanie nimi zalana.

– Pieniądze, które Unia chce uruchomić, są rzeczywiście duże. Składają się na to dwa pakiety. Pierwszy to normalny budżet wieloletni, na okres 2021-2027 – 1,074 bln euro. Drugi to powołany z powodu pandemii Fundusz Odbudowy, czyli 750 mld euro do wydania w latach 2021-2024.

– Dla Polski od czasu wejścia do Unii bardzo ważne były dwie polityki – polityka spójności i polityka rolna. Z tego źródła otrzymywaliśmy największe europejskie wsparcie dla rozwoju. W obecnym projekcie obie te polityki mają mniejsze finansowanie. Dla Polski ta narodowa koperta z pieniędzmi jest o 20 mld euro mniejsza niż w latach 2014-2020. Uruchomienie specjalnego Funduszu Odbudowy zwiększa pulę środków. Oczywiście trzeba będzie zaakceptować warunki

PROF. DANUTA HÜBNER

– posłanka do Parlamentu Europejskiego. Była szefowa Kancelarii Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, była szefowa UKiE, pierwsza reprezentująca Polskę komisarz w Unii Europejskiej.



wartości europejskich – praworządności, praw człowieka, praw mniejszości. Istnieje świadomość tego, że kryzys covidowy bardzo zmienił świat. Pojawiły się zagrożenia dla wartości będących fundamentem demokracji liberalnej. Musimy dbać o wartości, na których będziemy budować postcovidowy świat. Na szczęście są one w Traktacie o Unii

ostateczny dokument, europarlament przyjął rezolucję, w której mówi, że nie może zaakceptować budżetu w takiej postaci, w jakiej zaproponowała go Rada, i proponuje negocjacje.

Co europosłom nie podoba się w budżecie?

– Po pierwsze, uważamy, że jest za niski. Zostały zmniejszone środki na inwestycje w obszarach, które są kluczem do przyszłości. A przecież budżet miał zrekompensować usunięcie wielu programów z Funduszu Odbudowy. Lista tych zredukowanych polityk jest długa. Są na niej m.in. zdrowie, reforma polityki energetycznej, gospodarka cyfrowa, kultura, badania naukowe, programy dla młodzieży, zarządzanie granicą zewnętrzną, a nawet obronność. No i ku zaskoczeniu PE dotyczy to także zmian klimatu. Parlament zamierza więc rozpocząć negocjacje. Chcielibyśmy w październiku móc zaakceptować poprawiony budżet, przywrócić status polityk, które wspierają długookresowe ambicje rozwojowe Unii.

Macie jakiś atut?

– Parlament Europejski ma ostatnie słowo w sprawie wieloletniego budżetu, poza tym uczestniczy w procesie decydowania o dochodach budżetowych. Rzadko opinia publiczna

Główne zadanie dla opozycji i obywateli to stanąć w obronie Polski samorządowej.

korzystania z nich. Na przykład jeśli chodzi o Fundusz Odbudowy – żeby otrzymać z niego środki, trzeba będzie przygotować specjalny plan reform i inwestycji, który będzie oceniany, a potem jego wdrażanie będzie monitorowane. Planowane reformy i inwestycje, finansowane ze środków europejskich, będą musiały się wpisywać we wspólne priorytety Unii.

Te priorytety to ochrona środowiska i związane z tym inwestycje.

– A także rozwój najnowocześniejszych technologii, związanych z cyfryzacją, i budowanie konkurencyjnej gospodarki europejskiej. Unia zdecydowała też, że nienegocjowalnym obowiązkiem jest poszanowanie

Europejskiej, przyjętym jednomyślnie i ratyfikowanym przez wszystkie parlamenty narodowe.

Parlament proponuje negocjacje

W jakim stopniu decyzje Rady Europejskiej dotyczące pieniędzy na najbliższe lata są wiążące?

– Na razie mamy decyzję Rady – i to jest dokument polityczny. W najbliższych miesiącach musi on być przekształcony w dokument prawny, który w odniesieniu do budżetu wieloletniego zostanie przekazany do Parlamentu Europejskiego. Ten zaś powinien wyrazić swoją zgodę lub go odrzucić. Nie czekając na ten

dowiaduje się, skąd się biorą środki na finansowanie wspólnego budżetu, który, pamiętajmy, stanowi odrobinę więcej niż 1% produktu narodowego wytwarzanego w Unii. Są to składki członkowskie, ich wysokość jest powiązana z PKB, oraz wpływy pochodzące trochę z cef i trochę z VAT. A ponieważ Unia zamierza zaciągnąć na rynku bezprecedensową pożyczkę w wysokości 750 mld euro na finansowanie Funduszu Odbudowy, musi mieć zabezpieczone środki, by wykupić obligacje i pokryć koszty długu. Ich realność ocenia rynek i agencje ratingowe. Te środki można pozyskać przez podwyższenie obecnych składek, można zmniejszyć wydatki, można dalej pożyczać. Ale można też uruchomić nowe źródła dochodów własnych. I obecnie, po raz pierwszy w historii, tak ma się zdarzyć. Pierwszy nowy dochód własny przewidziano już od 1 stycznia 2021 r.

Co to będzie?

– Podatek od jednorazowych plastików. Zresztą wszystkie pomysły na nowe dochody własne obejmują jakąś formę opodatkowania. W tych jednomyślnie przyjętych konkluzjach spotkania szefów państw i rządów jest lista i są daty pojawienia się tych nowych podatków. Oczywiście obowiązek przygotowania aktów prawnych spoczywa na Komisji, która będzie się konsultowała z Parlamentem Europejskim. Decyzja Rady wymaga jednomyślności, a także ratyfikacji przez parlamenty narodowe. Kolejny podatek, którego wejście planowane jest od wiosny 2021 r., to graniczna opłata od importowanych produktów wytworzonych bez respektowania europejskich standardów środowiskowych. To bowiem oznacza niższe koszty i nieuczciwą konkurencję. Oczywiście musimy znaleźć formułę zgodną ze Światową Organizacją Handlu. Inne możliwości zwiększenia dochodów własnych to reforma systemu emisji dwutlenku węgla, a mianowicie włączenie do niego lotnictwa i transportu morskiego. Jest także pomysł na podatek od usług cyfrowych i transakcji finansowych.

Kto będzie wydawał te pieniądze?

Porozmawiajmy o pieniądzach, które trafią do Polski. Ocenia się, że będzie to ok. 160 mld euro.

– Tak to wygląda. Choć pamiętajmy, że na razie jesteśmy na etapie ogólnego rozdziału środków. W szczególności jest propozycja przyjęta politycznie, obejmująca to, co ma pójść do kopert narodowych. W naszym przypadku to pieniądze – ok. 100 mld euro – na politykę spójności i rolną. W ramach Funduszu Odbudowy możemy otrzymać 32 mld euro pożyczek i 27 mld euro grantów. Co razem daje ok. 159 mld euro. To nie będzie łatwy pieniądz.

Jakie ciała będą oceniały te projekty, a później je monitorowały?



Teraz do gry wejdzie Parlament Europejski. Nz. przewodniczący: Komisji Europejskiej – Ursula von der Leyen, Rady Europejskiej – Charles Michel i Parlamentu Europejskiego – David Sassoli.

– Nie będzie rewolucyjnych zmian, jeśli chodzi o środki z budżetu wieloletniego, chociaż wszystkie szczegółowe akty regulacyjne będą negocjowane. Nie rozmawiamy jeszcze w Polsce o naszej zdolności wykorzystania tych środków. Myślę, że kluczową sprawą będzie rola samorządów. Ostatnie lata w Polsce nie były okresem sprzyjającym samorządom. Władza centralna ograniczała ich rolę, traktowała je niemal jako ekspozyturę obcych sił. Wdzieliśmy to zresztą podczas kampanii prezydenckiej. Ale mam nadzieję, że samorządy się obronią.

To ważne?

– Zajmowałam się tym przez lata i wiem, że najlepiej środkami europejskimi gospodarują właśnie samorządy. Polska była pionierem we wprowadzaniu na większą skalę odpowiedzialności marszałków za wykorzystanie środków europejskich na rozwój. I ubolewam nad tym, że dzisiaj samorządy są pod tak silną presją władzy centralnej. Myślę, że będzie to teraz główne zadanie dla opozycji

i obywateli – żeby stanąć w obronie Polski samorządowej. To była – moim zdaniem – najważniejsza reforma polskiej transformacji, uruchomiła ona pokłady społecznej aktywności. Oczywiście pieniądze europejskie nie są rozrzucane z helikoptera. Zawsze istniała warunkowość ich wykorzystania. Tym razem Unia Europejska – poprzez swoje rządy – zdecydowała o przeznaczeniu 30% na wydatki, które wiążą się z ochroną klimatu. Oprócz tego generalnie wszystkie projekty, które są finansowane ze środków europejskich, muszą speł-

niać kryteria środowiskowe. To znaczy, że nie mogą być przeznaczane na inwestycje pogarszające sytuację środowiska.

A oni grozili wetem

Czy Polska jest przygotowana na te wszystkie bariery, które stawia Unia? Albo zachęty – zależy, jak na to się patrzy.

– Jest np. fundusz, który ma wspomagać odchodzenie od paliw kopalnych. Został rozdysponowany na regiony, które muszą się restrukturyzować. Niestety, w konkluzjach Rady – a więc w decyzji szefów państw i rządów, w tym polskiego – został radykalnie ograniczony. Polska może dostać z niego 7 mld euro, choć wcześniej zakładano, że byłaby to znacznie większa suma. Ale i tych 7 mld euro nie będziemy mogli wykorzystać! Otóż wcześniej Rada Europejska przyjęła zasadę, że państwo, które nie zadeklaruje, że przyjmuje cel dojsca do neutralności klimatycznej

► do roku 2050, może sięgnąć jedynie po połowę tej sumy. Polska ma więc teoretycznie do dyspozycji 7 mld euro, natomiast w związku z tym, że nie zadeklarowała neutralności klimatycznej, dostanie 3,5 mld euro. Konsekwencje poniosą nie tylko regiony podejmujące wysiłek odchodzenia od paliw kopalnych, ale i cała Polska. Ostatni dzwonek na zrezygnowanie z takiego myślenia i działania.

A sprawa praworządności? Jak to wygląda z perspektywy Brukseli?

– Mijamy świadomość całej sytuacji – Polska i Węgry są członkami Unii i wiedzą, że nikt ich z niej nie wyrzuci. Wydaje mi się, że sięgnięcie w takim momencie do zagrożenia wetem właściwie wobec całego budżetu na najbliższe siedem lat i wetem wobec Funduszu Odbudowy było nieprzychylnością wobec innych. Pokazało, że ci, którzy nie przestrzegają europejskich wartości, mają wielką władzę, zbudowaną na negocjowaniu czegoś, co jest nienegocjowalne. Uświadomiło wszystkim, jak bardzo prawo weta paraliżuje funkcjonowanie Unii w sytuacji, kiedy decyzji nie można odkładać na jutro. Dlaczego? Bo Europa jest w momencie kryzysu i te środki są potrzebne, żeby była praca, żeby były dochody, żeby firmy nie upadały, żebyśmy mieli pieniądze na szczepionki i na leki.

To znaczy, że polska władza, żeby móc robić z sędziami, co zechce, groziła wetem? Że cały plan ratowania Unii zostanie wyrzucony w powietrze?

– Tak. Choć wstępując do Unii, zobowiązaliśmy się, że będziemy respektować fundamentalne wartości. Ta sytuacja uświadamia wszystkim, że należy ograniczyć zasadę jednomyślności, a może i zlikwidować. To niechlubne zdarzenie sprawi, że w trakcie konferencji o przyszłości Unii, którą zainauguruje niemiecka prezydencja, temat jednomyślności pojawi się w debacie.

Polskie potrzeby są ogromne

Na co Polska powinna przeznaczać pieniądze, które dostanie z Unii?

– Głównie cele są w pewnym stopniu wymuszane poprzez konstrukcję funduszy europejskich. To, co się wiąże z klimatem, co się wiąże z innowacyjnością, z cyfryzacją – jest na pierwszym miejscu. Czyli odbudowa

gospodarki po obecnej recesji zgodna z długookresową wizją Europy przyjaznej klimatowi, wrażliwej społecznie, konkurencyjnej globalnie i szanującej demokrację i praworządność. Te cele miękkie, związane z odpowiedzialnością za szeroko rozumianą jakość życia nas, obywateli, będą w postcovidowej rzeczywistości szczególnie ważne i powinny nas bardzo interesować.

Czyli?

– Po pierwsze, inwestowanie w edukację. Polskie potrzeby są ogromne. Przeszliśmy niedawno przez eksperyment nauczania zdalnego i już wiemy, jak wiele trzeba inwestycji, żeby szkoły mogły działać w takich sytuacjach. Zobaczyliśmy skalę wykluczenia społecznego jeszcze na poziomie edukacji szkolnej. Nie mogę także przestać myśleć o zamiarze wypowiedzenia konwencji stambulskiej. To policzek wymierzony kobietom! Ale skutki nie ograniczają się tylko do ich praw. I nie zapomnijmy o kulturze! To również jeszcze zadanie dla Parlamentu Europejskiego, żeby przywrócić w negocjacjach środki na kulturę. Myślę też, że w Polsce europejski fundusz społeczny powinien być w większym stopniu wykorzystany do poprawienia sytuacji tych, którzy dopiero będą wchodzić na rynek pracy. Poza tym – wydatki na badania naukowe! Bo jeśli chodzi o konkurencyjność gospodarki, która wymaga inwestycji w badania, w naukę, jesteśmy na końcu listy państw członkowskich. Powinniśmy także pamiętać o pomocy dla organizacji pozarządowych. To znowu wyzwanie dla parlamentarnych negocjatorów, by przywrócić środki na poziomie europejskim, skoro dla rządu troska o społeczeństwo obywatelskie nie jest ważna.

Bo władza tych organizacji nie kontroluje. Poza tym często patrzą jej na ręce, stoją na gruncie wartości europejskich.

– Pieniądze europejskie to nie jest jakiś garniec złota, który władze wykopały i mają dla siebie. To są nasze pieniądze, wszystkich podatników. Pilnujmy więc, jak są wydawane. I to jest też rola organizacji społecznych, które powinny patrzeć rządzącym na ręce. Budujemy społeczeństwo obywatelskie, otwarte, demokratyczne.

Robert Walenciak

Rozmawia Robert Walenciak

Jak tam w Sejmie? Jesteście pod wrażeniem sukcesu, który ogłosił premier?

– Nadymanie się premiera Morawieckiego ma drugoplanowe znaczenie. Patrzę na efekty euroszczytu realnie – dobrze, że udało się na poziomie unijnym dogadać w sprawie zwiększenia wydatków. Bo suma budżetu unijnego i Funduszu Odbudowy jest większa, niż mogliśmy się spodziewać jeszcze rok temu. Kiedy parę lat temu Janis Warufakis mówił, że jeśli Unia przy okazji kolejnego kryzysu gospodarczego ma się nie rozjechać, to takie publiczne fundusze muszą powstać, był w Brukseli traktowany jak *outsider*. Przedstawiciele chadeckich elit, centroprawica, która tam realnie rządzi, prychnęła i przewracali oczami. Dziś widać, czyje prognozy były słuszne. Żeby przejść przez kryzys suchą stopą, my wszyscy – i w Polsce, i w innych krajach – potrzebujemy większego budżetu Unii Europejskiej. I więcej odpowiedzialności Unii.

Czyli z wyników szczytu jest pan zadowolony?

– Blisko mi do tego, co napisał, komentując je, Pablo Iglesias, wicepremier Hiszpanii z Podemos. To nie jest porozumienie idealne, gdyby w Europie była większość rządów z lewicy, gdyby Europa wyglądała politycznie tak, jak wygląda Półwysep Iberyjski, budżet byłby ambitniejszy. Natomiast w porównaniu z tym, na co można było liczyć rok czy dwa lata temu, jest to krok w dobrym kierunku. Oczywiście gdy zejść na poziom szczegółów, to w obecnym kształcie tego porozumienia są też rzeczy niepokojące.

Jakie?

– Jeżeli porównamy propozycję, z którą wyszła Komisja Europejska, i spojrzymy na efekt szarpaniny na szczycie, zobaczymy, że parę ważnych dziedzin zostało potraktowanych po macoszemu. W Europie jest ciągle za mało myślenia o sprawach rozwojowych, o przyszłości. Widać to wyraźnie w nakładach na naukę, na badania i rozwój. Dokonane tam cięcia odbijają się na zdolności Europy do konkurowania z Chinami czy z USA. Jeżeli zaciskamy pasa naukowcom, jeżeli ograniczamy pieniądze, które idą na instytuty naukowe, zapłacimy za to za kilka lat.

Krok w dobrym kierunku, ale...

My?

– Także my. Z tych źródeł finansuje się Instytut Chemii Organicznej, Instytut Chemii Fizycznej, Instytut Podstawowych Problemów Techniki... Od pracy intelektualnej, którą tam się wykonuje, zależy nasz dobrobyt za 10-20 lat. Cięcia w wydatkach na naukę oceniam bardzo negatywnie. Jeśli Mateusz Morawiecki chwalił się, że negocjował w kuliach kształt tego porozumienia, to akurat tu nie ma czym się chwalić. Zabieranie pieniędzy nauce jest złe dla Europy i złe dla Polski. Potrzebujemy tych europejskich funduszy na naukę, pewnie nawet bardziej niż inne kraje. Takie niemądre cięcia są też w innych przyszłościowych wydatkach.

Na pewno w cyfryzacji!

– Owszem. Tu dla odmiany będą konsekwencje w funkcjonowaniu usług publicznych. A w Polsce musimy w to inwestować, żeby dostęp do nich był bardziej wyrównany. No i sprawą zupełnie nieodpowiedzialną jest praktyczne zarżnięcie wspólnych działań zdrowotnych. To miało być 10 mld euro, m.in. na to, żeby przygotować nasz kontynent na duże kryzysy medyczne. Żeby w przypadku epidemii tej skali co koronawirus Europa nie była znów zaskoczona – chodzi o zapasy, o zdolność do prac nad szczepionką. A ten program został praktycznie zlikwidowany. To dość nieodpowiedzialne.

Europa nie ma talentu do przegotowania. Spójrzmy na losy Funduszu Sprawiedliwej Transformacji, który miał wspomagać odejście od węgla.

– Tu wyparowała większość funduszu. I to zabiło przede wszystkim nas. Polska uzyskuje dziś energię z węgla, bylibyśmy głównym beneficjentem tych środków. Na drodze jednak stało skąpstwo paru krajów, które lubią pomówić o klimacie, ale niekoniecznie chcą łożyć na politykę klimatyczną. One doprowadziły do cięcia wydatków na ten fundusz. A z drugiej strony – mamy ośli upór polskiego rządu, który nie chce się zgodzić na zadeklarowanie neutralności klimatycznej.

Do roku 2050...

– Moim zdaniem, to termin zbyt odległy, na pograniczu nieodpowiedzialności. A upór rządu, żeby się

Zupełnie nieodpowiedzialne jest praktyczne zarżnięcie wspólnych działań zdrowotnych



ADRIAN ZANDBERG

– poseł Lewicy, partia Razem

do tego nie zobowiązać, nie wynikał z kalkulacji ekonomicznej, ale był czysto ideologiczny. Część prawicy postanowiła z bagatelizowania zmian klimatu zrobić sobie sztandar. To skrajny brak myślenia o przyszłości.

Niby zatem sukces, bo pieniądze więcej, ale i porażka, bo na rozwój, na badania mniej.

– Te pieniądze w pewnym sensie stanowiły cenę dogadania porozumienia politycznego. W Polsce, będziemy musieli odpowiedzieć sobie za jakiś czas – mówię „my”, bo nie wierzę, żeby zrobił to ten rząd – na pytanie: skoro nie ma na te cele wystarczających środków europejskich, a wyzwania nie znikną, to skąd na to wziąć pieniądze? Z budżetu państwa? Bo alternatywą jest tkwienie w marazmie. A to nie jest dobre rozwiązanie, jeżeli nie chcemy być w Europie obywatelami drugiej kategorii.

Europa ewoluuje w kierunku jedności. Wspólne zaciąganie długów,

wspólne programy rozwojowe, wspólna polityka zdrowotna...

– I dobrze. Uswójnotowanie długu to jedyna możliwa odpowiedź na realny problem. Parę lat temu, kiedy lewicowi ekonomiści i politycy mówili, żeby iść w tym kierunku, prawica dziwnie na nas patrzyła. Miłośnicy rajów podatkowych z chadecji tłumaczyli wtedy, że Europa to wspólny rynek i to wystarczy. Ale tak to bywa, że kiedy przychodzi sytuacja kryzysowa, nawet chadeków da się skłonić do wspólnotowych działań.

Na co powinniśmy przeznaczać środki, które uzyskamy z Unii?

– Spokojnie, od otrzymania tych środków jeszcze chwila nas dzieli. Na razie mamy porozumienie polityczne. Zanim ono się urzeczywistni, minie trochę czasu. Po drodze będą jeszcze na pewno jakieś modyfikacje.

Po co więc PiS robi takie halo, skoro minie wiele czasu, zanim to wszystko się zmaterializuje?

– Mateusz Morawiecki walczy o swoją pozycję wewnątrz obozu władzy. Próba przedstawienia szczytu jako jego osobistego sukcesu to rozgrywka między nim a radykałami wewnątrz obozu władzy. Najlepiej to widać, kiedy Zbigniew Ziobro i jego ekipa wał w Morawieckiego za kształt umowy w kwestii praworządności. Są politycy wewnątrz obozu władzy, którzy chcieli budżet wetować. *Show*, który premier zrobił w Sejmie, to moim zdaniem element tej rozgrywki. Gra o to, jakie będą rządy PiS przez najbliższe lata – czy zwyciężą ci, którzy chcą iść w polityce europejskiej po bandzie, czy raczej środowisko Morawieckiego.

A sprawa powiązania praworządności z funduszami, która pojawiła się w unijnych zapisach – to coś poważnego, czy zapis jest rozwodniony i PiS nie musi się tym przejmować?

– Mówię o tym od dawna, ku irytacji części liberałów: przestańcie liczyć na to, że bliżej nieokreślony ktoś z Unii przyjedzie na białym koniu, da PiS po nosie i wprowadzi europejskie standardy. Przestrzegam przed tego typu złudzeniami. To tak nie działa. Jeżeli chcemy w Polsce mieć nowoczesne, praworządne państwo, stabilną demokrację, musimy o to zadbać sami. Nikt za nas tego nie załatwi. ■

Na co/do kogo powinny trafić pieniądze, które Polska dostanie z Unii?

DR HAB. HANNA KUZIŃSKA,

Katedra Finansów Akademii Leona Koźmińskiego

UE dość precyzyjnie ustala ramy wykorzystania przekazywanych pieniędzy i nie mamy tutaj dużego pola manewru – projekty muszą się wpisywać w wydatki zaplanowane w perspektywie finansowej 2020-2027. Na pewno lepsze efekty uzyskamy wówczas, gdy nasze pomysły, a także pieniądze budżetowe przeznaczone na politykę gospodarczą, społeczną czy związaną z ochroną środowiska spotkają się z pieniędzmi unijnymi. Ich wypłata zależy od zgodności naszej polityki z celami i priorytetami określonymi w poszczególnych programach unijnych. Gorycz części naszego społeczeństwa, że Bruksela nie okazała się dostatecznie wymagająca w stosunku do kraju, który ma sporo za uszami, jeśli chodzi o praworządność, jest emocjonalnie zrozumiała, ale decyzja Komisji wydaje mi się racjonalna. Po co miałyby przeciągać dyskusję o przejawach łamania praworządności w Polsce czy na Węgrzech, skoro nie bardzo wiadomo, czym oprócz ogólnych deklaracji miałyby ona się zakończyć. Wystarczy przecież stosowanie znanych i sprawdzonych mechanizmów alokacji środków na wydatki zgodne z unijnymi celami. Zamiast angażować się w konflikt, KE postanowiła starannie pilnować, czy nasz kraj zamierza wykorzystywać środki na przedsięwzięcia zgodne z unijnymi celami, takimi jak ograniczanie emisji CO₂. Jeśli zaplanowane wydatki polskiego budżetu nie będą się mieścić w tych ramach, nie otrzymamy dofinansowania i KE zawsze będzie mogła powiedzieć: „Przykro nam, ale ten projekt nie spełnia kryteriów”.

KAROLINA ZBYTNIIEWSKA,

redaktor naczelna portalu EURACTIV.pl

Decyzja w sprawie tego, na co poszczególne kraje otrzymają fundusze, jest podejmowana na podstawie analiz Komisji Europejskiej. Wraz z innymi unijnymi instytucjami szacuje ona, gdzie są największe i najpilniejsze potrzeby, a następnie dogaduje się w tej sprawie z przedstawicielami rządów. Pozostaje więc mieć nadzieję, że pieniądze, które do nas trafią, zasilą programy najbardziej tego warte. Środki, które dostaniemy z Funduszu Odbudowy, będą stosunkowo duże, gdyż ich celem będzie nie tylko odnowa gospodarki dotkniętej epidemią, ale także wsparcie doganiania przez nas reszty państw członkowskich, jako że nasz PKB jest nadal mniejszy od unijnej średniej. W związku z tym istotne fundusze zostaną przeznaczone na spójność polskich regionów z regionami UE, tradycyjnie sporo środków otrzymamy także w ramach Wspólnej Polityki Rolnej. Dla mnie szczególnie ważny jest Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, który niestety został bardzo okrojony, ale Polska pozostanie jego największym beneficjentem. Powstaje jednak pytanie, czy środki przekazane nam w jego ramach rzeczywiście wydamy na sprawiedliwą transformację regionów powęglowych i wsparcie tamtejszych społeczności oraz czy rząd weźmie w tej kwestii pod uwagę głos samorządów i lokalnych organizacji pozarządowych. Gdy gospodarka wróci do stanu sprzed epidemii, problemem wymagającym rozwiązania będzie brak odpowiedniej liczby rąk do pracy, m.in. w zawodzie pielęgniarki, co ma tym większe znaczenie, że nasze społeczeństwo się starzeje. Życzylabym sobie, aby jak najwięcej pieniędzy zainwestowano w ochronę i profilaktykę zdrowia, żłobki czy infrastrukturę opieki długoterminowej dla osób starszych i przewlekle chorych.

DR MARCIN KĘDZIERSKI,

Kolegium Gospodarki i Administracji Publicznej UE w Krakowie, Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego

Środki z nowego programu „Przyszłe Pokolenie UE”, zwłaszcza tzw. Funduszu Odbudowy i Odporności, będziemy mogli wykorzystać w trzech obszarach: transformacji energetycznej, transformacji cyfrowej i rozwiązywania innych problemów wskazanych w tzw. semestrze europejskim, czyli cyklicznym przeglądzie sytuacji gospodarczej w poszczególnych państwach członkowskich. W ostatnim dokumencie dotyczącym Polski pojawiają się m.in. kwestie reformy emerytalnej, nadmiernego uelastycznienia rynku pracy czy niedostępności transportu publicznego. Jeśli miałbym podejmować decyzje w sprawie tego, w co zainwestować środki z Funduszu Odbudowy, to w pierwszej kolejności wydałbym je na transformację energetyczną oraz działania wspierające rynek pracy, w tym stabilizację zatrudnienia i rozwój systemu edukacji zawodowej. Największy problem z tymi środkami polega na tym, że państwa chcące z nich skorzystać muszą przedstawić Brukseli nie tylko szczegółowe plany ich wydatkowania, ale w ogóle plan polityki gospodarczej, a decyzje o ich uruchomieniu podejmuje oprócz Komisji Europejskiej Rada Unii Europejskiej, czyli europejskie stolicy. Oznacza to, że nawet jeśli przygotujemy bardzo zgrabny plan wykorzystania tych pieniędzy, ich wypłata z wielu różnych powodów, także politycznych, może zostać wstrzymana.

DR HAB. PAWEŁ SOROKA,

politolog i działacz gospodarczy, koordynator Polskiego Lobby Przemysłowego

Te pieniądze powinny zostać przeznaczone głównie na wsparcie dla firm dotkniętych kryzysem spowodowanym pandemią koronawirusa – w pierwszej kolejności produkcyjnych, które mają kooperantów i dzięki temu zapewniają dużo miejsc pracy, zwłaszcza w regionach, w których wzrosło bezrobocie. Priorytetowo powinny być traktowane także przedsiębiorstwa innowacyjne, tj. tworzące nowe technologie czy rozwiązania techniczne lub organizacyjne. Od wielu lat w Polsce narasta problem wykluczenia transportowego, które dotyczy już nawet kilkunastu milionów ludzi, dlatego środki unijne powinny być przeznaczone również na odbudowę lokalnego transportu publicznego.

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG,

Instytut Polityki Społecznej UW

Przez zamieszanie wokół Funduszu Odbudowy ucierpiała propozycja zarezerwowania 5% EFS+ na walkę z ubóstwem dzieci (Child Guarantee). Mam nadzieję, że w wyniku oporu Parlamentu Europejskiego uda się zmienić tę decyzję. Co cieszy, pozostała granica co najmniej 25% EFS+ na walkę z wykluczeniem społecznym i 2% na pomoc dla najbardziej potrzebujących. Oczywiście to mała część całego pakietu, który głównie wspiera inwestycje gospodarcze. Wspomniane 30% EFS+ powinno być wydawane na inwestycje społeczne oraz przygotowanie i przetestowanie reform polityki społecznej. Te pierwsze powinny łączyć projekty rozwijające infrastrukturę społeczną oraz umiejętności i kompetencje kadr szeroko rozumianej pomocy społecznej. Reformy reintegracji społeczno-zawodowej powinny być sfinansowane w nurcie reformatorskim.

Not. Michał Sobczyk



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Cudaczność

Dni płyną, niedługo już miną dwa tygodnie, ale wybory prezydenckie były zjawiskiem na tyle cudacznym, że nie sposób przestać o nim myśleć. I nie sposób ochłonać: 10 mln głosujących na Dudę! Pięć lat temu można było niczego nie wiedzieć, niczego nie widzieć – decydował efekt młodości, świeżości, zmiany. Ale dziś? Rozumiem: wybierano nie Dudę, lecz Kaczyńskiego. Nie prezydenta, lecz PiS. Ale mimo wszystko... I – tym bardziej...

Przed pięciu laty, po pierwszym wyborze Andrzeja Dudy, mówiłem w jednym z wywiadów, że człowiek, który śpiewał w kościele: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”, zasługiwał tylko na trzy głosy: swój własny, swej żony i swej córki (o rodzicach, nie wiedzieć czemu, zapomniałem). Bo przecież takim śpiewaniem człowiek ów wykazywał pogardę wobec ojczyzny, wobec własnego niepodległego państwa. Czy dziś Duda śpiewa: „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie”? Czy zatem uznaje, że to dopiero z jego wyborem nadeszła do Polski niepodległość? A może jednak modli się, by Bóg wrócił wolność? W sytuacji Adriana byłoby to nawet zrozumiałe.

Wszyscy pamiętamy wieczór wyborczy w niedzielę 12 lipca. Wezwanie do pojednania, przeproszanie tych, którzy poczuli się obrażeni – a równocześnie wyznanie, że niczego się nie żałuje, niczego nie odwołuje... Oraz podziękowania dla prezesa Kaczyńskiego. Czyli użyte w kampanii słowa, że LGBT to nie ludzie, lecz ideologia – były OK. A już choćby te tylko słowa – konsekwentnie, choć milcząco, podtrzymywane – stawiają polskiego prezydenta poza obrębem europejskiej cywilizacji. Tym bardziej że dopiero co krzychał: „Nie będą nam tu dyktować w obcych językach...” – te obce języki to przecież języki Unii Europejskiej, tej „wymyślonej wspólnoty”. A potem dodawał, że Niemcy nie będą nam wybierać prezydenta. Ano nie będą. Szkoda tylko, że nigdy o tym nie pomyśleli Rumuni – tam Niemcy nie tylko wybierali, ale też byli wybierani: prezydentem Rumunii jest, już drugą kadencję, lider mniejszości niemieckiej, Klaus Iohannis.

Prezes był na wieczorne wyborczym nieobecny. Ale podziękowaniami dla niego Duda zaaprobował – także i tu w sposób milczący – jego jakże przenikliwą refleksję, że Rafał Trzaskowski nie ma polskiej duszy. A równocześnie tegoż Trzaskowskiego zaprosił Duda najspokojniej do Pałacu Prezydenckiego, na spektakl pojednania! I to w sytuacji, gdy jeszcze nie było oficjalnych wyników! Trudno o większy brak taktu. Oraz o większą pogardę

dla własnych słów – w wykonaniu Dudy słowa nic nie znaczą. A potem jeszcze Jasna Góra i – ukazane przez kamery – rozmodlone oczy pana prezydenta. Czy te oczy mogą kłamać? W bojach z człowiekiem bez polskiej duszy wspierała Dudę Matka Boska?!

Trudno też ochłonać po wyborczym występie pierwszej damy. Dotąd w rozmowach starałem się jej bronić – to przecież córka Juliana Kornhausera... Choć też pamiętałem jej wykrzyknik z poprzedniej kampanii: „Ja się prezesa nie boję!”. Wykrzyknik brzmiał nieomal tak jak „niezłomność” jej małżonka. Jednak obecna wypowiedź pierwszej damy, połączona z jej atakiem na media i na Bogu ducha winnego Pawła Wrońskiego z „Gazety Wyborczej”... *O, si tacuisses, philosophus mansisses!* Co wobec przestrogi, że „nie będą nam tu w obcych językach...”, natychmiast tłumacząc: o, gdybyś milczał, uchodziłbyś nadal za filozofa! Agaty Kornhauser-Dudy nikt nigdy za filozofa nie uważał, myślę jednak, że jej pięcioletnie milczenie

Tadeusz Mazowiecki przestrzegał, by polskiej demokracji nie zamienić w polskie piekło. To właśnie zrobiliśmy. Z tym że do piekła dodaliśmy groteskę.

było wyborem trafny. I oby trwało. Andrzej Duda sekundował potem żonie na Twitterze, dodatkowo jeszcze udowadniając, że – wbrew wszelkim złudzeniom – małżonkowie są zgodni i siebie godni. A gdy jeszcze okazało się wkrótce, że pierwsza dama, sama siedząc bezpiecznie przed komputerem, naraziła na zarażenie stłoczone w sali dzieci... I gdy dwóch rosyjskich wesołków, udających sekretarza generalnego ONZ, gaworzyło sobie z polskim prezydentem o polskim Lwowie i polskiej żubrówce...

Brak klasy, brak wychowania, brak zasad, brak chrześcijaństwa... Ale o co chodzi? Takiego prezydenta wybrało sobie 10 mln Polaków. Z poparciem, a jakże, polskich (chrześcijańskich?) biskupów. Na razie tylko Manuela Gretkowska oświadcza, że emigruje (w latach 80. wzywała: „Emigruj albo strzelaj!”). I akurat teraz wyjeżdżają z kraju Justyna Pochanke i Adam Pieczyński. A Marek Migalski deklaruje, że udaje się na emigrację wewnętrzną. Ludzie o mniej znanych nazwiskach też mówią: w tej duchocie nie da się żyć. Czy wielu jeszcze pamięta, że 30 lat temu Tadeusz Mazowiecki przestrzegał, by polskiej demokracji nie zamienić w polskie piekło? Tymczasem to właśnie zrobiliśmy. Z tym że do piekła dodaliśmy groteskę. I oto Polska właśnie. Mamy Dudę!

I że cię nie opuszczę aż... sąd kościelny nas nie rozłączy

Biskupi razem z politykami prawicy ośmieszyli instytucję, której jeszcze wczoraj tak żarliwie bronili – małżeństwo i rodzinę



Po ślubie państwo młodzi z prezesem PiS pojechali na Wawel, by złożyć kwiaty na sarkofagu Marii i Lecha Kaczyńskich.

Jarosław Makowski

Każdy chyba zna tę słynną formułę z przysięgi, którą przed Bogiem, w kościele, publicznie składają sobie nowożeńcy: „I że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Dzięki Jackowi Kurskiemu, byłemu prezesowi Telewizji Polskiej i politykowi Zjednoczonej Prawicy, osoba, która – jak sama twierdzi – z mlekiem matki wyssała katolickie wartości, kościelna przysięga nabiera nowego znaczenia i powinna brzmieć: „I że cię nie opuszczę, aż sąd kościelny nas nie rozłączy”.

Wyznanie na pokaz

Oto bowiem mimo ponad 20 lat stażu małżeńskiego w poprzednim związku i trójki dzieci z pierwszą żoną Jacek Kurski uświadomił sobie – być może był to nawet jakiś rodzaj duchowego objawienia – że jego „stary” związek nie tylko nie spełnił jego oczekiwań, choć posiadanie trójki dzieci mogłoby wskazywać na zupełnie coś innego, lecz także w ogóle nie istniał. I że dopiero teraz członek zarządu TVP i jej były prezes znalazł swoją drugą połówkę, panią Joannę, z którą jest szczęśliwy i z którą chce znów, już w pełni świadomie i bez

żadnych wątpliwości, spędzić resztę swoich dni, wypowiadając stanowcze sakramentalne: tak! Nowa wybranka zresztą także uzyskała decyzję o nieważności swojego małżeństwa. Dlaczego Jackowi Kurskiemu tak bardzo zależało na ślubie kościelnym?

Kurski jest politykiem prawicy. Ba, jest politykiem, który w swojej strategii życia publicznego eksponuje przywiązanie do katolickich wartości i Kościoła. Dlatego „nowy” ślub brał nie w jakimś parafialnym kościółku, tylko w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w krakowskich Łagiewnikach, tak droгим sercu św. Jana Pawła II. Na uroczystości pojawili się wszyscy

najważniejsi politycy Prawa i Sprawiedliwości – z prezesem Jarosławem Kaczyńskim na czele. Nie zabrakło byłej premier Beaty Szydło, której syn – gdyby kilka miesięcy temu nie porzucił sutanny – mógłby być głównym celebrazem. Kurskiemu zależało na ślubie kościelnym, bo jako polityk prawy, dla którego pozory są rzeczą najważniejszą, nie może przecież żyć na tzw. kocią łapę. Tylko jak w ogóle jest możliwy nowy ślub kościelny, skoro księża wszem wobec głoszą, że związek małżeński jest nierozzerwalny? I tu dochodzimy do furtki, którą Kościół sobie zostawił, by móc takie sprawy jak przypadek Kurskiego pomyślnie załatwiać. W świetle prawa cywilnego były prezes pisowskiej telewizji bierze rozwód, bo znalazł sobie inną partnerkę. To oczywiste. Ale Kościół ma swoje prawo – prawo kanoniczne. Czy zatem w świetle prawa kościelnego też można brać rozwody, skoro sa-

bawili się na weselu, a w związku pojawiły się dzieci, małżeństwo – jeśli tak uzna sąd kościelny – nie miało miejsca. Sądy kościelne interesuje tylko moment zawierania małżeństwa, a nie to, co działo się 10 czy 20 lat później, ani to, czy z tego związku urodziły się dzieci. Sąd odpowiada na pytanie, czy w momencie mówienia sakramentalnego tak, została ważnie wyrażona zgoda małżeńska.

Nieświęta trójca

Katolicy karmieni są przekazem, że małżeństwo jest nierozzerwalne, zawiera się je tylko raz i ma trwać do końca życia. Nie wiedzą zatem, że można uzyskać decyzję o tym, iż małżeństwa po prostu nie było. Rozgłos,

W Kościele katolickim nie istnieje pojęcie rozwodu, wymyślono za to stwierdzenie nieważności małżeństwa.



Kurski w swojej strategii życia publicznego eksponuje przywiązanie do Kościoła. Dlatego ślub brał nie w parafialnym kościele, tylko w Łagiewnikach.

W 2017 r. do sądów kościelnych wniesiono 4,3 tys. wniosków o stwierdzenie nieważności małżeństwa. 2,8 tys. rozpatrzono pozytywnie.

krament małżeństwa jest nierozzerwalny? Otóż nie po to Kościół ma swoich teologów i prawników, by nie potrafili rozwiązać tej swoistej kwadratury koła. W Kościele katolickim nie istnieje pojęcie rozwodu, wymyślono coś ciekawszego: stwierdzenie nieważności małżeństwa. Może to zrobić sąd kościelny. Mówiąc wprost, sąd stwierdza, że małżeństwo nigdy nie zostało zawarte. Nawet jeśli odbyła się ceremonia, byli goście i rodzina, wszyscy

jakim cieszy się nowy ślub Kurskiego, może się przyczynić do zmiany tego stanu rzeczy. Z danych Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego wynika, że – jak podliczył portal OKO.press – w 2017 r. do sądów kościelnych pierwszej instancji wniesiono 4,3 tys. takich spraw, a rozstrzygnięto 3,9 tys. W 2,8 tys. przypadków stwierdzono nieważność małżeństwa, co stanowi 71% wszystkich rozstrzygnięć. W 907 sprawach wydano wyrok

przeciw nieważności. W 94 przypadkach zrzucono się procesu.

Jeden z moich znajomych księży przekonuje, że teraz, dzięki nieświętej trójcy, czyli Kurskiemu, abp. Leszkowi Sławojowi Głódziowi, który w Gdańsku pomógł Kurskiemu zdobyć decyzję o nieważności jego małżeństwa, i abp. Markowi Jędraszewskiemu, który w Łagiewnikach pozwolił na ślub, może ruszyć lawina. „I tylko współczuję proboszczom i wikarym, bo to do nich ludzie będą w pierwszej kolejności się zgłaszać. A oni powinni ich wszystkich wysyłać do Gdańska, do abp. Głódzia, by im wyjaśniał, jak się robi taki *show*, jaki ze swojego unieważnienia małżeństwa i nowego ślubu zrobił Kurski”, komentuje młody kapłan.

Jak zatem unieważnia się małżeństwo, a dokładniej rzecz biorąc, stwierdza się jego nieważność, by móc potem zawrzeć nowy związek sakramentalny? Proces ten rozpoczyna się od momentu, gdy jeden z małżonków wniesie skargę powodową do sądu kościelnego. W skardze osoba występująca o stwierdzenie nieważności małżeństwa pisze: „Uważam swoje małżeństwo za zawarte nieważnie z powodu...”. Sądy kościelne znajdują się w każdej diecezji przy kurii diecezjalnej. Sprawy rozpatrywane są wyłącznie na podstawie prawa kanonicznego. To znaczy, że jeśli wobec małżonków zostanie orzeczony rozwód cywilny, nie uzyskają oni automatycznie decyzji stwierdzającej nieważność małżeństwa kościelnego. I odwrotnie.

W Kościele niczego nie ma za darmo

Czy trudno uzyskać decyzję o nieważności małżeństwa? To oczywiście zależy. Przypadek Kurskiego pokazuje, że zależy od znajomości z kościelnymi oficjelałami, zasobności portfela i pozycji. Przypomnijmy jednak, że w roku 2015 papież Franciszek listem *Mitis Iudex Dominus Iesus* (Łagodny Sędzia Pan Jezus) rozpoczął reformę całej procedury, której celem jest skrócenie i ułatwienie uzyskania decyzji o nieważności małżeństwa. W tym ▶

► celu zdjęto obowiązek pozytywnego rozpatrzenia skargi przez dwie instancje. Dalej przewidziano możliwość wyboru miejsca procesu i wprowadzono procesy skrócone, trwające nie więcej niż kilka tygodni, w przypadkach oczywistych. Franciszek wezwał też diecezje do minimalizowania kosztów sądowych postępowań.

Dzięki Kurskiemu, abp. Głódziowi i abp. Jędraszewskiemu może ruszyć lawina wniosków.

Kluczowa wiedza o podstawach stwierdzenia nieważności małżeństwa znajduje się w Kodeksie prawa kanonicznego. Obecny obowiązuje od 1983 r. To tu w kanonach 1083-1094 mówi się o przeszkodach do zawarcia małżeństwa. Pośród nich wymienia się: wady umowy małżeńskiej, wady obrzędu, wiek niższy niż 14 lat dla kobiety i 16 lat dla mężczyzny, pokrewieństwo (nie wolno zawrzeć małżeństwa do czwartego stopnia w linii bocznej, czyli nie mogą się pobrać kuzyni), powinowactwo (powstaje ono

np. pomiędzy małżonkiem a krewnymi współmałżonka – gdyby zmarła żona, wdowiec nie może się ożenić z jej siostrą), impotencja.

Jednym z najczęstszych powodów uzyskania nieważności sakramentu małżeństwa jest wada zgody małżeńskiej, eksperci twierdzą, że jest podstawą 99% decyzji o stwierdzeniu

nieważności małżeństwa. To kanony od 1095 do 1110. Prawo kościelne wymienia kilka wad zgody małżeńskiej. Pierwsza to niewystarczające używanie rozumu (małżonek nie może dobrowolnie i rozumnie wyrazić zgody małżeńskiej, co spowodowane może być upojeniem alkoholowym, odurzeniem narkotykami, stanem hipnozy, albo też nie jest w stanie sam kierować swoim działaniem z powodu choroby umysłowej lub zaburzeń osobowości). Druga wada to poważny brak rozeznania co do istoty

małżeństwa (małżonek nie ma pojęcia, na czym polega małżeństwo, jakie są prawa i obowiązki małżonków; do takich obowiązków Kościół zalicza współżycie małżonków, dochowanie wierności, wzajemną pomoc, troskę i wspólne wychowanie dzieci). Dość często nieważność małżeństwa orzekana jest ze względu na skrajną nieodróżnialność małżonków. Chodzi np. o brak możliwości stworzenia relacji opartej na miłości i szacunku. Ale prym wiedzie jeszcze coś innego: „Niezdolność podjęcia istotnych obowiązków małżeńskich z przyczyn natury psychicznej”. Jak spekulują media, sąd kościelny miał stwierdzić u Jacka Kurskiego właśnie tę przeszkodę. Co więcej, łączy się ona z klauzulą, że nie można zawierać nowego małżeństwa. Tymczasem wiele wskazuje, że abp Leszek Stawoj Głódź, dobry kolega prezesa Kurskiego, właśnie tę klauzulę uchylił. I ostatnia przeszkoda, by Kurski mógł się cieszyć nowym ślubem kościelnym, została usunięta.

W Kościele, jak wiemy, niczego nie ma za darmo. Oficjalnie podaje

filharmonia.pl
Bilety już w sprzedaży on-line

zapraszamy na koncerty w sierpniu i wrześniu

tak, gramy!

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

Filharmonia Narodowa

Strategiczny Mecenas: Bank Polski
Mecenas: PGE
Sponsorzy: FUNDACJA SNP PARIBAS
Patroni medialni: Clear Channel, dwójka, LAVIE
Partner: WZECZPOSPOLITA, KULTURA, TVP3 WARSZAWA, Bilety24



Z Galicji

Jan Widacki

Ach, co to był za ślub!

się, że koszt uzyskania uzyskania decyzji stwierdzającej nieważność małżeństwa, bez uwzględnienia kosztów adwokata, to ok. 2 tys. zł. Opłaty procesowe to od 900 zł do 2,3 tys. zł. Gdy jest potrzebny biegły sądowy, trzeba dodatkowo wydać ok. 500 zł. Tu jeszcze, jak donoszą mi księża z Krakowa, w grę wchodzi inny rodzaj wdzięczności. Kurski jako prezes telewizji publicznej sprawił, że na antenie TVP 3 od maja emitowana jest Koronka do miłosierdzia Bożego spod obrazu w Łagiewnikach. Nie ma przypadków, są tylko znaki. A dokładniej – emisja koronki to darmowa reklama sanktuarium, które w zarządzaniu ma metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski.

Księża, z którymi rozmawiałem, nie kryją oburzenia. Bo okazuje się, że jak jesteś politykiem właściwej partii, masz pieniądze i wpływy, to jesteś w stanie załatwić wszystko. I możesz później z tym się obnosić. Ale największy żal mają do biskupów, którzy nabrali wody w usta – szczególnie abp Głódź i abp Jędraszewski. „To oni dziś powinni wytłumaczyć opinii publicznej, dlaczego dopuścili do tego zgorzenia. Jak ja mam teraz mówić ludziom, by mimo kłopotów trwali w małżeństwie i próbowali je ratować, skoro mogą sobie załatwić unieważnienie?“, nie kryje poirytowania znajomy ksiądz z Pomorza. I dodaje: „A co będzie, jak za kilka miesięcy Kurskiemu znudzi się nowa wybranka?“.

Mało tego, co myślą dziś o Kościele ci wszyscy przyzwyczajeni katolicy, którzy żyją w związkach niesakramentalnych? I dla których Kościół nie ma aż tyle znaczenia? Ba, wciąż odmawia im prawa przyjęcia komunii, przekonując, że raz wypowiedziane „I że cię nie opuszczę...“ obowiązuje aż do grobowej deski. Jak się czują ludzie, którzy – a dokładniej ich związki – jeszcze nie tak dawno byli znakiem zgorzenia, a proboszczowie omijali ich domostwa, chodząc po kołędzie?

Jest faktem, że nikt tak nie potrafi ośmieszyć i zbanalizować katolickiego nauczania, jak robią to biskupi pospołu z politykami prawicy. Dziś dzięki Jackowi Kurskiemu ośmieszyli instytucję, której jeszcze wczoraj tak zaciekle bronili – małżeństwo i rodzinę.

Jarosław Makowski

Takiego jeszcze nie było! Sobota, 18 lipca 2020 r. Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w krakowskich Łagiewnikach. Wśród gości sam Jarosław Kaczyński. I cała elita PiS! W tym powszechnie znani z cnotliwego życia w związkach sakramentalnych wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki (podobno nawet czytał lekcję!), prezes NBP Adam Glapiński (w jego orszaku zabrakło tym razem dwóch dobrze wynagradzanych blond doradczyń), minister Mariusz Błaszczak, europosłanka Beata Mazurek, słynący z wyjątkowej kultury osobistej i wytwornych manier Dominik Tarczyński.

No i para młoda! Nieformalny minister propagandy Jacek Kurski i jego wybranka Joanna Klimek. Ach, co to był za ślub! Nie byłem tam, któż by mnie zaprosił, a gdybym był przypadkiem, przed uroczystością wyprosiłby mnie siostry zakonne, więc na własne oczy nie widziałem. Ale mogę sobie wyobrazić, wyobraźnię wspomagając zdjęciami. Oto Jacek Kurski składający nabożnie rączki, jak niewinne dziecię przed pierwszą komunią. Oto Terlecki o anielskim obliczu odczytujący lekcję... I sam Jarosław Kaczyński pochrapujący w pierwszym rzędzie... Ach, co to był za ślub!

Nie ulega wątpliwości, że gdy państwo młodzi powiedzieli sobie przed ołtarzem sakramentalne „tak“, mieli to już dobrze przemyślane, że nie była to decyzja pochopna. Wszak nie byli nowicjuszami. To nie był ich pierwszy ślub kościelny. Pan Jacek już raz ślub w kościele brał, przeżył w małżeństwie 20 lat, spłodził troje dzieci. Trudno się domyślić, kiedy się spostrzegł, że to małżeństwo było nieważne od samego początku, czyli że go po prostu nie było. Trafność jego spostrzeżenia potwierdził jednak sąd kościelny wyrokiem. A wyroki kościelne wydawane są „w imię Trójcy Przenajświętszej“, więc wątpliwości nie można mieć żadnych.

Dla panny młodej też nie był to pierwszy ślub kościelny. Młoda para, zanim pofatygowwała się do Łagiewnik, żyła

również w cywilnym związku już dwa lata. W tym wypadku jakoś to Kościołowi nie przeszkadzało.

Przed blisko 100 laty Tadeusz Boy-Żeleński przypomniał słowa Moliera: „Z Niebem zawsze poradzić sobie jakoś można“. I pisał: „Walka o władzę tłumaczy »podwójną buchalterię« konsystorzcy wobec tłumy a wobec uprzywilejowanych: tłum trzymać siłą, a możnych tego świata ustępliwością. Stąd pobłażliwość dla jednych, nieprzejednanie dla drugich; stąd armia konsystorskich adwokatów, która się stała zorganizowaną instytucją fałszu i świętokradztwa. Stąd wynalazek nad wynalazki: »konsystorskie dziewice«. Ale metody te oddziałują pośrednio na całe nasze życie“.

Obluda, bezczelność tego aktu oburzyła nawet niektórych publicystów katolickich i niektórych przedstawicieli prawicy. Oburzona była małopolska kurator Barbara Nowak, Bartosz Brzyski – działacz prawicowego Klubu Jagiellońskiego, ultrakatolicki publicysta Tomasz Terlikowski. A ks. Isakowicz-Zaleski, odwołując się do 40 lat swojego kapłaństwa, stwierdził, że nie spotkał się z podobnym przypadkiem uznania za nieważne od początku 20-letniego małżeństwa, z którego urodziło się troje dzieci.

Czy w swoim zadufaniu, swojej chciwości i dążeniu do władzy Kościół nie widzi, że PiS traktuje go instrumentalnie? Nie widzi, że wnętrza kościołów, bogate szaty liturgiczne duchownych są potrzebne PiS tylko jako tło, jako scenografia przemawiająca do wyobraźni prostactwów?

Czy nie widzi, że sieje zgorzenie? *Ach, co to był za ślub! [para dudi ratira dudidam]*

Ach, co to był za ślub! [bara bara pararara] Dęta orkiestra grała ile tchu, mówię wam Trąby tu, trąby tam, ach, szkoda słów...

No, szkoda słów! Dla dopełnienia tej groteski młoda para radzieckim zwyczajem (moskiewscy nowożeńcy szli do Mauzoleum Lenina) udała się na Wawel, by złożyć kwiaty na sarkofagu Lecha Kaczyńskiego.

Nie tylko Kurski

Od Cejrowskiego po Kim Kardashian – lista celebrytów, którzy postarali się o uznanie nieważności małżeństwa, jest długa

Anna Brzeska

Były prezes TVP nie jest jedyną osobą publiczną, której udało się załatwić w Kościele katolickim stwierdzenie nieważności małżeństwa. Okazuje się, że ta sprytna – choć kosztowna – metoda na to, by znów cieszyć się białą suknią i bijącymi dzwonami, cieszy się niemałą popularnością wśród sławnych i bogatych.

Kto jeszcze prócz Jacka Kurskiego skorzystał z wygodnej możliwości „odzyskania twarzy prawdziwego katolika”?

W grupie tej jest choćby znany obrońca konserwatywnych wartości i dzieci nienarodzonych Wojciech Cejrowski. Jego wieloletni związek z podróżniczką Beatą Pawlikowską zakończył się w 2004 r., ale małżeństwo wydało się dziennikarzowi nieważne dopiero po jakimś czasie, gdy w wieku 46 lat chciał się ożenić z 28-letnią działaczką katolicką Joanną Najfeld, autorką książki napisanej do spółki z Tomaszem Terlikowskim.

O swoim pierwszym „tak” nie chciał też pamiętać Cezary Pazura, całkiem niedawno deklarujący, że „różaniec jest jego tarczą”. W stwierdzeniu nieważności nie przeszkadzało Kościołowi to, że małżeństwo aktora z Żanetą Pazurą trwało pięć lat i zaowocowało narodzinami córki Anastazji. Niestety, po czasie wszystkie te wysiłki okazały się daremne z punktu widzenia sumienia nawróconego Cezarego – rozwiódł się on bowiem z kolejną poślubioną przed Bogiem żoną Weroniką. Obecnie żyje z młodszą o 26 lat Edytą, z którą ma jedynie ślub cywilny.

Wiernym katolikiem próbował być również ekspiłkarz Radosław Majdan. Aby poprowadzić przed ołtarz drugą żonę, Dorotę „Dodę” Rabczewską, załatwił sobie unieważnienie małżeństwa z Sylwią Koperkiewicz. Podobnie



Piotrowi Adamczykowi nie udało się uzyskać decyzji o nieważności małżeństwa z Kate Rozz, natomiast Cezary Pazura mógł się wedle Kościoła rozstać z żoną Żanetą.



jak Pazura nie wytrwał jednak i zawarł trzecie, już cywilne małżeństwo, tym razem z Małgorzatą Rozenek. Jak donoszą ostatnio portale plotkarskie, para nie planuje ochrzcić synka Henryka, który niedawno przyszedł na świat.

Procedurę uznania małżeństwa za nieważne ma za sobą również aktor

Jacek Borkowski, czyli serialowy Piotr Rafalski („Klan”). Na łamach „Newsweeka” przyznał: „Kościół uznał moje pierwsze małżeństwo za nieistniejące z powodu mojego rozwiązłego trybu życia”. Co ciekawe, odzyskaną szansę na kościelny ślub pan Jacek wykorzystał dopiero przy zawieraniu małżeństwa z Magdaleną Gotowiecką (czyli trzeciego, jeśli liczyć pierwsze).

„Nieważne” śluby mają na koncie m.in. Dariusz Kordek i Agnieszka Gewert (aktor na „doznanie oczyszczenia” – jak sam to określił – czekał aż siedem lat) oraz piosenkarka Katarzyna Skrzynecka i Zbigniew Urbański.

O „kościelny rozwód” wystąpił też Piotr Adamczyk, chcący uznać za niebyłe jego krótkie małżeństwo z niejaką Kate Rozz, która zaślubiła głównie z... bycia żoną Piotra Adamczyka. Niestety, zagranie Karola Wojtyły najwyraźniej mu nie pomogło. Prasa kolorowa milczy na temat finalizacji jego starań.

Z możliwości unieważnienia małżeństwa korzystają także zagraniczne gwiazdy. Powody są różne, choć zwykle stoi za nimi nie religia i chęć ponownego przysięgania przed ołtarzem, lecz raczej względy wizerunkowe. Za nieważne uznano m.in. małżeństwo aktorki Renée Zellweger z Kennym Chesneyem czy zawarte w Las Vegas małżeństwo piosenkarki Britney Spears z Jasonem Alexandrem. To ostatnie przetrwało jedynie 55 godzin.

Podobny los spotkał związek Kim Kardashian z koszykarzem Krisem Humphriesem. Trudno powiedzieć, dlaczego najpopularniejsza bodaj amerykańska celebrytka tak bardzo chciała zachować pozory i nie poprzestała na zwykłym rozwodzie, skoro wcześniej nie miała problemu z wystąpieniem w amatorskim porno, a kilka lat później dwójkę z czworga jej dzieci (z trzecim mężem, raperem Kanyem Westem) urodziła surogatka.

Najciekawszy wydaje się jednak przypadek amerykańskiego celebryty pokerzysty Ricka Salomona, który procedurę anulowania małżeństwa przechodził dwukrotnie – najpierw za nieważny uznano jego ślub z aktorką Shannen Doherty, potem z Pamelą Anderson.

Anna Brzeska

Ewa Smolińska-Borecka

Pojawił się w lipcu w Łodzi – mieście niegdysiejszego „króla dopalaczy”. W wyniku akcji służb mundurowych zarekwirowano szary proszek, wyglądający dość nieatrakcyjnie. Kiedy pochyłili się nad nim specjaliści z laboratorium kryminalistycznego, okazało się, że szara substancja to bardzo groźny nowy narkotyk, którego do tej pory w Polsce nie było. Etazen należy do grupy opioidów. Jest 60 razy silniejszy niż morfina. Może zabić w kilka chwil.

Główny inspektor sanitarny natchemias na swojej stronie internetowej zamieścił ostrzeżenie publiczne. Żeby wszyscy wiedzieli, że jest już na polskim rynku narkotyk, który siłą działania, czy może raczej uśmiercania, przewyższa wszystkie znane do tej pory. A że w czasie wakacji eksperymentowanie w każdej dziedzinie ma zielone światło, sprawa jest tym bardziej dramatyczna.

Do kogo jest skierowane to ostrzeżenie? Do potencjalnych odbiorców, ludzi młodych i dojrzałych. Do rodziców. Do ratowników medycznych, którzy mogą uratować nieświadomego konsumenta etazenu, jeśli w porę podadzą mu odtrutkę. A właściwie do wszystkich. Bo nawet jeśli pierwsze spotkanie z etazem nie zakończy się zejściem, to rokowania na przyszłość są niewesołe.

– W wyniku przedawkowania etazenu może nastąpić depresja oddechowa, czyli stan, kiedy dochodzi do zmniejszenia częstości i głębokości oddechów albo mózg odłącza funkcję oddychania – mówi Jan Bondar, rzecznik prasowy Głównego Inspektoratu Sanitarnego. – Wszystkie środki pochodne opioidów są bardzo toksyczne i szybko uzależniają. Te środki są rozpuszczalne w wodzie i mogą się pojawiać w różnej postaci, np. jako susz do palenia czy sprej donosowy. Sami dilerzy dopalaczy mogą nie wiedzieć, jak niebezpieczną substancję rozprowadzają. A w wypadku czyjejś śmierci po zażyciu dopalaczy kary, które im grożą, są wyższe.

Śląska korrida

Dankowice Drugie. Śląska wieś w gminie Krzepice, w powiecie



Piotrkowska policja zlikwidowała nielegalną plantację marihuany, 17 lipca 2020 r.

Hera, koka, hasz, LSD

Skończyła się era niewinnego ziółka, marihuana doprawiona dopalaczem może zabić

kłobuckim. Zaledwie 255 mieszkańców. Nie za wiele tu się dzieje, więc zdarzenie z 13 lipca na długo pozostanie w pamięci miejscowych. Wtedy to dyżurny Komendy Powiatowej Policji w Kłobucku odebrał informację, że w Dankowicach

Napastnik został zatrzymany. Policjanci stwierdzili, że miał przy sobie 50 działek dilerkich metamfetaminy. Jak powiedziała rzeczniczka prasowa KPP w Kłobucku Joanna Wiącek-Głowacz, wobec szokującego zachowania mężczy-

W lipcu w Polsce pojawił się etazen. Jest 60 razy silniejszy niż morfina. Może zabić w kilka chwil.

Drugich doszło do niecodziennego napadu. 28-letni mieszkaniec gminy Krzepice zaatakował 34-letniego znajomego. Rozmawiali, kiedy nagle 28-latek zaczął rzucać w rozmówcę cegłami. A gdy zaatakowany schronił się w samochodzie, agresor zamiast cegieł użył metalowego pręta. Cisnął nim z całą siłą w przednią szybę samochodu, aż pręt przebił szkło i wbił się w siedzenie kierowcy. Gdyby 34-latek nie zrobił uniku, mógłby stracić życie.

zny śledczy nabrali podejrzeń, że może on być pod wpływem jakiejś substancji psychoaktywnej. Na razie nie ma jeszcze wyniku testów. Agresywny mężczyzna został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące. Usłyszał zarzut usiłowania zabójstwa, gróźb karalnych, a także posiadania substancji psychotropowych. Grozi mu nawet kara dożywocia. Ta historia pokazuje, że narkotyki trafiły i pod strzechy, skoro w niedużej wiosce można znaleźć diler z 50 dawkami metamfetaminy, ▶

► zwanej w narkotykowym slangu kryształem i piko, w kieszeni.

Inna sprawa lipcowa z narkotykami w tle. O tyle wyjątkowa, że w tle jest także europoseł. Samo zdarzenie miało miejsce w styczniu, lecz akt oskarżenia wpłynął do warszawskiego sądu niedawno. Dotyczył on Filipa J., znanego szerszej publiczności jako raper Filu Yaki. Zbieżność artystycznego pseudonimu z nazwiskiem europośła nieprzypadkowa. Otóż w styczniu br. Filu Yaki został zatrzymany przez policję, bo przeszedł przez ulicę niezgodnie z przepisami. Nie wiadomo, dlaczego funkcjonariusze uznali, że przechodnia trzeba przeszukać. Znaleźli niewielką ilość marihuany. Policjanci czy może prokurator zdecydowali, by w mieszkaniu rapera zrobić kipisz. Znaleźiono 6 g marihuany. Filu Yaki oddał je dobrowolnie, przyznał się, że je posiadał, złożył wyjaśnienia. Grozi mu do trzech lat pozbawienia wolności. Europoseł jednej z gazet powiedział, że jego brat został potraktowany tak jak każdy.

W statystykach Komendy Głównej Policji w 1999 r. odnotowano 15,6 tys. przestępstw z Ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii, w roku 2019 prawie cztery razy więcej – ponad 59,3 tys. Chodziło głównie o posiadanie niewielkiej ilości narkotyku.

Według ostatniego, z 2018 r., badania Krajowego Biura ds. Przeciwdziałania Narkomanii i Kantar Polska najczęściej używanym narkotykiem w kraju była marihuana. Używało jej 12,1% populacji. Czy na popularność określonego narkotyku ma wpływ jego cena? Bez wątplenia. W 2018 r. najdroższymi narkotykami były heroína biała i kokaina – kosztowały 250 zł za gram, metamfetamina – 100 zł za gram, amfetamina – 40 zł za gram, haszysz – 22 zł za gram, marihuana – 20 zł za gram, a ecstazy – 20 zł za sztukę.

Tony narkotyków

Według danych z tego samego raportu w 2018 r. policja i straż graniczna zatrzymały 8,31 tony haszyszu, 4,26 tony marihuany, 1,32 tony amfetaminy, 31 kg metamfetaminy, 100 kg heroiny, 218 tys. tabletek ecstazy i 3,5 tys. listków LSD. Rok

później komendy wojewódzkie i Komenda Stołeczna Policji zatrzymały 2,44 tony marihuany i 23 kg haszyszu, a w pierwszej połowie 2020 r., po ponad trzech miesiącach pandemii, 1,66 tony marihuany i 20 kg haszyszu. Imponująca była liczba zatrzymanych tabletek ecstazy – w 2019 r. niemal 228 tys. sztuk, a w pierwszej połowie 2020 r. – 87 tys. sztuk.

W 2019 r. pod lupą Centralnego Biura Śledczego znalazło się 295 grup zajmujących się przestępstwami narkotykowymi. Zlikwidowano 28 fabryk narkotyków syntetycznych i 38 plantacji konopi indyjskich z prawie 11,5 tys. krzewów konopi.



Policjanci z Krośniewic zatrzymali 33-latkę, który ukrył w samochodzie ponad 280 gramów amfetaminy oraz ponad 100 tabletek ecstazy, 24 czerwca 2020 r.



Część narkotyków zabezpieczonych przez łódzkich policjantów u 54-latkę, który miał w sumie ponad 6 kg substancji psychoaktywnych o wartości prawie 200 tys. zł, 2 lipca 2020 r.

i substancji używanych do produkcji były jak najmniejsze. Dzięki temu, że w 2018 r. wprowadzono zmiany w Ustawie o przeciwdziałaniu narkomanii, teraz można szybciej reagować na pojawiające się nowe substancje psychoaktywne.

Jedną z wielu akcji CBŚP było przejęcie 1,2 tony GBL, bardzo niebezpiecznej substancji psychoaktywnej. Już z pierwszych ustaleń wynikało, że narkotyk był przesyłany z Chin na Litwę, a następnie szlak tranzytowy biegł przez Polskę do Europy Zachodniej i Południowej oraz Wielkiej Brytanii. Efektem

Zabezpieczono 7,25 tony środków odurzających i substancji psychotropowych, najwięcej kokainy – 3,65 tony, marihuany – 1,92 tony, amfetaminy – 0,94 tony, haszyszu – 0,49 tony, dopalaczy – 0,1 tony, a także

tej sprawy była delegalizacja GBL na Litwie. W Polsce jest on uważany za narkotyk.

Dopalacze w niełasce

Jak wynika z badania ESPAD dotyczącego młodzieży, zmniejszyło się zainteresowanie młodych ludzi dopalaczami. W 2011 r. kontakt z nimi miała co 10. osoba w wieku 15-16 lat, a w 2019 r. co 20. Jeśli zaś chodzi o 17-, 18-latków: w 2011 r. – 15,8%, a w 2019 r. – 5,3%.

Zaskakujące jest to, że aż 61,2% osób w wieku 15-16 lat zgodziło się spróbować marihuany lub haszyszu, a w grupie wiekowej

od narkotyków. Prowadzi w kraju 33 ośrodki dla uzależnionych od narkotyków lub od narkotyków i alkoholu. Poza tym w kraju są 42 monarowskie poradnie dla uzależnionych.

– Funkcjonują też placówki postrehabilitacyjne, np. hostele, w których mogą się zatrzymać osoby, które opuściły ośrodek. Tam pobyt jest bezpłatny lub opłata nie przekracza 400 zł miesięcznie – wyjaśnia Maria Banaszak, specjalista psychoterapii uzależnień, pełnomocnik Zarządu Głównego Stowarzyszenia Monar ds. badań i rozwoju. – Przez nasze ośrodki stacjonarne rocznie przewija się 3 tys. osób,

z jadalnią, gdzie codziennie rano spotykają się wszyscy podopieczni, żeby wspólnie zjeść śniadanie. Na parterze dwa pokoje czteroosobowe i jeden ośmioosobowy. Na piętrze pokój hostelowy na trzy miejsca. I najbardziej przestronna sala ośrodka, gdzie odbywają się terapie grupowe. Codziennie dwa razy.

– Praca terapeutyczna w ośrodku wymaga od leczących się sporego samozaparcia i samodyscypliny – wyjaśnia Anna Pejas. – Przebywają tu m.in. osoby, które wcześniej były w ośrodkach zamkniętych i tam nie wytrzymały. U nas łamanie regulaminu zdarza się bardzo rzadko. Pacjenci mogą wychodzić do miasta, załatwiać swoje sprawy, np. wizyty u lekarzy, mogą uporządkować sprawy socjalne, prawne, mogą się kontaktować z rodziną. Ostatnio przybyły do ośrodka cztery nowe osoby. Dwie wytrzymały, dwie odeszły. Jedna z tych, które odeszły, trafiła do nas po kilkunastu latach pobytu w więzieniu. Nie mogła się zaadaptować do nowych warunków, skierowaliśmy ją do stowarzyszenia specjalizującego się w pomocy postpenitencjarnej.

Anna Pejas potwierdza opinię Marii Banaszak. W tej chwili rzadko się zdarza, żeby ktoś był uzależniony od jednej substancji. Bywa, że uzależnieni biorą na zmianę substancje

W 2019 r. śmierć poniosło 126 użytkowników dopalaczy.

17-18 lat – 45%. Jeśli chodzi o dostępność poszczególnych substancji, młodzież twierdzi, że najłatwiej zdobyć leki uspokajające i nasenne. W 2011 r. po raz pierwszy zapytano o dostępność dopalaczy. Za dosyć łatwe i bardzo łatwe do zdobycia uznało je wówczas 40,5% 15-, 16-latków (na szczęście nastąpił znaczny spadek – w 2019 r. 22,5%) oraz 45,3% 17-, 18-latków (w 2019 r. – 26,0%). Spadek ów wynikał z tego, że dopalacze zostały zdelegalizowane, a sklepy stacjonarne zlikwidowano. Pytano też młodych ludzi, czy wiedzą, gdzie można kupić marihuanę i haszysz. W 2019 r. wiedziało to 37,8% 15-, 16-latków i 45,5% 17-, 18-latków. Najwięcej osób wskazało, że na ulicy lub w parku.

Raport głównego inspektora sanitarnego dotyczący zatrucia środkiem zastępczym lub nową substancją psychoaktywną w Polsce informuje, że w 2019 r. śmierć poniosło 126 użytkowników dopalaczy. W ich ciałach stwierdzono w sumie 282 substancje psychoaktywne. To znaczy, że te osoby mieszały narkotyki – albo dla wzmocnienia efektu, albo nieświadomie. Często także łączyły narkotyki klasyczne lub leki z dopalaczami.

Odwyk

Stowarzyszenie Monar jest największą organizacją, która zajmuje się osobami uzależnionymi

a z poradni korzysta ok. 50 tys. Są to nie tylko osoby uzależnione, ale także eksperymentujące i ich rodziny. Teraz rzadko się zdarza, że człowiek jest uzależniony od jednej substancji. Zwykle są to dwie, a nawet trzy. Na przykład może to być uzależnienie od narkotyków różnego typu i alkoholu. Z moich obserwacji wynika, że jeśli chodzi o narkotyki, dominują marihuana i stymulanty, czyli np. amfetamina lub należący do nowych substancji psychoaktywnych mefedron.

Kiedyś ludzie brali narkotyki po kilkanaście lat, teraz po dwóch-trzech latach są zniszczeni psychicznie.

Do ośrodków leczenia osób uzależnionych od narkotyków trafia się z własnej woli albo z nakazu sądu. Zazwyczaj są to ośrodki zamknięte, gdzie panuje rygor i dopiero po jakimś czasie, po spełnieniu określonych warunków, można wychodzić na zewnątrz. Zupełnie odmienny ośrodek Monaru funkcjonuje w centrum Warszawy. Krótkoterminowy Ośrodek Leczenia, Terapii i Rehabilitacji Uzależnień jest otwarty, a pensjonariusze nie tylko mogą, ale wręcz są zobligowani do opuszczania go od godz. 13 do 17.

Dyrektor Anna Pejas mówi, że trzeba było włożyć dużo wysiłku i zorganizować fundusze, żeby ośrodek reprezentował taki standard jak dziś. Łazienki elegancko wykończone, funkcjonalna kuchnia

pobudzające i uspokajające, np. heroinę i amfetaminę. Wszelkie inne są dopalacze i trudno trafić na kogoś, kto nie miał z nimi kontaktu. Jak mówi dyrektor Pejas, ludzie biorą teraz całą tablicę Mendelejewa.

Czystość wątpliwa

Elita, czyli ludzie na wysokich i ekspozycyjnych stanowiskach, wybierają kokainę. Cena 250 zł za gram skutecznie ogranicza krąg odbiorców. Elita kupuje kokainę ze sprawdzonych źródeł, zwykły człowiek musi się liczyć z tym, że narkotyk, choć drogi, nie będzie czysty.

– Na rynku nie ma czegoś takiego jak czysta marihuana – zaznacza Maria Banaszak. – Po pierwsze, susz może być mieszany z różnymi

► substancjami, o których kupujący nie wie. Po drugie, obecnie hodowane konopie indyjskie mogą mieć dużo wyższą zawartość THC – związku odpowiedzialnego za psychotyczne działanie marihuany – niż miały kilkanaście lat temu.

Ponadto, co podkreślają inni specjaliści zajmujący się narkotykami, hodowcy konopi indyjskich zadbali o to, by nie zawierały one kannabidiolu, CBD, który nie powoduje działania psychotycznego. Kannabidiol obniża działanie THC i może skutecznie ochronić człowieka przed druzgocącymi skutkami jego działania. Skoro jednak go wyeliminowano, marihuana stała się jeszcze silniejsza i bardziej szkodliwa.

Im człowiek młodszy, tym łatwiej narkotyki sięją spustoszenie w organizmie.

– To nie działa tak, że jeśli przyjmuje się narkotyk silniejszy, można go brać rzadziej – wyjaśnia Maria Banaszak. – Im narkotyk jest silniejszy, tym szybciej ludzie się uzależniają i częściej go biorą. I tym większe zmiany powoduje on w układzie nerwowym. W wyniku uzależnienia od marihuany można mieć silne stany depresyjne. Czy do Monaru zgłasza się więcej uzależnionych? Jeśli chodzi o liczbę osób uzależnionych od narkotyków, ok. 10 lat

temu sytuacja się ustabilizowała. Ale nawet jeśli liczby są podobne, to skutki przyjmowania narkotyków są bardziej przerażające, bo stały się one bardziej toksyczne. Kiedyś ludzie brali narkotyki po kilkanaście lat, teraz po dwóch-trzech latach są zniszczeni psychicznie. Istotne znaczenie ma wiek, w którym zaczyna się przyjmować narkotyki. Im człowiek młodszy, tym większe spustoszenie sięją w organizmie.

Halo, pomóż mi

Ogólnopolski Telefon Zaufania Narkotyki-Narkomania 800 199 990 jest czynny codziennie w godz. 16-21. Prowadzi go Krajowe Biuro

ds. Przeciwdziałania Narkomanii i ono ponosi koszty połączenia.

– Przed pandemią codziennie dzwoniło cztery-pięć osób, które poszukiwały pomocy. Teraz dzwoni średnio sześć osób dziennie – mówi Anna Twierdziańska, odpowiedzialna za funkcjonowanie telefonu. – W okresie pandemii zmalała liczba telefonów od niepełnoletnich, za to wzrosła od osób dorosłych. Przeważnie dzwonią bliscy lub rodzina osób uzależnionych od narkotyków. Telefony z prośbą o pomoc, bo partner zaczął brać narkotyki w czasie pandemii, raczej się nie zdarzały, bardziej chodziło o to, że branie się nasiliło. Osoby uzależnione stanowią ok. 20% dzwoniących, w większości to ludzie dorośli. Telefonują z całego kraju i z zagranicy.

– Warto zwrócić uwagę na fakt, że pandemia nie miała dużego wpływu na rynek narkotyków – twierdzi Artur Malczewski, kierownik Centrum Informacji o Narkotykach i Narkomanii w Krajowym Biurze ds. Przeciwdziałania Narkomanii. – Ceny narkotyków od października do kwietnia były stabilne. Występowały jedynie lokalne problemy w podaży. Na początku pandemii brakowało dopalaczy w Krakowie. We Wrocławiu z powodu zamknięcia granicy z Czechami brakowało przez jakiś czas metamfetaminy. Bez wątpienia pandemia wpłynęła na populację

uliczną użytkowników narkotyków, której część żyje np. z kradzieży i żebractwa, bo większość ludzi była zamknięta w domach i trudniej było zdobyć pieniądze na narkotyki. Dlatego programy redukcji szkód, w ramach których rozprowadza się igły i strzykawki oraz gaziki alkoholowe, zostały rozszerzone o dystrybucję płynów dezynfekcyjnych, maseczek i rękawiczek jednorazowych, jak również o dostarczanie jedzenia. W programach metadonowych, w których wcześniej uzależnieni otrzymywali codziennie dawkę metadonu, podczas pandemii dostawali zapas na dwa tygodnie, żeby nie musieli często wychodzić z domu. Z powodu utraty źródeł zarobku w dramatycznej sytuacji znalazło się wiele osób uzależnionych od heroiny i morfiny. One zgłaszały się do programów substytucyjnych. Mam nadzieję, że po zakończeniu pandemii część ludzi już nie wróci do narkotyków.

W Krajowym Biurze ds. Przeciwdziałania Narkomanii nie ma jeszcze danych, czy z powodu pandemii uzależnieni częściej sięgali po narkotyki. Są natomiast dane pokazujące, że ośrodki pomocowe przystosowały się do nowych warunków. – Aż 85% placówek wdrożyło nowe metody pracy z osobami uzależnionymi za pomocą systemów teleinformatycznych – mówi Malczewski. – Terapia indywidualna i grupowa oraz poradnictwo były prowadzone przez internet. Początkowo były problemy, jak zweryfikować tożsamość osoby, która korzysta z pomocy, a od tego zależy refundacja z NFZ. Ale poradono sobie z tym. Sądzę, że przynajmniej w części placówek pomoc online będzie kontynuowana po zakończeniu pandemii. To szczególnie ważne dla osób z małych miejscowości, które na terapię musiały dojeżdżać wiele kilometrów.

W badaniu ESPAD 2019, udośćnionym w czerwcu br., spytano młodzież m.in. o oczekiwania wobec narkotyków. Jeśli chodzi o marihuanę i haszysz, spodziewanymi efektami były zwiększenie intensywności doświadczeń, radości, otwartości, mniejsza nieśmiałość. Tych, którzy wierzą, że marihuana i haszysz to cudowne źródło radości, wkrótce czeka rozczarowanie.

Ewa Smolińska-Borecka



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wakacje są pokusą, są potrzebą i oszustwem, iluzją i prawdziwą nagrodą zarazem. Są czymś, gdzie i kiedy nie obowiązują normalne zasady ani ograniczenia. W tym samoograniczenia. Są niekiedy lepiej zaplanowane niż zwykłe życie, praca zawodowa, kariera albo wychodzenie z kłopotów. Są – lub mogą być – beztruską i powrotem do dzieciństwa z jego fascynującym, inaczej płynącym czasem. Są niekiedy ziszczonym marzeniem lub tylko stosunkowo niewinnym oderwaniem się od codzienności, z jej prozą obowiązków, rytymów, wyzwań i bycia kontrolowanym. Są marzeniem. Oczywiście wszystko to prawda, jeśli nas na nie stać, jeśli możemy sobie na nie pozwolić i jeśli chcemy je przeżyć. Wakacje

część tych rozmów wygląda jak spacer po nadmorskim deptaku, mazurskim pomoście lub przystanek w górach – zapelniają je ludzie niewidoczni, choć omawiani, oceniani, krytykowani, wyszydzeni, wyśmiewani. To oczywiście może oznaczać, że moi rozmówcy wcale nie są tacy, jak ich opisałem wcześniej: raczej wykształceni i obcy, czytający i rozdyktowani oraz kumaci. Ale chyba chodzi o coś innego, o coś, czego się nie uczymy, co nie zawsze mamy okazję wynieść z domu – o umiejętność krytycznego odkrywania własnego przywileju, mimo kłopotów i niezasobnego portfela.

Od kilku lat w okresie okołowakacyjnym ja sam dodatkowo pracuję fizycznie w czymś, co można nazwać usługami turystyczno-wypoczynkowo-sportowymi.

zwycięstwo. Nawet gdybym miał siłę, to skąd miałbym się dowiedzieć? Środki masowego rażenia, zwane kiedyś mediami publicznymi, a docierające do gigantycznej części społeczeństwa, tylko pogłębiają moją dezorientację. W internecie dominuje przekaz prawicowy, wujek Google serwuje info i wizję świata z odmetów prawicowych stron, stronek, stroneczek – wygrywają wyścig liczbowy po info, gdyż są „BEZPŁATNE”. A to kluczowe kryterium w wybieraniu źródła informacji. Nasza praca musi kosztować, więc kosztuje dostęp do mediów opiniotwórczych, a tymczasem opinię kształtują te niewiarygodne, za to darmowe. I nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak można oczekiwać, że ludzie wykonają kawał gigantycznej,

Czy stać nas na wakacje od polityki?

to stosunkowo nowy wynalazek ludzkości i wciąż dostępny tylko części z nas – ludzi.

Są niezbędnym resetem, oczyszczeniem, odświeżeniem umysłu i ciała – wreszcie się ruszamy, jeździmy na rowerze, pływamy. Jeśli nas stać. Będąc na wakacjach, raczej nie zaprzątamy sobie głowy tymi, którzy na nich nie są, nie będą, nie byli. Są niewidoczni, nie ma ich na wakacjach, czyli jakby ich nie było. Na wakacjach jest też sporo innych niewidocznych osób – to wszyscy ci, którzy zasuwać często po kilkanaście godzin na dobę, żeby nasze wakacje mogły się odbywać. Ludzie sprzedający nam rybę z frytkami, ciupagę znad morza lub przynoszący wiosła do kajaka nie zaprzątają naszej uwagi. Taka jest kolej rzeczy, my pracowaliśmy wcześniej, żeby nie musieć tego robić teraz, widocznie oni mają inaczej.

Ten dziwny wstęp miał mnie doprowadzić oczywiście do wątku politycznego, do wakacyjnych rozmów powyborczych, do rozrachunków i rozliczeń. Kilka takich rozmów odbyłem z ludźmi ze swojej „klasy” społecznej, raczej lepiej ustawionymi i sytuowanymi ode mnie, raczej wykształconymi i obytymi, czytającymi i rozdyktowanymi oraz – pozwolę sobie na poufałość zabarwioną protekcyjnością – inteligentnymi i raczej kumatymi. Właściwie spora

Nie wchodząc w szczegóły, to ciężka praca fizyczna, połączona z koniecznością dość aktywnego kontaktu z dziećmi, młodzieżą i często dorosłymi. Fascynuje mnie, kiedy oglądam własną niewidzialność, kiedy dzień w dzień podzielam doświadczenie milionów innych „niewidocznych”. Oczywiście to jak zawsze w jakimś stopniu krzywdząca generalizacja, bo zdarzają się „klienci”, dla których ja czy moi koledzy lub koleżanki (najczęściej młodszy o kilka dekad) są widoczni, traktowani jak ludzie. Sam mam dodatkowy przywilej doświadczenia rozpoznania, bo ktoś kiedyś coś mojego czytał, słuchał czy oglądał z tego, co robiłem w roli dziennikarza, publicysty, komentatora, wykładowcy. Pan tutaj? Czy to pan? Tak, to ja.

Ale zupełnie nie o tym chciałem napisać. Kiedy wracam po takiej szychcie do domu – a nie pracuję przecież w kopalni – to nie mam siły już na nic, na żadną politykę, informacje, zgłębianie tego, co się stało w parlamencie, czym zasłynął Andrzej Duda, czego nie powiedziała jego żona, jaki punkt ustawy zwolni od odpowiedzialności karnej kolejnego polityka PiS, co zgubiła Poczta Polska, jakim kłamstwem zaimponował Mateusz „Pinokio” Morawiecki, przekuwając we własnych ustach kolejną porażkę w historyczne

czasochłonnej, krytycznej roboty pod hasłem: chcę wiedzieć naprawdę, dogłębnie rozumieć, uczciwie przeanalizować.

Ci, którzy mają takie możliwości: czasowe, finansowe, intelektualne – tamtych nie widząc, opisując ich jako głupszą, przekupioną część społeczeństwa. Doprawdy?

Fundamentem otwarcia oczu na problemy i kwestie, które nam umykają, jest umiejętność wyjścia poza własny krąg postrzegania i opisywania świata – postawienie siebie w sytuacji kogoś zupełnie odmiennego. To trudne, ale bez tego nie rozumie się niemal nic i nikogo. W szczególności przyczyn i źródeł porażek politycznych.

ROMAN KURKIEWICZ

HALO RADIO
MEDIUM OBYWATELSKIE

PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Powstanie nie miało żadnego sensu

Na emigracji spór o powstanie warszawskie rozpoczął się jeszcze przed jego wybuchem

Bohdan Piętka

Sukces ma wielu ojców, tylko klęska jest sierotą – głosi popularne powiedzenie. Dlatego powstanie warszawskie wywołało ostre polemiki w różnych środowiskach – wśród ludzi kultury, publicystów i polityków. Jedną z najbardziej ożywionych debat toczyła się na emigracji, ponieważ tam po wojnie pozostało wielu polityków i wojskowych, w tym uczestników powstania, którzy nie chcieli lub nie mogli wrócić do kraju. Spór toczył się na kilku płaszczyznach – okoliczności i powodów podjęcia decyzji o powstaniu, kierunku polskiej polityki podczas wojny oraz wpływu doświadczenia powstania na postrzeganie polskiej historii. Między uczestnikami sporu nie było wyraźnej granicy politycznej. Krytyka wychodziła z kręgów zarówno piłsudczykowskich, jak i endeckich. Sensu polityczno-militarnego powstania bronili głównie jego autorzy – generałowie Tadeusz Bór-Komorowski, Antoni Chruściel i Tadeusz Pełczyński. Jednak po obu stronach sporu byli ludzie zarówno emigracyjnej prawicy, jak i lewicy.

Spór o powstanie rozpoczął się jeszcze przed jego wybuchem. 3 lipca 1944 r. na spotkaniu z premierem Stanisławem Mikołajczykiem gen. Kazimierz Sosnkowski – czołowa postać obozu piłsudczykowskiego w „polskim Londynie” – przedstawił swoje zalecenia dla dowództwa Armii Krajowej. Stwierdził wówczas m.in.: „Powstanie bez uprzedniego porozumienia z ZSRR na godziwych podstawach byłoby politycznie nieusprawiedliwione, zaś bez uczciwego i prawdziwego współdziałania z Armią Czerwoną byłoby pod względem wojskowym niczym innym jak aktem rozpacz”. Zarówno premier Mikołajczyk, jak i dowództwo AK postąpili wbrew temu zaleceniu i powstanie w stolicy rzeczywiście stało się aktem rozpacz.

Postawę Sosnkowskiego następująco ocenił emigracyjny historyk



Generałowie Pełczyński, Bór-Komorowski i Chruściel (nz. od lewej) podczas konferencji prasowej w maju 1945 r.) bronili polityczno-militarnego sensu powstania.

Zbigniew Siemaszko: „Generał Sosnkowski był najinteligentniejszym Polakiem, jaki żył podczas II wojny światowej. (...) Doskonale rozumiał, że powstanie nie ma żadnego sensu, że spowoduje tylko olbrzymie cierpienia ludności cywilnej i doprowadzi do rozbicia Armii Krajowej. Nie potrafił jednak tego swojego zdania narzucić Komendzie Głównej AK. Był bowiem wielkim marzycielem, który wierzył w kompromisy, w konsensus, chciał przekonywać, a nie rozkazywać. W efekcie w lutym 1944 r. właściwie wypuścił dowodzenie z rąk i pozwolił, żeby ośrodek decyzyjny przeniósł się do kraju”.

Bez szans powodzenia

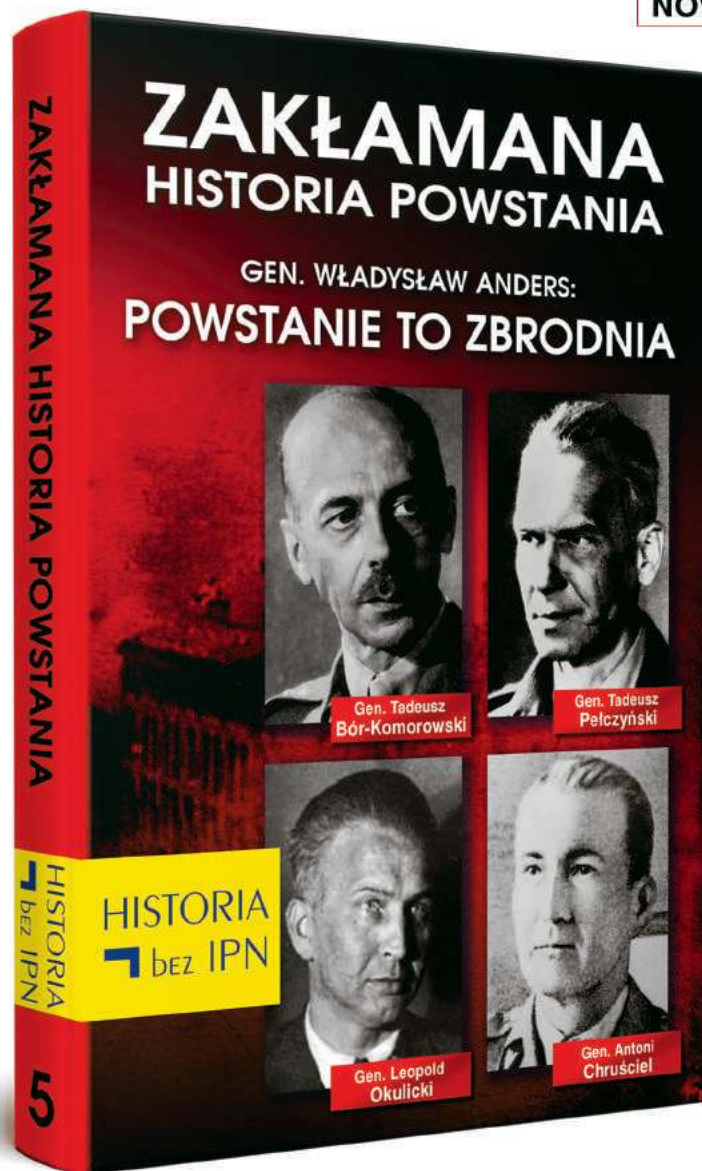
Znacznie ostrzejszą ocenę sformułował Stanisław Cat-Mackiewicz

– polityk konserwatywny i wybitny publicysta. W wydanej w 1958 r. książce „Zielone oczy” stwierdził: „Sosnkowski w czasie Powstania, zamiast zająć jakieś heroiczne i wyraźne stanowisko, siedział we Włoszech i dekorował żołnierzy”.

Wyraźne stanowisko zajął natomiast gen. Władysław Anders. W liście do ppłk. Mariana Dorotycz-Malewicza „Hańczy” z 31 sierpnia 1944 r. napisał: „Byłem całkowicie zaskoczony wybuchem powstania w Warszawie. Uważam to za największe nieszczęście w naszej obecnej sytuacji. Nie miało ono najmniejszych szans powodzenia, a naraziło nie tylko naszą stolicę, ale i tę część Kraju, będącą pod okupacją niemiecką, na nowe straszliwe represje. (...) Chyba nikt uczciwy i nieślepy nie miał jednak złudzeń, że stanie się to, co się stało, ▶

Droga do tragedii Nieznane dokumenty Państwa Podziemnego

NOWOŚĆ TOM 5



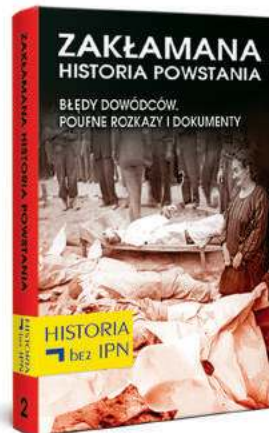
43 zł

**W PAKIECIE
TANIEJ**

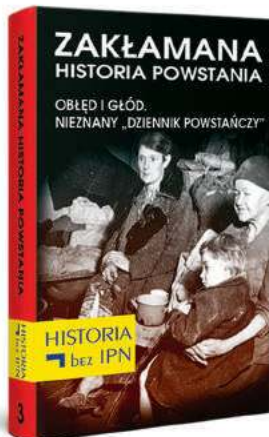
210 zł 159 zł



41 zł



42 zł



40 zł



44 zł



www.sklep.tygodnikprzeklad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► to jest, że Sowiety nie tylko nie pomogą naszej ukochanej, bohaterskiej Warszawie, ale z największym zadowoleniem i radością będą czekać, aż się wyleje do dna najlepsza krew Narodu Polskiego. Byłem zawsze, a także wszyscy moi koledzy w Korpusie, zdania, że w chwili, kiedy Niemcy wyraźnie się walą, kiedy bolszewicy tak samo wrogo weszli do Polski i niszczą tak jak w roku 1939 naszych najlepszych ludzi – powstanie w ogóle nie tylko nie miało żadnego sensu, ale było nawet zbrodnią”.

Pobrzmiwa w tych słowach echo tezy o „zdradzie Sowietów”, krzewionej później przez sprawców wybuchu powstania w celu odparcia oskarżeń o spowodowanie tragedii Warszawy. Jednakże poza tym gen. Anders wyraził się jednoznacznie – powstanie nie miało sensu politycznego ani wojskowego.

Z kolei Karol Popiel – podczas wojny minister w rządzie na uchodźstwie i przywódca Stronnictwa Pracy – w liście do inż. Jerzego Kulczyckiego z 9 kwietnia 1970 r. napisał: „Nie miałem wielkiego przekonania o człowieku, którego z całego tego środowiska najlepiej i najdłużej znałem, tj. o dawnym moim koleździe partyjnym z okresu istnienia NPR (Narodowej Partii Robotniczej – przyp. aut.), Delegacie Rządu Jankowskim. Krótki jego pobyt w Legionach w 1915 r. w kawalerii Beliny wyrobił w nim kompleks przesadnego pojęcia o fachowości wojskowych, któremu się ostatecznie podporządkował w decydującej chwili, chociaż nie wiemy i prawdopodobnie nigdy się już nie dowiemy, w jakich to nastąpiło okolicznościach”.

Do krytyków powstania należał także najbardziej znany historyk piłsudczykowski Władysław Pobóg-Malinowski. Swoją ocenę sformułował w trzecim tomie wydanej po wojnie w Londynie „Najnowszej historii politycznej Polski 1864-1945”. W publikacji tej rozprawił się z argumentami przebywających na emigracji dowódców AK, którymi usprawiedliwiali oni swoją decyzję o jego rozpoczęciu. Zdaniem Pobóg-Malinowskiego słabą był ich wywód, że ludność cywilna mogła sama rzucić się na Niemców, ponieważ w pierwszych dniach walki znikła ona z ulic, chowając się w mieszkaniach, piwnicach, bramach domów i innych miejscach. Słaba była również teza, że cywile ulegną

wzywającej do powstania agitacji komunistycznej, bo wpływ Polskiej Partii Robotniczej na warszawską opinię publiczną był niewielki. Złudne też było przekonanie dowództwa AK, że skoro walka o Wilno i Lwów nie wywołała głębszego oddźwięku w świecie, to wywoła je wystąpienie zbrojne w Warszawie. W opinii Pobóg-Malinowskiego Komenda Główna AK popełniła poważne błędy w ocenie sił i możliwości niemieckich na przedpolu Warszawy, a do powstania nie doszłoby, gdyby decydować mógł uwięziony przez Niemców rok wcześniej gen. Stefan Rowecki lub gen. Sosnkowski.

Główna odpowiedzialność za powstanie spada według tego historyka na premiera Mikołajczyka i rząd, szefa sztabu gen. Stanisława Kopańskiego i częściowo prezydenta Władysława Raczkiewicza. Pobóg-Malinowski

Stanisław Cat-Mackiewicz: „Sosnkowski w czasie Powstania, zamiast zająć jakieś heroiczne i wyraźne stanowisko, siedział we Włoszech i dekorował żołnierzy”.

pytał, dlaczego z decyzją o powstaniu nie zaczękano do zapoznania się z wynikami rozmów Mikołajczyka na Kremlu na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. Wedle jego oceny gen. Bór-Komorowski znał krytyczny stosunek wodza naczelnego gen. Sosnkowskiego do powstania, ale samowolnie postąpił wbrew jego zaleceniom. „Bór nie kierował swoim sztabem – prąca do walki część sztabu z Pełczyńskim, Okulickim, Chruścieniem ciągnęła Bora za sobą”, pisał piłsudczykowski historyk.

Wymowną ocenę powstania dał również polityk piłsudczykowski Ignacy Matuszewski, który na łamach ukazującego się w Detroit „Dziennika Polskiego” napisał krótko przed śmiercią: „Wszystko, co w powstaniu było zwycięstwem, jest tryumfem tych, co w murach Warszawy walczyli. Wszystko, co w powstaniu warszawskim jest klęską, spada odpowiedzialnością na tych, co z daleka kazali powstańcom iść ku zgubie”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta ocena koresponduje z ocenami powstania warszawskiego prezentowanymi w PRL, zwłaszcza po 1956 r.

Najostrzejsze oceny powstania formułowali politycy i publicyści endecy, co wynikało z jednej strony

z ich niechęci do piłsudczykowskiego dowództwa AK, a z drugiej z endeckiej szkoły realizmu politycznego, krytycznej wobec powstań narodowych w XIX w. i polskiego romantyzmu politycznego.

Fałszywe informacje

Niedługo po upadku powstania – w listopadzie 1944 r. – warszawskie środowisko Młodzieży Wszechpolskiej wydało oświadczenie. Czytamy w nim: „Decyzję o wybuchu powstania podjął gen. Bór-Komorowski i urzędujący Delegat Rządu bez przyzwolenia, a nawet powiadomienia przedstawicielstwa społeczeństwa, tj. Rady Jedności Narodowej. Odpowiedzialność w pierwszym rzędzie ponosi Komenda Główna Armii Krajowej. Była ona emanacją sanacyjnej klikki wojskowej skompromitowanej

już we wrześniu [19]39 roku. Trudno dziś orzec, jakie motywy kierowały nią przy wywołaniu powstania, postępowanie jej musi być oceniane jednak jako lekkomyślne. Mimo to ludzie ci próbują już dziś – podobnie jak w [19]39 roku – zrzucić z siebie odpowiedzialność za spowodowaną tragedię. Podają następujące przyczyny swego kroku: *primo* – że bolszewicy dochodzili do Pragi. Stwierdzonym jest jednak, że wywiad AK orientował się w charakterze zbliżających się sił sowieckich. Były to jedynie podjazdy niezdolne do zajęcia stolicy”.

Ktoś nieznający autorów tego oświadczenia mógłby pomyśleć, że wydała je Polska Partia Robotnicza, a nie Młodzież Wszechpolska. Autorzy cytowanego dokumentu już w listopadzie 1944 r. wiedzieli to, co później ustalili historycy – że wywiad AK orientował się w sytuacji militarnej na przedpolach stolicy. Fałszywe informacje na temat wejścia do prawobrzeżnej Warszawy sił radzieckich rozpowszechniał natomiast 31 lipca 1944 r. płk Antoni Chruściel, żeby wymusić na Komendzie Głównej AK decyzję o rozpoczęciu powstania.

2 października 1944 r. – w dniu kapitulacji Warszawy – znany działacz Stronnictwa Narodowego Adam



Gdy w Warszawie rozpoczynało się powstanie, gen. Sosnkowski w Londynie przyjmował odznakę od jednego z pułków pancernych.

bo życzyli go sobie wodzowie AK i życzył go sobie obóz polityczny, do którego należeli. Po pierwsze, byli oni wyznawcami ideologii powstańczej, wedle której, w imię irracjonalnych wyobrażeń i uczuć, każde pokolenie polskie powinno ozdobić swoje życie zrobieniem powstania; oni się szykowali do powstania od pięciu lat – i nagle okazuje się, że to powstanie jest w tej chwili niepotrzebne, a nawet szkodliwe; nie mogli tego znieść i powstanie musieli zrobić. Po wtóre, powstanie dawało im okazję do zrehabilitowania się po kompromitacji, jaką była kompromitacja wrześniowa, która przecież była przede wszystkim ich kompromitacją. Po trzecie, przez pięć lat wyobrażali sobie, że przez powstanie osiągną to, że nowy polski rząd utworzony będzie w kraju i będzie ich rządem, przez co usunięta będzie perspektywa, że wróci do kraju i obejmie władzę rząd emigracyjny, złożony przecież z polityków do niedawna opozycyjnych (...). Po czwarte, do wszczęcia powstania skłaniała ich myśl przeciwstawienia się nadchodzącej armii sowieckiej i idącej wraz z nią polskiej armii, politycznie zależnej od komunistycznego Związku Patriotów Polskich; powodowali się oni naiwną strategią objęcia w stolicy władzy, zanim armia »trzeciej siły«, w danym razie armia sowiecka, przyjdzie, i wyobrażeniem, że ich pierwszeństwo będzie przez nowych przybyszów uszanowane i uznawane».

Nie podnosi ducha narodu

Z tego Giertych wyciągnął następujący wniosek: „Powstania nie należało robić. Nie mogło ono przynieść żadnych większych politycznych korzyści, przeciwnie, przyniosło tylko polityczną szkodę. Gdyby się Warszawa, objęta powstaniem, doczekała przybycia armii sowieckiej – co było nadzieją złudną – armia ta potrafiłaby rządy powstańcze w Warszawie skutecznie obezwładnić i usunąć. A powstanie na czas pewien wypaliło energię polskiego narodu. (...) Warszawa została po wojnie

Doboszyński opublikował na łamach ukazującej się w Londynie „Wielkiej Polski” artykuł „Zmarnowany heroizm!”. Pisał w nim: „Nie byliśmy entuzjastami idei Powstania, wywołanego w dniu 1-szym sierpnia. Decyzja podjęcia każdej walki musi być w naszym pojęciu podyktowana racją polityczną i poczuciem odpowiedzialności za następstwa wszczętych działań”. Prawie rok wcześniej – w listopadzie 1943 r. – Doboszyński opublikował w londyńskiej „Walce” artykuł „Ekonomia krwi”,

Matłachowski, w wydanej w 1978 r. w Londynie książce „Kulisy genezy Powstania Warszawskiego”. Doszedł w niej do następującej konkluzji: „Analiza Powstania Warszawskiego, jego przedwczesnej decyzji wykazuje nieomaganie rygorów kompetencji, i to tam, gdzie ich brak grozi katastrofą, oraz niedopuszczalne lekceważenie odpowiedzialności na wysokim szczeblu hierarchii i nieobliczalnych skutków decyzji. Ani mundur, ani wysoki szczebel nie zwalniają

Najostrzejsze oceny powstania warszawskiego formułowali politycy i publicyści endeccy.

w którym stwierdził: „Naczelnym naszym zawołaniem powinna dziś być ekonomia krwi (której tak mądry przykład dają nam w obecnej wojnie Brytyjczycy). Jeśli Naród nasz wyłoni się w dobrej kondycji z tej strasznej konwulsji dziejowej, czeka go wielka przyszłość. Jeśli się skrwawi powyżej dopuszczalnej granicy, braknie mu sił do odbudowy niepodległego bytu”.

Krytycznie o dowództwie AK pisał kolejny polityk endecki, Jan Kanty

nikogo od nad wyraz poważnej odpowiedzialności, przeciwnie, powiększają odpowiedzialność człowieka za to, co czyni”.

Skrytykować dowództwa AK nie omieszczał również Jędrzej Giertych – polityk i dyplomata, jeden z bardziej znanych działaczy Stronnictwa Narodowego na emigracji. W wydanej w 1986 r. w Londynie pracy „Tysiąc lat historii polskiego narodu” pisał: „Powstanie zostało wszczęte,

► odbudowana. Jest wielką zasługą tych, co Polskę od 1945 roku rządili, że się na to wielkie dzieło zdobyli”.

Krytyczny wobec dowództwa AK i premiera Mikołajczyka był również Zbigniew Stypułkowski, polityk endecki, odznaczony za udział w powstaniu Żółtym Krzyżem Zasługi, w 1945 r. sądzony i skazany w procesie szesnastu w Moskwie. W wydanych po wojnie w Londynie wspomnieniach „Zaproszenie do Moskwy” napisał: „Kto miał świadomość, jaka katastrofa grozi stolicy w wypadku opanowania przez

Herlinga-Grudzińskiego brakuje zatem refleksji krytycznej. Ich stanowisko było podobne do tego, które zajmowali gen. Bór-Komorowski, Stefan Korboński czy antykomunistyczny pisarz Józef Mackiewicz. Najogólniej sprowadzało się do konkluzji, że za wszystko winę ponoszą Sowieci.

Krytycznego rozrachunku z powstaniem dokonało za to środowisko paryskiej „Kultury”, którego liderzy – Jerzy Giedroyc i Juliusz Mieroszewski – ewoluowali w latach 50. i 60. XX w. w stronę demokratycznej lewicy. Najważniejszy tekst rozrachunkowy –

Krytycznego rozrachunku z powstaniem dokonało środowisko paryskiej „Kultury”.

Niemców zbrojnego jej wystąpienia, winien był zwrócić uwagę na kierowanie nastrojami mas. (...) W żadnym razie nie wolno było samemu przyczynić się do podnoszenia temperatury, mobilizując młodzież na szereg dni przed powstaniem i trzymając ją zgromadzoną po mieszkaniach uzbrojoną i niecierpliwie oczekującą hasła do walki. (...) Jak wielkim błędem była chęć podtrzymania premiera Mikołajczyka w jego pertraktacjach moskiewskich przez zbrojne uderzenie Warszawy na tyły niemieckie, wykazała historia. Mikołajczyk, zamiast toczyć walkę ze Stalinem o sprawę polską, musiał błagać i żebrać o pomoc dla powstańców”.

Krytycznych ocen powstania warszawskiego nie znajdziemy natomiast w publicystyce polityków lewicy emigracyjnej. Wynikało to stąd, że ideologia powstańcza i tradycja polskiego romantyzmu politycznego były częścią etosu głównego nurtu Polskiej Partii Socjalistycznej (tzn. nurtu niepodległościowego i antykomunistycznego). Ponadto rząd na uchodźstwie, któremu od 29 listopada 1944 r. przewodził socjalista Tomasz Arciszewski, kontynuował linię polityczną dowódców powstania warszawskiego, co skończyło się wycofaniem mu przez aliantów zachodnich uznania na początku lipca 1945 r.

W publicystyce czołowych polityków emigracyjnej PPS – Arciszewskiego („Moralno-polityczne znaczenie powstania warszawskiego”), Zygmunta Zaremby („Społeczne oblicze Powstania”, „Warszawa w ogniu powstania”) czy Gustawa

„Powstanie Warszawskie i problem odpowiedzialności” autorstwa Tadeusza Sołowijskiego – ukazał się na łamach paryskiej „Kultury” w 1951 r. Artykuł ten stanowił recenzję wspomnień gen. Bora-Komorowskiego „Armia podziemna” oraz wydanej przez Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego „Armii Krajowej” (trzeciego tomu serii „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”). Sołowijski doszedł do następującego wniosku: „Decyzję o powstaniu podjęli w kraju i Londynie ludzie karmiący się złudzeniami niemającymi żadnego pokrycia

zostanie niezwłocznie poparta przez wojska sowieckie, przez wznowioną ofensywę, przez bombardowanie niemieckich obiektów wojskowych, przez rzucanie nam materiałów wojennych”.

Ta narracja, że winę za tragedię powstania ponosi ZSRR i nikt więcej, była powielana przez Bora-Komorowskiego w jego wywiadach i publikacjach po wojnie. Także w wydanym pośmiertnie opracowaniu „Powstanie Warszawskie”, gdzie napisał: „Za podjęciem akcji mającej na celu opanowanie Warszawy przed wkroczeniem do niej wojsk rosyjskich przemawiały względy natury wojskowej, politycznej i ideologicznej. Przygotowania niemieckie wskazywały, że Niemcy będą bronić Warszawy, że walki toczyć się będą na terenie stolicy o umocnione obiekty. W związku z tym miasto narażone będzie na poważne straty i zniszczenia. Jeżeli jednocześnie z uderzeniem rosyjskim od zewnątrz podjęta zostanie walka wewnątrz miasta, umożliwi to przyspieszenie jej końca i uchroni stolicę od nadmiernych strat i zniszczeń”.

Jeszcze inaczej uzasadnił powstanie gen. Pełczyński: „Naród polski odczuwał potrzebę udziału w walce toczzonej na jego ziemiach. Poczował się też do praw gospodarza na swoich ziemiach. Aby być gospodarzem na danym terenie, trzeba mieć

Narracja, że winę za tragedię powstania ponosi ZSRR i nikt więcej, była powielana przez Bora-Komorowskiego po wojnie.

w ówczesnej sytuacji międzynarodowej. Wykonano ją w momencie, który przesądził z góry o klęsce planu, któremu powstanie miało służyć”.

Gen. Bór-Komorowski ignorował krytykę formułowaną przez różne środowiska polityczne na emigracji. Przykładem są chociażby takie słowa dowódcy AK: „Wydałem rozkaz wszczęcia jawnej walki w Warszawie dnia pierwszego sierpnia 1944, w chwili gdy armia czerwona znajdowała się u samych wrót naszej stolicy (w rzeczywistości w dniach 25 lipca-5 sierpnia 1944 r. została odepchnięta przez Niemców od Warszawy – przyp. aut.) i kiedy wszystkie względy wojskowe zdawały się wskazywać, że chwila dojrzała do otwarcia bitwy na tym odcinku. Wydałem te rozkazy, ufając, że bitwa rozpoczęta wewnątrz miasta przez nasze siły,

w swym posiadaniu węzły komunikacyjne, a więc miasta. Stąd udział Armii Krajowej w walce o Wilno, o Lwów i o miasta Okręgu Lubelskiego”. Powstanie warszawskie było zatem rzekomo wolą narodu, a nie kilku wyższych dowódców AK.

Po 1989 r., a zwłaszcza po otwarciu w roku 2004 Muzeum Powstania Warszawskiego, stało się ono jednym z kluczowych elementów realizowanej w Polsce polityki historycznej. Dzisiaj jest ważną częścią antykomunistycznego i antyrosyjskiego mitu założycielskiego nowej Polski. Do kreacji tego mitu przyjęto narrację generałów Bora-Komorowskiego i Pełczyńskiego, a prawie zupełnie pomija się lub marginalizuje krytykę powstania. Także tę uprawianą przez polityków i publicystów na emigracji.

Bohdan Piętko

Bunty społeczne w II RP

Rozmawia
Przemysław Prekiel

Józef Piłsudski po zamachu majowym powiedział w Sejmie: „Czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata”. Następne lata pokazały, że było to niemożliwe?

– Brutalizacja życia publicznego to dziedzictwo I wojny światowej. Była powszechna w okresie międzywojennym, miała miejsce również przed zamachem majowym. Problemem po przewrocie było z jednej strony to, że skoro raz złamało się konstytucję, stało się to nawykiem w różnych obszarach. Z drugiej – za przemocą często stały państwo i obóz rządowy. I nie mówimy tu o zgodnej z prawem działalności policji. Polska pomajowa jest obszarem działania tzw. nieznanymi sprawców w oficerskich mundurach. Ich ofiarą padali niechętni sanacji publicyści czy politycy.

Policja była zbrojnym ramieniem sanacji?

W państwa księżce pada nawet określenie „policja sanacyjna”.

– To nie jest nasze określenie, to pojęcie ze źródeł. Policja zawsze jest zbrojnym ramieniem państwa. Jedną z immanentnych jego cech jest to, że ma prawo dysponować siłą, by zmusić obywateli do posłuszeństwa. Ta formacja to dziecko późniejszego prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Właśnie on przeprowadził przez Sejm ustawę tworzącą Policję Państwową. I rzeczywiście, choć niedoskonała, w późniejszych latach policja służyła państwu. Zmieniało się to po zamachu majowym.

W jaki sposób?

– To był proces łamania policjantom kręgosłupa – metodą drobnych świństw, przyzwyczajania ich do coraz większych nadużyć. Najpierw do

Nieprawdą jest, że Józef Piłsudski nie wiedział o znęcaniu się nad aresztowanymi postami



PROF. JANUSZ MIERZWA

– historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się historią społeczną i dziejami administracji II RP. Wspólnie z Piotrem Cichorackim i Joanną Dufurat niedawno wydał „Oblicza buntu społecznego w II Rzeczypospolitej doby wielkiego kryzysu (1930-1935). Uwarunkowania, skala, konsekwencje”.

ograniczania działalności publicznej opozycjonistów, później dopuszczając się fałszerstw wyborczych – na mniejszą skalę w 1928 r., na większą w roku 1930. Było to widoczne zwłaszcza na prowincji, gdzie policję wykorzystywano jako partyjną bojówkę. W efekcie od przełomu lat 20. i 30. część społeczeństwa utożsamiała działalność Policji Państwowej z jednym obozem politycznym – z sanacją. Na to, że jest to proces szkodliwy dla młodego państwa, zwracał uwagę m.in. Wincenty Witos. Niestety, w późniejszym okresie ten proces jeszcze się nasilił.

Przełomem z pewnością okazało się osadzenie byłych postów opozycji w twierdzy wojskowej w Brześciu nad Bugiem. Na początku nikt o tym nie wiedział, ale czy później było ono wstrząsem dla społeczeństwa?

– Samo aresztowanie tajemnicą nie było – informacja o nim rozeszła się już 10 września 1930 r., natomiast to, co się działo z więzionymi w Brześciu, wyszło na jaw dopiero po ich zwolnieniu. Aresztowania były przeniesieniem sporu politycznego na zupełnie inny poziom, bo po raz pierwszy wobec działaczy legalnych partii sięgnięto po taki instrument. Protestowały przede wszystkim elity wywodzące się ze środowisk academic-

kich, które nigdy nie były bliskie sanacji. Wywierały one presję moralną na władzę, zwłaszcza na profesorów związanych z obozem sanacyjnym, np. na prof. Adama Krzyżanowskiego, postać BBWR, który po proteście oddał mandat. Nie przesadzałbym jednak z szerokim rezonansem społecznym. Aresztowania postów nie wywołały jakiejś szczególnej reakcji mas, co negatywnie skomentował np. Witos. Liczył on na to, że w tej sytuacji kraj się ruszy. 14 września 1930 r., kilka dni po aresztowaniach, ▶

► Centrolew planował wielkie manifestacje, ale doszło do nich jedynie w kilku miastach, m.in. w Warszawie i Toruniu. Skala protestu nie była jednak duża.

Symbolem Brześcia stał się płk Wacław Kostek-Biernacki. To był zaufany marszałka, człowiek do zadań specjalnych?

– Wykorzystywano go w sytuacjach, gdy bez oglądania się na konteksty i protesty należało osiągać cele. W 1930 r. nie pojawił się znikąd. Sławę okrutnika zdobył już w czasie I wojny światowej, kiedy jako dowódca żandarmerii legionowej w bezwzględny sposób rozprawiał się z prawdziwymi i domniemanymi szpiegami rosyjskimi. Później kręcił się w Krakowie w czasie zająć w listopadzie 1923 r. i brał udział w najściu oficerów na Sejm w 1929 r. Nie jest prawdą, że Józef Piłsudski nie wiedział o znęcaniu się nad aresztowanymi postaciami. Miał świadomość tego, kim jest Kostek-Biernacki i co w Brześciu się dzieje. Inna rzecz, że sam Kostek doświadczył z powodu brzeskiego epizodu trochę przykrości. On i jego podkomendni spotkali się z ostracyzmem towarzyskim ze strony części korpusu oficerskiego.

Został jednak w 1931 r. wojewodą nowogródzkim, a w latach 1932-1939 był wojewodą poleskim.

– Bo czyny brzeskie – w opinii sanatorów – go nie dyskwalifikowały. Trafił na placówki w Nowogródku i Brześciu, po to by uporać się



W procesie brzeskim odbywającym się od 26 października 1931 r. do 13 stycznia 1932 r. w Warszawie zeznawali jako świadkowie funkcjonariusze Policji Państwowej. Nz. przodownik Józef Rostek z Supraśla.

państwowego na akty terroru ze strony ukraińskich nacjonalistów. Dochodziło do niszczenia infrastruktury i gospodarstw, których właścicielami byli Polacy czy lojalni wobec państwa Ukraińcy, atakowano też urzędy państwowe itd. Policja nie dawała sobie rady.

Dlaczego?

– Było jej za mało. W II RP mieliśmy ok. 30 tys. policjantów. Trzykrotnie mniej niż dzisiaj, a ludności Polska miała wówczas tylko kilka milionów mniej, przy większym obszarze. W sytuacjach kryzysowych policja systemowo korzystała z pomocy

– Moment wybuchu kryzysu zawsze zaskakuje, więc nie to było problemem. Stanowisko elit sanacyjnych było takie, że ten kryzys będzie przypominał wszystkie wcześniejsze; że będzie dotyczył kilku gałęzi gospodarki, będzie stosunkowo krótki, a potem wrócimy na ścieżkę wzrostu. Zdecydowano się zatem na przeczekanie, strategię „kryzys musi się wyszumieć” i związane z tym dostosowanie gospodarki do kryzysowych warunków. Ale to nie był normalny kryzys. A w odniesieniu do nadzwyczajnych sytuacji należało podejmować ekstraordynaryjne kroki. Im później władza to zrozumiała, tym wyższą cenę płacono społeczeństwo. **Kiedy to pojął polski rząd?**

– Bardzo późno, dlatego koszty poniesione przez obywateli RP były wysokie. Na początku zastosowano strategię przeczekania, późniejsze działania były chaotyczne i doraźne, pozbawione planu. Tu likwidacja podatku, tam wprowadzenie nowego dodatku do podatku. Z jednej strony, oddłużanie wielkich majątków, a z drugiej – egzekucja zaległych podatków u małych rolników. Wbrew oficjalnej propagandzie nie mieliśmy wówczas do czynienia z solidaryzmem społecznym. Poza tym rząd do końca uparcie bronił silnej waluty. Bano się ograniczyć wywóz dewiz i złota w przekonaniu, że zniechęci to inwestorów zagranicznych do angażowania się

Polska pomajowa to obszar działania tzw. nieznanych sprawców w oficerskich mundurach.

z problemem ruchu wywrotowego. Zwłaszcza na Polesiu było to duże wyzwanie. Był bezwzględny, nie obyło się bez skrytobójstw, „zaginięć” itd. Stawiane przez niego diagnozy często były słuszne. Paradoksalnie zwalczał np. stosowanie przez policję przemocy w czasie przesłuchań. Zresztą i wcześniej, w Legionach, potrafił powiesić podkomendnego za gwałt.

W tym samym czasie dochodzi do pacyfikacji Małopolski Wschodniej. Zastosowano zasadę odpowiedzialności zbiorowej?

– To nie jest sprawa jednoznaczna. Nie ulega wątpliwości, że była to reakcja polskiego aparatu

wojska. Tak też się działo wcześniej, np. w Krakowie w listopadzie 1923 r. Użycie armii w Małopolsce Wschodniej miało uspokoić nastroje, odbudować autorytet polskich władz, pokazać, kto tak naprawdę kontroluje sytuację. Ale wojsko jest szkolone do walki, nie do zadań policyjnych. Nie działa finezyjnie, ma tendencję do stosowania odpowiedzialności zbiorowej i z tym mieliśmy do czynienia w 1930 r. w województwach południowo-wschodnich.

W państwa książce dominującym tematem jest bunt społeczny w czasie wielkiego kryzysu. Czy kryzys gospodarczy zaskoczył sanacyjne władze?

w Polsce. O tym, że II RP nie była dla nich atrakcyjna, decydowały jednak inne kryteria – przez cały okres międzywojenny byliśmy postrzegani jako kraj wysokiego ryzyka.

W czasie kryzysu ludzie śmielej zaczęli protestować dopiero w 1932 r. Bali się, byli cierpliwi?

– To była kwestia zmęczenia, utraty cierpliwości i nadziei na lepsze jutro. Poza tym kończyły się rezerwy

Bezrobotni byli bardziej zdeterminowani i nie mieli nic od stracenia?

– Tak. Na bezrobociu można być kilka miesięcy, pół roku, ale nie kilka lat. Co gorsza, w okresie wielkiego kryzysu pojawiło się bezrobocie strukturalne – zwolnieni np. w 1930 r. trwale wypadli z rynku i nawet po powrocie na ścieżkę wzrostu, po 1935 r., często nie znaleźli zatrudnienia. Proszę zwrócić uwagę, że

Na prowincji policję wykorzystywano jako bojówkę partyjną.

z czasów lepszej koniunktury – zarówno pieniądze, jak i możliwość wyprzedzić co bardziej wartościowych rzeczy z domu. Dotykało to głównie społeczności wiejskie. Strajki z 1932 r. stanowiły apogeum sytuacji kryzysowej.

Do największej liczby wystąpień robotniczych dochodziło na terenie dawnego Królestwa Polskiego.

– Strajki robotnicze są tam, gdzie jest przemysł. A w największym stopniu, poza Śląskiem, był on skoncentrowany właśnie w dawnej Kongresówce.

Spokojne za to były Kresy Wschodnie.

– Na Kresach zakładów przemysłowych było niewiele, więc i strajkować nie było komu. Bunt na Kresach będzie miał inny charakter. Będzie związany ze strukturą społeczną i narodowościową tego obszaru. Stąd z jednej strony bardziej chłopskie formy protestu (strajk rolny, opór antypodatkowy itd.), a z drugiej występujące tam napięcie podsyczał ruch wywrotowy (np. w formie zbliżonej do partyzantki).

W województwach poleskim, wołyńskim i nowogródzkim buntu społecznego z powodu bezrobocia w ogóle nie odnotowano.

– W II RP statystyki bezrobocia w niewielkim stopniu oddawały rzeczywistą skalę zjawiska. W środowiskach miejskich nie obejmowały pewnych grup, np. młodych wchodzących na rynek pracy, w wiejskich zaś bezrobocia agrarnego (tzw. ludzi zbędnych). Kresy były generalnie obszarami nieuprzedmiotowionymi, toteż bezrobocia, poza agrarnym, w zasadzie tam nie było. Może to i lepiej, bo demonstracje bezrobotnych były groźniejsze niż strajki robotnicze.

gdy polska gospodarka w latach 1936-1938 rozwijała się, bezrobocie nie spadało. Było to konsekwencją dużego przyrostu naturalnego, nowe miejsca pracy zajmowali młodzi wchodzący na rynek, wypychając tym samym starszych.

Dochodziło więc do tragedii. Dobitnie widać to w „Pamiętnikach bezrobotnych” wydanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego.

– Tak, to doskonałe źródło dla historyków i świadectwo tego czasu.

Determinacja oburzonych musiała być ogromna, skoro atakowano posterunki policji i urzędy gminy.

– Na pewno w okresie 20-lecia ławitwiej było podnieść rękę na policjanta. To konsekwencja tego, że obywatele mieli zdecydowanie więcej broni niż współcześnie, ale i wspomnianej

Kostek-Biernacki był bezwzględny, nie obyło się bez skrytobójstw i „zaginięć”.

małej liczby policjantów. Zdarzało się, że jeden czy dwóch funkcjonariuszy stawało naprzeciw kilkusetosobowego tłumu. Dysproporcja wręcz zachęcała do agresji. Na części obszaru II RP policjant nie był traktowany jak swój – w województwach wschodnich był uosobieniem państwa polskiego. Jeżeli Ukrainiec czy Białorusin chciał uderzyć w państwo, policjant był najlepszym celem. Część napadów na posterunki policji to również efekt działalności komunistów (chodziło np. o zdobycie broni). Wójt mógł jeszcze być uznawany za swojego, ale policjant już nie. Z kolei ataki na urzędy gminy nie miały charakteru skoordynowanego. Zazwyczaj były efektem niezadowolenia z niewystarczającej pomocy udzielanej przez samorząd

poszkodowanym w czasie kryzysu. Pewną rolę odegrało też przerzucanie odpowiedzialności przez władze centralne na samorząd. Dodawanie samorządom obowiązków bez idących za tym pieniędzy nie jest wynalazkiem III RP.

Co decydowało o sukcesie strajku? Świadomość strajkujących?

Współdziałanie, jak w czasie strajku we wrześniu 1932 r. w Borysławsko-Drohobyckim Zagłębiu Naftowym? Tam obok socjalistycznych związków zawodowych stanęli członkowie sanacyjnego Związku Związków Zawodowych.

– Strajki robotników miały co do zasady charakter niepolityczny. Strajk to zawsze ostateczność i konkretny problem do rozwiązania. Strajkowanie, bo np. robotnicy nie dostawali pensji przez sześć, a nawet dziewięć miesięcy. Protest był więc etycznie uzasadniony, a mieszanie do tego polityki mogłoby pogorszyć sytuację protestujących. Gdyby strajk był słuszny i sanacyjne związki stałyby z boku, ich członkowie zaczęliby uciekać do innych organizacji. Warto dodać, że władze wobec strajkujących, którzy wysuwali tylko postulaty ekonomiczne, zachowywały się neutralnie lub wręcz życzliwie.

Dlaczego?

– Ponieważ postulaty strajkujących były sprawiedliwe.

Jaki był zatem bilans sanacji w czasie wielkiego kryzysu?

– Moja ocena pierwszej połowy lat 30. jest negatywna. „Czynnik decydujący”, czyli Józef Piłsudski, na gospodarce się nie znał i jej znaczenia nie doceniał. Polityką gospodarczą zajmowali się albo dyletanci, tacy jak Ignacy Matuszewski czy Jan Piłsudski, albo zawodowi ekonomiści, jak Władysław Zawadzki, ale o poglądach konserwatywnych. A w czasach kryzysu zwycięża ten, kto ryzykuje. Polska polityka gospodarcza w czasie wielkiego kryzysu była bardzo ostrożna, konserwatywna. Przyniosło to sporo szkód, a cenę, jak zawsze, zapłaciło społeczeństwo. W postaci biedy, bezrobocia, rozwoju znacznie poniżej możliwości.

Przemysław Prekiel

Jak zarobić na kwarantannie



Mateusz Mazzini

Do istnienia gigantów monopolistów wśród koncernów technologicznych wszyscy zdążyliśmy się przyzwyczaić. Zapytani o tych największych przestrzeni internetowej, bogatszych od niejednego niepodległego państwa i bardziej wpływowych niż demokratycznie wybierane rządy, wymienimy jednym tchem: Google, Facebook, Twitter, Amazon, Microsoft czy Apple. Jeszcze niedawno w tym gronie często pojawiała się inna marka – Skype.

Pierwsza platforma pozwalająca w miarę łatwo i przede wszystkim darmowo przeprowadzać na odległość wideorozmowy przez długie lata zdawała się mieć nienaruszalną pozycję na rynku. Wygrywała prostym interfejsem i – paradoksalnie – ograniczoną liczbą opcji. Za pomocą Skype'a początkowo można było tylko wykonywać połączenia internetowe pomiędzy użytkownikami, w wersji z samym dźwiękiem lub wzbogaconej o obraz z kamery wideo. Z czasem dodano możliwość jednoczesnej rozmowy z kilkoma osobami czy płatne połączenia na konkretne numery telefonów – i to właściwie tyle. Nawet przejście firmy przez Microsoft w 2011 r. nie doprowadziło do radykalnej modernizacji. Skype przez większość swojego

Pandemia nie okazała się wyrównywaczem – pomogła tym już bogatym, biednych zmarginalizowała

istnienia pozostawał tym, czym był na początku. Prostą aplikacją, spopularyzowaną zwłaszcza przez emigrantów łączących się z rodzinami w kraju. Ale też synonimem trudności technicznych, słabej jakości połączeń i nieustannej frustracji użytkowników.

Wydawałoby się, że pandemia koronawirusa będzie idealną okazją do podreperowania tego wizerunku. Zwłaszcza że w międzyczasie pozycja monopolisty zamieniła się w mgliste wspomnienie. Połączenia wideo upowszechniły się na skalę masową, bo zaczęły je oferować również popularne komunikatory internetowe, w tym Facebook Messenger i WhatsApp.

dobrze nawet przy kilkunastu uczestnikach rozmowy. COVID-19 i wywołana nim masowa kwarantanna, przenosząca rzeczywistość zawodową w ogromnym stopniu do sieci na długie miesiące, tylko przyspieszyły ten proces.

Skype temu wyzwaniu nie podołał. Dziejowa szansa, jaką wytworzyła migracja pracowników niemal wszystkich sektorów gospodarki do internetu, w przyszłości będzie zapewne opisywana bardziej jako niewykorzystana szansa powrotu na szczyt niż wielki sukces Skype'a. Założona w 2003 r. platforma przegrała pandemiczną rywalizację

Skype przegrał rywalizację z młodszym Zoomem. Lepszym, szybszym, bardziej rozwiniętym.

Zmienił się także rynek usług internetowych, a wraz z nim oczekiwania klientów. Potrzeba było już nie tylko platformy łączącej rodziny i znajomych bez konieczności płacenia za rozmowy, ale też profesjonalnego serwisu umożliwiającego stabilne, wysokiej jakości i przede wszystkim bezpieczne połączenia biznesowe, w dodatku działającego jednakowo

z młodszym rywalem – Zoomem. Lepszym, szybszym, bardziej rozwiniętym. Mniej awaryjnym i przede wszystkim umożliwiającym kilkunasto- czy kilkudziesięcioosobowe rozmowy bez utraty jakości. Zoom konkurentów w ostatnich miesiącach wręcz znokautował. Jak poinformowała Kelly Steckelberg, członkini zarządu firmy odpowiedzialna

za jej finanse, tylko w kwietniu, podczas globalnego szczytu pandemii, w wirtualnych spotkaniach na Zoomie codziennie uczestniczyło ponad 300 mln użytkowników. Jeszcze w grudniu było ich 10 mln dziennie – aż 30 razy mniej. Największy wzrost dał się zauważyć w grupie użytkowników płatnych. Taką licencję trzeba wykupić, żeby móc prowadzić nielimitowane rozmowy w grupach powyżej 10 osób. Zoom

tygodniach serwisy informacyjne zaczęły się rozpisywać o spółkach, które zyskały na wartości, choć wokół szaleje kryzys finansowy i społeczna niepewność. Prawie nigdy nie są to jednak historie nowo powstałych podmiotów ani firm, które przed koronawirusem były małutkimi spółkami funkcjonującymi na granicy opłacalności. Wręcz przeciwnie, zaraza, zamiast wielkim wyrównywaczem, stała się wielkim

poziomie aż 37%. Novavax pracowała też w 2015 r. nad szczepionką na ebolę, miała więc doświadczenie w działaniu pod presją czasu i w obliczu potencjalnych ogromnych korzyści finansowych. Skok w czasach pandemii koronawirusa był znaczący, ale nie można mówić, że firma wybijała się do niego z poziomu ulicy.

Czasami sukces finansowy ostatnich miesięcy wymagał drobnych modyfikacji, a nawet zmian części linii produkcyjnych. Przykładem takiego scenariusza jest Alok Industries, indyjska firma odzieżowa, w lutym wykupiona przez wielobranżowy konglomerat Reliance Industries. Alok sam najlepiej na rynku sobie nie radził, kilkakrotnie w ostatnich latach bronił się rozpaczliwie przed bankructwem. Przejęcie przez Reliance uratowało przyszłość firmy, ale wcale nie z powodu nowego pomysłu na szycie ubrań do sklepów sieciowych. Przemysłowy gigant natchniony przestawił produkcję z codziennych tekstyliów na medyczną odzież ochroną, której w ostatnich miesiącach brakowało jak świat długi i szeroki. Alok odbił się od dna, wycena akcji poszła w górę o niemal 200%. Znów jednak nie był to sukces organiczny, ale powrót na piedestał za pomocą pieniędzy i pomysłów nowego, silnego właściciela.

Firma odzieżowa Alok Industries przestawiła produkcję z codziennych tekstyliów na medyczną odzież ochroną.

w pandemii sprzedał ich ponad 265 tys., co oznaczało wręcz niebotyczny wzrost o 354% rok do roku.

Błyskawicznie przełożyło się to na wyniki finansowe spółki. W pandemicznym kwartale jej zyski wyniosły 328 mln dol. – ponad dwa razy więcej niż w analogicznym okresie 12 miesięcy wcześniej. Umocniła się także jej pozycja na giełdzie. Akcje Zooma są teraz o 284% droższe niż na początku 2019 r. Jednym słowem – pełen sukces.

Robienie z Zooma cudownego dziecka czasów koronawirusa, kopciuszka, który skutecznie postawił się monopolistom, jest jednak mocno przesadzone, a nawet niezgodne z prawdą. Platforma ta, owszem, zyskała wielu nowych użytkowników, ale nie zaczynała wcale od zera – ani finansowo, ani pod względem popularności. Już wspomniana wyżej liczba 10 mln uczestników spotkań dziennie pokazuje, że i przed pandemią firma radziła sobie całkiem nieźle. Mało tego, jej wycena już w 2017 r. przekroczyła miliard dolarów, umożliwiając Zoomowi wejście do elitarnego grona tzw. jednorożców, czyli start-upów z Doliny Krzemowej, których wartość rynkowa przekroczyła tę działającą na wyobraźnię granicę.

Krótko mówiąc, Zoom prosperował od kilku lat i był na najlepszej drodze do dalszej ekspansji – niezależnie od warunków sanitarnych na planecie. Pandemia niewątpliwie mu pomogła, przyspieszyła to, co było najpewniej nieuniknione – już bogactw uczyniła jeszcze bogatszymi.

Tymi słowami można opisać w zasadzie każdy sukces finansowy czasu pandemii. W ostatnich

katalizatorem podkreślającym tempo procesów globalnego kapitalizmu.

Tak było również w przypadku firmy farmaceutycznej Novavax, której głównym produktem rynkowym są szczepionki, w tym wprowadzona w ubiegłym roku do testów klinicznych, bardzo dobrze zapowiadająca się nowa szczepionka na gripę. Od tych już istniejących różni się spektrum działania, ma bowiem pokrywać znacznie więcej szczepów wirusa niż tradycyjne preparaty. Działająca jednocześnie w USA i Szwecji firma weszła też do rywalizacji o szczepionkę na koronawirusa. I choć w tym wyścigu raczej nie zajmie pierwszego miejsca, nie znaczy to, że na samym uczestnictwie

W przypadku Novavax wystarczyły spekulacje, że pracuje nad szczepionką, i już akcje poszły w górę.

w nim nie zyska. Na początku roku jej wycena rynkowa wahała się w okolicach 90 mln dol. To mniej więcej ten sam poziom, na którym utrzymywała się przez ostatnie 20 lat. W lipcu wyraźnie przekroczyła już 4 mld dol. Wystarczyły same spekulacje, że Novavax pracuje nad szczepionką, której zaraz potrzebować będzie każdy kraj.

Podobnie jednak jak w przypadku Zooma spółka nie była w tego typu projektach nowicjuszem. Już w 2015 r. otrzymała opiewający na 89 mln dol. grant od fundacji Billa i Melindy Gatesów. Przeznaczony był na finansowanie badań nad szczepionką przeciwko wirusowi RSV, chorobie atakującej górne drogi oddechowe i w szczególnych warunkach osiągnącej śmiertelność na

Wszystkie te historie dobitnie pokazują, że na pandemii najbardziej zyskali najwięksi. To oni mieli odpowiednio zasoby technologiczne, ludzkie, ale też finansowe, żeby doinwestować swoje biznesy, wprowadzić niezbędne zmiany, a często przejąć inne podmioty i praktycznie przebranżowić je, dostosowując operacje do warunków i potrzeb rynkowych. Inni gracze, mniejsi, biedniejsi, nie mieli szans na choćby porównywalny procentowo sukces. Walczyli o przetrwanie, ale i o niezależność od gigantów monopolistów. Nie wszystkim oczywiście to się udało. Co wzmacnia tezę, że pandemia, choć momentami zmieniała w naszym życiu bardzo wiele, w dłuższej perspektywie nie zmieniała nic.

Lech Miodek

All inclusive. Czuje się moc plastikowej bransoletki, która pozwala spełnić wszelkie marzenia. Pyszna piña colada, daiquiri, mojito i szaszłyk z dopiero co zerwanego mango. Błękit nieba, krystalicznie czysta woda. Możesz wsiąść do chevroleta, buicka lub cadillaca z lat 50., które na Kubie nazywają „migdałowcami”, i pojechać na wycieczkę po okolicy albo wybrać rejs żaglówką lub łodzią. A potem iść do spa, gdzie pokryją cię pływającym błotem i mocno wymasują, byś poczuł swoją wyjątkowość.

Najlepiej znanym Polakom ośrodkiem wypoczynkowym Kuby jest Varadero. Wzdłuż bardzo długiej, przeszło 20-kilometrowej plaży wznoszą się jeden przy drugim piękne kurorty, harmonijnie wtopione w przyrodę Karaibów. Są w nich hotele, restauracje, sklepy, parki, bary, w których przygrywiają pianiści, siłownie czy sale gier. Prawdziwą duszą hoteli jest ekipa animatorów, która również uczy salsy, jogi i języka hiszpańskiego.

Wszystkie te atrakcje z powodu pandemii koronawirusa od połowy marca były niedostępne, ale nie puście. Personel bowiem wykorzystał czas lockdownu na malowanie i konserwację obiektów, w tym urządzeń klimatyzacyjnych, kuchni, basenów, pokoi, części wspólnych, a także na kształtowanie otoczenia. Dziś odnowione hotele czekają na turystów.

Nie jest tajemnicą, że turystyka to jeden z filarów gospodarki wyspy – ponad 40% udziału w kubańskim PKB. Zatrudnienie znalazło w niej 108 tys. osób. Kubie bardzo więc zależy na przyjazdach zagranicznych gości i będzie robiła wszystko, aby czuli się tu dobrze, a przede wszystkim bezpiecznie. W styczniu minister turystyki Manuel Marrero Cruz objął stanowisko premiera.

Otwieranie kraju na turystów podzielono na trzy etapy. W pierwszym goście zagraniczni mogą przyjeżdżać na wyspy Cayo Coco, Cayo Santa María, Cayo Guillermo i Cayo Cruz. Etap drugi to otwarcie obiektów turystycznych dla Kubańczyków, a trzeci, który według szacunków ma się rozpocząć na przełomie września i października, oznaczać będzie otwarcie całego kraju dla gości z zagranicy. Meliá, hiszpański lider w turystyce



Mojito ma smak spokoju

By zapewnić bezpieczeństwo, w każdym kubańskim hotelu będą lekarz i pielęgniarka

kubańskiej, który w ubiegłym roku przyjął w swoich hotelach prawie 5 mln gości, po 100 dniach przestoju już zapowiedział wznowienie działalności. Sieć zarządza 34 hotelami i niemal 15 tys. pokoi, a to oznacza 30% kubańskiej sieci hoteli czteroi pięciogwiazdkowych.

Pierwszych gości na Cayo Coco przyjmie Pullman Cayo Coco z sieci turystycznej Gran Caribe i Playa Paraíso z Gavioty. Na Cayo Santa María na przyjęcie gości są już przygotowane Hotel Playa Cayo Santa María, Iberostar Ensenachos, Meliá Las Dunas i Dhawa Cayo Santa María.

Kuba szczególnie czeka na turystów z Kanady, którzy przylecą bezpośrednio na lotniska w Santa Clara i Jardines del Rey. Kanadyjska sieć Blue Diamond Resorts ma na wyspie 20 obiektów hotelowych. Turyści z Polski na razie muszą poczekać na uruchomienie połączeń.

Co bardzo ważne, organizatorzy gwarantują bezpieczeństwo epidemiczne. Wszyscy goście po przylocie na lotnisko, a przed zajęciem miejsc w autokarach, które będą ich zabierać bezpośrednio do hoteli, zostaną poddani szybkim testom na COVID-19. W hotelach przejdą powtórne badanie. Jeśli wynik okaże się negatywny – turysta będzie mógł spokojnie wypoczywać, jeśli pozytywny – pechowiec trafi do szpitala. W każdym hotelu będą lekarz i pielęgniarka. W nagłych przypadkach chory zostanie przetransportowany do szpitala.

By zapewnić bezpieczeństwo, hotele zmniejszyły liczbę przyjmowanych gości. Wszędzie będzie obowiązywał reżim sanitarny, utrzymywanie odpowiedniego dystansu, częsta dezynfekcja wszystkich powierzchni. Obsługa będzie pracować przez siedem dni w tygodniu, po czym będzie poddawana tygodniowej kwarantannie i szybkim testom. W klubach, kabinach i dyskotekach będzie mogła się bawić najwyżej połowa dotychczasowych gości.

To, co ważne dla zagranicznego turysty – od 20 lipca został zniesiony 10-procentowy podatek pobierany za dolary wymieniane w kantorach.

Choć COVID-19 doprowadził na Kubie do śmierci tylko 87 osób, nie zmarł żaden lekarz, system opieki zdrowotnej nie upadł, przeciwnie – lekarze kubańscy zyskali za swoją pomoc wdzięczność wielu krajów, to sytuacja Kuby – blokada, embargo na rynkach finansowych, kłopoty z zakupami paliwa i żywności oraz lockdown – wymusiła na kierownictwie jeszcze inne zmiany. Prezydent Miguel Díaz-Canel Bermúdez w czasie posiedzenia rządu 16 lipca zaprezentował założenia planu, w którym zwracającą uwagę nowością jest wzmocnienie roli gospodarczej samorządów lokalnych. Plan zakłada m.in. zmniejszenie importu i zwiększenie eksportu oraz zmiany strukturalne w rolnictwie i firmach produkujących artykuły rolne, tak aby zaspokoić popyt wewnętrzny i zagwarantować suwerenność żywnościową społeczeństwa. ■

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Jak dopieścić lud?

Uprzyjaciół, 100 km od Warszawy. Wynajęli na tydzień domek. Wioska blisko małego łłowa, w pobliżu Bzura wpływa do Wisły. Domek niezwykły, z XVIII w., kryty strzechą, biały z niebieskimi okiennicami, wnętrza urządzone w dawnym stylu. To pozostałość po holenderskim osadnictwie, od wieków w Polsce osiedlali się Holendrzy, niestety nie było ich wielu. Polska z dużym wkładem holenderskim ogromnie by zyskała. Byli ludźmi wolnymi, lokowano ich na specjalnych prawach, zawsze na podmokłych terenach, bo posiadli umiejętność ich osuszania. Jak bardzo musieli się wyróżniać na tle nędzy i brudu ówczesnej polskiej wsi, skoro nawet dzisiaj ta wiejska chatupa holenderska uderza urodą i dbałością.

Trochę jeździmy po okolicach, wszędzie zmiany na lepsze, bywają oznaki dobrobytu, ale nadal góruje brzydota – pocieszana kwiatami, wolność rozkrzewiła kwiaty – bo złe budownictwo wpisane jest w ten krajobraz od stuleci i na stulecia. I wszędzie wisi Duda, już wygrał, więc jako oznaka miłości i triumfu, żal go zdejmować. Ten Duda ma wiele wspólnego z estetycznym zaniedbaniem Polski – jego kampania, jego załganie, jego oblicze.

W pobliżu tego domu dąb kilkusetletni, jak wielkie, wspaniałe, przedpotopowe zwierzę. Słyszę, jak oddycha. Dotykam wielu warstw jego pomarszczonej skóry. I odczuwam nabożny szacunek dla tego stworu.

Modne jest obecnie zwalanie przez elity winy na elity za to, że Trzaskowski przegrał. Bo elity gardzą prostym człowiekiem i tę pogardę okazują. Coś w tej tezie jest, ale tylko coś, sam ciągle wracam do myśli, że upodlenie polskiego chłopca przez szlachtę, uwierzenie go, upokorzenie określiło duszę wsi na stulecia. Ale polski chłop na naszych oczach wyzwala się z chłopca i staje farmerem, któremu wiedzie się lepiej niż miastowemu. Ci ludzie jednak mają szczególną wrażliwość na lekceważenie. Tylko co mają robić ci wykształceni, prawi, wierzący w obywatelskość i demokrację, gdy widzą brzydotę, ciasne, czarnosieńskie myślenie, ksenofobię? Kajać się i przeproszać: to nasza wina, nas, dawnych panów, że tacy jesteście, szanujemy was, a nawet kochamy, przytulcie się do nas i wpędzajcie dalej w mrok naszą wspólną ojczyznę? Hitlerizm też wziął się z upokorzenia mas. Czy należało szanować ich ból i żądę rewanżu? To bardzo trudna, prawie niemożliwa figura. Nie mam wrażenia, że w kampanii Trzaskowskiego były liczne ele-

menty lekceważenia prowincji. Wprost przeciwnie, Trzaskowski bardzo się starał ją dopieścić, dowartościować, uwieść. Bliska mi jest teza, że wszystkie skrajne postawy, nawet zbrodnia, dadzą się wyjaśnić na gruncie psychologicznym. Zło człowieka to chore dzieciństwo, urazy, geny. Tak, przestępca jest też ofiarą. Uważam nawet, że zbrodniarzy powinno się wsadzać nie do więzienia, ale do ośrodków, gdzie można ich leczyć. Tak kiedyś będzie, jeśli będzie kiedyś. Ale co mamy począć tu i teraz? Mądrale symetriści lubią pouczać, ale nigdy nie mają pomysłu, co robić w obecnej sytuacji. Inteligencja ma chodźć w lud, korzyć się i proponować ludowi masaż całego ciała. A przecież będę dzisiaj klepią nie rolnicy, ale nauczyciele i pisarze, lud jednak nadal zazdrości elitom salonów w pałacu, chociaż nie ma już pałacu ani w nim salonu. Nowym salonem jest telewizja. Jakże ważne były podarunki PiS dla rodzin, dla emerytów. Ale to oczywiście. I dopieszczanie ludzi nacjonalizmem. Jacy my jesteśmy wspaniali, jak nas krzywdzono. Lud już widzi, że PiS robi desant na stanowiska, kradnie i zawłaszcza bez porównania bardziej niż PO, ale lud uważa, że wszyscy kradną, nie ma na to rady, a oni kradną i dają, tamci kradli i nie dawali.

Ściek ma swoje prawa, swoje koryta, ale przecież potem można się umyć.

Kolejne osoby z grona moich znajomych deklarują, że wyjeżdżają z Polski, po wyborach obrazili się na Polskę. Najgłośniej robi to pisarka Manuela Gretkowska, ona zwykle czyni wokół siebie dużo zgiełku. Miałem z nią kiedyś serdeczne stosunki, a teraz śmiertelnie się na mnie gniewa, pewnie napisałem coś, co ją zabolowało. Tak, mam niewyparzoną klawiaturę. Przyjaźniłem się z jej mężem, zanim nie zabroniła mu się ze mną kontaktować. Tak bywa. Oczywiście wylał się na Gretkowską hejt, co ona podobno bardzo przeżywa. Dziwię się jej. Ściek ma swoje prawa, swoje koryta, ale przecież potem można się umyć. Telewizja reżimowa wysłała nawet ekipę na lotnisko, by sfilmować, jak pisarka opuszcza gniazdo, które pokalała. W 1968 r. nie nagrywano w celach komicznych wyjeżdżających z Dworca Gdańskiego po antysemickiej nagonce. Ale te smutne sceny mam w pamięci. Są jak żywe. A dlaczego telewizja nie nagrywała? Bo nie kierował nią wtedy Jacek Kurski.

Wiecznie młodzi i zdrowi dzięki sześciu mikrometrom?

Komórki VSELs są kluczem do opracowania nowych leków spowalniających procesy starzenia

Rozmawia Grażyna Cudak

Pandemia pokazała, że wciąż bywamy bezradni wobec natury. Z drugiej strony pana odkrycie VSELs w komórkach macierzystych pobudziło wyobraźnię i przekonanie, że biomedycyna przynosi nam w dłoniach wszechświat – to miły krok w rozwoju medycyny. W 2006 r. otrzymał pan Nagrodę Fundacji Nauki Polskiej, takiego polskiego Nobla w dziedzinie medycyny. Ale co to znaczy VSELs?

– To komórki. Nazwę VSELs wymyślił prof. Wiesław Jędrzejczak, mój nauczyciel. Kiedy pokazałem wyniki, powiedział, że trzeba je nazwać, i taką nazwę zaproponował. VSELs, czyli skrót z angielskiego: *very small embryonic-like stem cells*. Wyodrębniliśmy je ze szpiku kostnego myszy. Potem odkryliśmy analogiczne komórki w tkankach człowieka. W badaniach tych od początku brała aktywny udział prof. Magdalena Kucia i komórki VSELs były tematem jej rozprawy doktorskiej, a później habilitacji. Odkryte przez nas komórki mają mniej niż sześć mikrometrów średnicy, w tkankach jest ich niewiele, a ich liczba, co teraz już wiemy, niestety zmniejsza się wraz z wiekiem. Dlatego tak istotne było opracowanie ich namnażania poza ustrojem, w chemicznie zdefiniowanych pożywkach, co ostatnio udało nam się osiągnąć i opatentować. Jest to głównie zasługa prof. Janiny Ratajczak, która opracowała metodę ich namnażania.

Jakie choroby potencjalnie mogą być leczone VSELs?

– Komórki VSELs mają szansę leczyć uszkodzenia wielu narządów, np. mięśnia sercowego, narządów ruchu, ośrodkowego układu nerwowego, wątroby, nerek, naczyń krwionośnych. Drugim aspektem



PROF. DR HAB. MARIUSZ RATAJCZAK

– kierownik Zakładu Medycyny Regeneracyjnej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i dyrektor Centrum Badań nad Komórkami Macierzystymi Uniwersytetu Louisville

wykorzystania wiedzy o tych komórkach jest opracowanie innowacyjnych strategii leczniczych z wykorzystaniem nowoczesnej farmakologii, diety oraz stylu życia, w którym obecna jest wzmożona aktywność fizyczna. Pozwoli to na utrzymanie tych komórek w jak najlepszej kondycji w ustroju, co być może spowolni procesy starzenia. Nie znaczy to, że będziemy wiecznie młodzi i zdrowi, ale możemy starzeć się wolniej i w dobrej kondycji.

Co z problemem etycznym?

– Komórki VSELs są izolowane z dorosłych tkanek, niezależnie od wieku człowieka. Równolegle podejmowano w świecie kroki zmierzające do wykorzystania w medycynie regeneracyjnej komórek izolowanych z zarodków. Budziło to wątpliwości bioetyków. W zeszłym roku nasze badania prezentowałem w Collegium Gregorianum w Rzymie na konferencji organizowanej przez prof. Éliane Gluckman z Europejskiej Szkoły Hematologii, a zjazd odbył się pod patronatem kard. Gianfranca Ravasiego, który jest przewodniczącym Papieskiej Rady ds. Nauki. Była aprobata hierarchów kościelnych, ponieważ nasze komórki są izolowane z tkanek po porodzie. Jednak uważam, że jeśli powstanie technologia oparta na bezpiecznym stosowaniu komórek macierzystych izolowanych z zarodków lub np. powstałych w wyniku manipulacji genetycznej, to również powinniśmy dać im zielone światło.

Od prawie 50 lat bezpiecznie są stosowane krwiotwórcze komórki macierzyste w leczeniu schorzeń hematologicznych, niektórych wybranych chorób metabolicznych oraz chorób z autoagresji. Ja koncentruję się na zastosowaniu komórek macierzystych w leczeniu innych schorzeń spoza układu krwiotwórczego, np. w chorobach serca, naczyń, ośrodkowego układu nerwowego, nerek, wątroby czy siatkówki gałki ocznej.

Czym te komórki różnią się od innych pierwotnych komórek?

– Wyglądają jak bardzo wczesne rozwojowo komórki z zarodka. Są zdeponowane jako prekursorzy innych komórek macierzystych w dorosłych tkankach. Znajdują się tam w stanie uśpienia, ale znamy mechanizmy, dzięki którym wybudzają się i dają początek innym komórkom macierzystym tkanek i narządów.

Czy z badań wynika, że jest różnica w zastosowaniu rodzaju komórek macierzystych pod względem ich efektywności w leczeniu?

– Komórka macierzysta, aby spełniła pokładane w niej nadzieje, musi być obdarzona potencjałem różnicowania się w tkankę docelową, którą chcemy odbudować (np. krwiotwórcza komórka macierzysta). Najlepiej, jeśli jest to komórka tzw. wielopotencjalna, tzn. obdarzona możliwością różnicowania się we wszystkie tkanki organizmu. Musi to być także komórka bezpieczna, która nie niesie

– Finansowanie otrzymało konsorcjum pięciu instytucji, w skład którego weszli lider i koordynator projektu – Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie, a także Uniwersytet Jagielloński, Śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego oraz Instytut Biologii Doświadczalnej PAN. Uzyskaliśmy grant na realizację dziewięciu zadań badawczych, m.in. zbadanie roli i właściwości biologicznych komórek VSELs w regeneracji skóry i w chorobie

30 ośrodków na świecie potwierdziło nasze badania, że komórki VSELs są szansą na leczenie wielu schorzeń.

niedokrwiennej serca, poznanie roli komórek macierzystych w powstawaniu i ekspansji nowotworów czy zbadanie możliwości wykorzystania komórek VSELs w terapii regeneracyjnej schorzeń ośrodkowego układu nerwowego. Równolegle były prowadzone badania nad innymi rodzajami komórek macierzystych izolowanych z dorosłych tkanek oraz badania nad efektami parakrynnymi komórek macierzystych w procesach regeneracji. Mój zespół otrzymał z tego grantu 6 mln zł brutto na pięć lat. **Mijają lata, pieniądze wydano, a o komórkach macierzystych wciąż tylko się mówi...**

– Grant zakończył się wieloma wartościowymi publikacjami

z wykorzystaniem populacji komórek wzbogaconej we VSELs. Pragniemy obecnie tę próbę kontynuować.

I co dalej w Polsce, bo Europa bada komórki macierzyste? Obecnie konsorcjum ponad 400 laboratoriów oraz lekarzy z Europy zajmujących się komórkami macierzystymi otrzymało wsparcie pieniędzmi Unii w ramach programu Horyzont 2020.

– W Polsce badania stanęły w miejscu bez wdrożeń klinicznych. W tym samym czasie ponad 30 ośrodków na świecie potwierdziło nasze badania,

że komórki VSELs są szansą na leczenie wielu schorzeń. Są również kluczem do opracowania nowych leków spowalniających procesy starzenia. To szansa dla polskiej biotechnologii, tym bardziej że inne typy komórek macierzystych nie spełniają w chwili obecnej pokładanych w nich kiedyś nadziei. Ale powoli wracamy na drogę badań w Polsce.

Zatrzymajmy się przy tym, jakie badania prowadzi się na świecie.

– Przykładowo nad zastosowaniem komórek VSELs w leczeniu choroby popromiennej. Obecnie jedyną terapią jest przeszczep szpiku kostnego. Kolejny przykład – zastosowanie komórek VSELs w leczeniu skutków zapalenia przyzębia. Szacuje się, że forma przewlekła tej choroby dotyczy 10,8% populacji świata, co stanowi ok. 750 mln ludzi. Najnowsze badania naukowe wskazują również istotny związek zapalenia przyzębia z rozwojem i progresją chorób układu sercowo-naczyniowego, w tym zawału serca i udaru mózgu. Dane przedkliniczne dowodzą efektywności terapii komórkami VSELs w procesie regeneracji tkanki kostnej. Pierwsze tego typu badanie kliniczne obejmujące dużą liczbę pacjentów rozpocznie się w najbliższych tygodniach. Inny przykład to zastosowanie komórek VSELs w leczeniu następstw osteoporozy. Szacuje się, że w Europie, USA i Japonii na osteoporozę choruje łącznie ok. 75 mln ludzi. Ponadto ryzyko zgonu z powodu osteoporozy jest porównywalne do śmiertelności spowodowanej rakiem piersi w grupie kobiet po menopauzie. Trendy

Komórki VSELs mogą leczyć uszkodzenia wielu narządów, np. mięśnia sercowego, wątroby, nerek, naczyń krwionośnych.

ryzyka tworzenia potworników czy nowotworów.

Do czego obecnie na świecie stosuje się komórki VSELs?

– Do tej pory bardzo obiecujące wyniki są głównie w modelach zwierzęcych. W wypadku człowieka istotne było namnożenie ich poza ustrojem do celów terapeutycznych. Można więc myśleć o zastosowaniach u człowieka. Obecnie mamy technologię, która to umożliwia.

Wróćmy do polskich początków.

Po otrzymaniu polskiego Nobla wystąpił pan do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju o wsparcie projektu „Innowacyjne metody wykorzystania komórek macierzystych w medycynie” kwotą 45 mln zł.

i obserwacjami. Z tych funduszy ośrodki, które brały udział w projekcie, zostały wyposażone w dodatkowy sprzęt i utworzono nowe miejsca pracy. Badania zakończyły się obronami wielu doktoratów i kilku rozpraw habilitacyjnych. Zorganizowano cztery międzynarodowe konferencje naukowe pod hasłem „Baltic Stem Cell Meeting”, propagujące polskie badania nad komórkami macierzystymi. Były liczne publikacje w renomowanych czasopiśmie naukowych z listy filadelfijskiej, wykazu najważniejszych w świecie pism naukowych. W ramach grantu z NCBR mogliśmy zakupić unikatowy sprzęt i sponsorować wstępną próbę kliniczną w kardiologii

► demograficzne w kontekście starzejących się społeczeństw podkreślają wagę badań ukierunkowanych na znalezienie nowej strategii terapeutycznej. Uszkodzenia siatkówki czy twardzina układowa – w tym przypadku trwają badania przedkliniczne.

Uniwersytetu Medycznego, Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytutu Wysokich Ciśnień PAN. Razem rozwijamy nowe obszary badawcze w zakresie medycyny regeneracyjnej, nanomedycyny, drukowania 3D, zaawansowanych metod

Macierzystych opracowujemy protokoły ich klinicznego zastosowania w warunkach GMP (ang. *good medical practice* – czyli zachowania dobrych praktyk medycznych). Wierzę, że będzie to polski oryginalny wkład intelektualny w rozwój nowych metod medycyny regeneracyjnej.

Komórki macierzyste stają się nowatorską terapią medyczną.

W 2007 r. amerykańska firma biofarmaceutyczna NeoStem (od 2015 r. Caladrius) otrzymała na nie wyłączne prawa licencyjne. A co z VSELs?

– Jak wiem, jest kilka patentów na te komórki na świecie, ale my posiadamy patent najwcześniejszy – patent, który jest *prior art*, oraz wspomniany patent na ekspansję tych komórek do celów leczniczych, co jest ogromnym krokiem naprzód do ich zastosowań klinicznych. W czerwcu

Dane przedkliniczne dowodzą efektywności terapii komórkami VSELs w procesie regeneracji tkanki kostnej.

Jak rozumiem, praca nad komórkami trwa zwłaszcza w dwóch ośrodkach uniwersyteckich, gdzie pan pracuje. Myślę tu o Louisville oraz Warszawskim Uniwersytecie Medycznym.

– W Polsce obecnie otrzymaliśmy grant na dofinansowanie w ramach konkursu Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Mazowieckiego 2014-2020 w ramach działania 1.1. Działalność badawczo-rozwojowa jednostek naukowych – Typ projektów – Wsparcie infrastruktury badawczo-rozwojowej jednostek naukowych. Grant pozwolił na wyposażenie Zakładu Medycyny Regeneracyjnej WUM w unikatowy sprzęt służący do wdrożenia technologii w Polsce. W chwili obecnej go kompletujemy. Grant został przyznany na realizację projektu „Centrum Badań Przedklinicznych i Technologii – CePT II”, który został przygotowany przez konsorcjum Warszawskiego

diagnostycznych, a więc obszarów, które znajdują się na liście priorytetowych kierunków badań w ramach tzw. innowacyjnych specjalizacji województwa mazowieckiego. Nasza działalność ma stanowić pomost między realizowanymi w uczelniach i jednostkach naukowych projektami badawczymi a partnerami z otoczenia gospodarki.

Komórki VSELs mogą być zastosowane w leczeniu następstw osteoporozy.

W Wielospecjalistycznym Szpitalu Wojewódzkim w Gorzowie konsultuję powstanie Banku Komórek Macierzystych. Równolegle pracuję nad badaniami z Uniwersytetem Yale, kliniką w Paryżu, ale także Uniwersytetem w Białymstoku czy Katowicach oraz wieloma innymi instytucjami. Obecnie we współpracy m.in. z Polskim Bankiem Komórek

tego roku złożyłem również ze swoim zespołem wnioski grantowe do Unii Europejskiej – w konsorcjum pięciu instytucji, którego liderem jest Fraunhofer Institute for Production Technology IPT, ośrodek w Niemczech – by podjąć badania i ocenić zastosowanie komórek VSELs w okulistyce. Od początku tymi badaniami interesują się ośrodki niemieckie, np. Frankfurt Initiative for Regenerative Medicine, Experimental Orthopedics & Trauma Surgery czy Uniwersytet J.W. Goethego z Frankfurtu nad Menem. W 2014 r. otrzymałem największą doroczną nagrodę Niemieckiego Towarzystwa Transfuzjologii i Immunoterapii – Nagrodę im. Karla Landsteinerja za odkrycie tych komórek.

Panie profesorze, pracuje pan zarówno w Polsce, jak i w USA.

Wiadomo, że prowadzenie badań wymaga pieniędzy. Czy widzi pan zasadnicze różnice w podejściu?

– Dziedzina zastosowania komórek macierzystych w medycynie to ogromny potencjalny rynek, wart miliardy dolarów. Trwa tutaj ostra walka o pieniądze inwestorów, granty itd. Są różne lobby regulujące ten aspekt i potrzebna jest siła przebić. Walka jest ostra i czasami mało merytoryczna. Bywa tak, gdy chodzi o pieniądze. Niezależnie od kraju.

Grażyna Cudak



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

Fakty i mity troski o dobre powietrze

Głównym źródłem katastrofalnego zanieczyszczenia powietrza w Polsce są samochody

Lucjan Pawłowski

W ostatnich latach, mówiąc o ochronie środowiska, coraz częściej wymieniana jest ograniczanie emisji dwutlenku węgla i związany z tym problem odchodzenia od węgla.

Najbardziej znany jest wpływ dwutlenku węgla na ogrzewanie się klimatu. Jak powstaje efekt cieplarniany? Ciepło ze Słońca przesyłane jest na Ziemię w formie promieniowania, które nagrzewa powietrze i powierzchnię Ziemi – tego promieniowania tzw. gazy cieplarniane nie zatrzymują. Z kolei z nagrzanej Ziemi wypromieniowywane jest ciepło w formie promieniowania w podczerwieni i ono już jest zatrzymywane w atmosferze przez gazy cieplarniane, takie jak dwutlenek węgla, metan czy para wodna.

Samo zjawisko efektu cieplarnianego jest korzystne dla klimatu Ziemi, gdyby bowiem ciepło nie było zatrzymywane, temperatura na jej powierzchni wynosiłaby minus 14 st. C. Problem w tym, że w wyniku spalania paliw kopalnych, tj. węgla, ropy i gazu, emitowane są duże ilości dwutlenku węgla, który zawarty w atmosferze zatrzymuje ciepło, przyczyniając się do wzrostu temperatury. Przy okazji należy wspomnieć, że dwutlenek węgla w atmosferze wpływa pozytywnie na wzrost biomasy, działa na wzrost roślin podobnie jak nawozy.

Rola Polski w ograniczaniu efektu cieplarnianego jest znikoma, gdyż udział naszego kraju w globalnej emisji dwutlenku węgla wynosi 1%, więc gdybyśmy nawet zaprzestali spalania węgla, to efekt w skali globalnej byłby niezauważalny.

Z raportu „Zanieczyszczenia powietrza w Polsce: stan, przyczyny, skutki” opracowanego przez Komitet Inżynierii Środowiska Polskiej Akademii Nauk wynika, że głównym źródłem rzeczywiście katastrofalnego



zanieczyszczenia powietrza w Polsce są samochody. Niestety, dzięki dzielnemu kapitalizmowi promowanemu od czasu tzw. reform Balcerowicza do Polski masowo zaczęto sprowadzać stare samochody. Według danych Eurostatu po polskich drogach jeździ najwięcej starych samochodów w całej UE – aż 33,7% ma 20 i więcej lat.

Ponadto nie potrafiono zaradzić przestępczej praktyce wycinania filtrów z silników Diesla, co w istotny sposób prowadzi do wzrostu emisji pyłów. Jest to działalność nosząca znamiona przestępstwa. Tymczasem można znaleźć ogłoszenia zakładów oferujących takie usługi. Z niezrozumiałych powodów nie karze się za to.

Po polskich drogach jeździ najwięcej starych samochodów w całej Unii, jedna trzecia ma 20 i więcej lat.

Europejska Agencja Ochrony Środowiska, powołując się na raport WHO z 2016 r., podała, że spośród 50 najbardziej zanieczyszczonych miast w Europie aż 33 to miasta polskie. Świadczy to o bardzo poważnym zagrożeniu dla zdrowia dużej części Polaków. W tej sytuacji uznajemy za niezbędne przeciwdziałanie grożącej katastrofie.

Życie ludzkie toczy się na dnie oceanu powietrznego utworzonego przez powietrze atmosferyczne na powierzchni globu. Zanieczyszczenia przyczyniają się więc bezpośrednio lub pośrednio do zaburzeń wszystkich procesów związanych z życiem, a zwłaszcza do większej

zachorowalności i nadmiernej umieralności. Oznacza to, że jakość powietrza ma najważniejszy wpływ na dobrostan człowieka. Przy czym mówiąc o jakości powietrza, powinniśmy się odnosić do powietrza zewnętrznego i powietrza wewnętrznego. O ile znaczenie jakości powietrza zewnętrznego jest w ostatnim czasie szeroko komentowane, o tyle wpływu jakości powietrza wewnętrznego na człowieka nie uświadamiamy sobie tak powszechnie. Tymczasem należy pamiętać, że człowiek przebywa znacznie dłużej w pomieszczeniach niż na dworze.

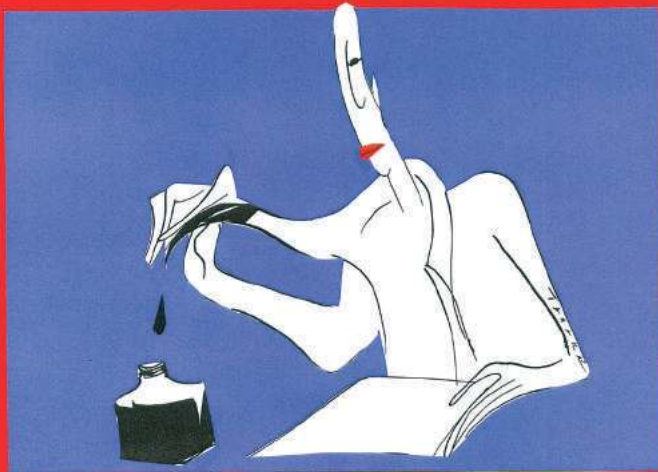
Wynika z tego, że zanieczyszczenia spowodowane spalaniem węgla nie są głównym czynnikiem wpływającym

na poziom zanieczyszczenia w Polsce. Należy sobie także uświadomić, że ograniczanie spalania paliw kopalnych nie jest jedynym sposobem ograniczania emisji dwutlenku węgla. Duże możliwości tkwią w rolnictwie, np. gdyby zastosować na szeroką skalę uprawę międzyplonów z przeznaczeniem uzyskanej biomasy na surowiec do produkcji biogazu lub jako zielony nawóz, to biomasa z 1 ha pozwoliłaby zaabsorbować z atmosfery ok. 15 ton dwutlenku węgla. Tymczasem możliwości są ciągle niedoceniane.

Prof. dr hab. inż. Lucjan Pawłowski jest członkiem korespondentem PAN i Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk Pięknych

To nie jest kraj dla dobrych ludzi

List otwarty do mojej 16-letniej Córk



Stawomir Czapnik

Kochana Zuzanno,

Wiem, jak Ci ciężko w dzisiejszej Polsce, zwłaszcza po zwycięstwie Andrzeja Dudy w wyborach. W pełni popieram Twój pomysł emigracji natychmiast po wejściu w dorosłość. To nie jest kraj dla dobrych ludzi. Mam nadzieję, że jak najwięcej młodych ludzi stąd wyjedzie. I nigdy nie wróci.

Nietolerancja zadaje rany

Wiem, jak Ci ciężko w Zamościu. Lubisz zdobić swoje ciało, do czego masz prawo (nikomu to nie szkodzi), a co jest przyczyną pełnych nienawiści ataków na Ciebie. Jak dotąd, na szczęście, są to wyłącznie ataki słowne i wrogie spojrzenia, ale brak tolerancji i akceptacji zadaje głębokie rany duszy. Słowa mogą sprawić ból. I sprawiają.

Twoi dziadkowie, ludzie pobożni i chodzący do kościoła, powiedzieli Ci wprost w reakcji na kolczyk w nosie, że kiedyś zakładało się świniom kółka w nosie, aby nie ryły w ziemi. Starałem się to obrócić w żart, ale nie było mi do śmiechu. Oboje dobrze wiemy, że nie jesteś świnią, lecz wrażliwą, delikatną młodą kobietą.

Ludzie obcy na ulicy, zwłaszcza starsi, reagują nienawiścią na Twoją pełną piercingu twarz. Głośno mówią, że rodzice powinni Cię za to

Polska to kraj agresji i alkoholu. Polacy w swej masie nienawidzą świata, nie są go ciekawi.

bić. Wyzywają od lesb i pedałów. Są bardzo przemocowi, w myśl zasady: „Mnie rodzice bili, a wyrośłem na ludzi”. Wszelka inność to dla nich powód do agresji. Wszyscy mają tak samo myśleć, tak samo wyglądać, tak samo się modlić, tak samo się kochać.

Polska to kraj agresji i alkoholu. Polacy w swej masie nienawidzą świata, nie są go ciekawi. Nienawidzą muzułmanów, feministek i cyklistów. Ich świat to gołe Lewandowskiego, władza prezesa Kaczyńskiego, drogie ciuchy Kasi Tusk. Na szczęście to nie jest Twój świat.

Pochwała różnorodności

Kiedyś przestałaś mi zdjęcie z Marszu Równości, na którym niosłaś z dumą karton z napisem: „My nie chcemy się bić. My chcemy się całować!”. Masz lat 16, ale dobrze wiesz, co jest

dobre, a co złe. Że miłość, obojętnie, czy hetero, czy homo, to miłość. Nie ma w niej nic złego. A prezydent kraju, który mówi, że LGBT to nie ludzie, ale ideologia, postępuje nikczemnie. Jego kontrkandydat, który – w imię sondaży – nie powiedział tego wprost, też jest niewiele lepszy...

Jesteś ścisłą weganą, a na co dzień frutarianką. To też wywołuje gniew. Bo niejedzenie mięsa, a tym bardziej w ogóle produktów zwierzęcych, to akt wrogości wobec polskości. Polak musi jeść schab i popijać go wódką albo piwem, bo to wyraz patriotyzmu. Ten, kto troszczy się o los zwierząt, nie wypełnia biblijnej zasady czynienia sobie ziemi poddaną. Jest słaby. To mięczak. Najlepiej wgnieść go w ziemię i karmić na siłę szynką i parówkami, aby był „normalny”.

Jakkolwiek mieszkasz na głębokiej prowincji, Twoje myślenie wykracza daleko poza jej horyzonty. Patrzysz znacznie szerzej. Edukacja nie zjadła Ci mózgu. Nacjonalizm, ksenofobia, patriarchalizm, klerykalizm, homofobia itd. – to nie są pojęcia z Twojego słownika.

Żyjesz ważnymi, globalnymi sprawami. Cenisz Gretę Thunberg, starasz się swoim codziennym zachowa-

niem dowodzić, że zależy Ci na losie planety. Nie marnujesz jej skarbów. Cenisz umiar i skromność. Nie chcesz krzywdy ani ludzi, ani zwierząt, ani przyrody. Przyszłość tego zwiariowanego świata zależy od tego, ile osób przyjmie taką odpowiedzialną postawę jak Twoja.

Tata zostanie na posterunku

Czeka Cię za granicą przygoda życia. Jesteś dzielna. Dasz sobie radę. Taty przy Tobie nie będzie. To smutne. Ale tata ma inną misję do spełnienia. Bo nie wszyscy wyjadą z tego chorego kraju. Tym, którzy zostaną, należy się jak najlepsza edukacja wyższa.

Wiem, że to teraz modne narzekać na studentów. Zawsze znajdzie się chętny do opublikowania jakichś wynurzeń profesorskich miażdżących studentów. Że się nie uczą. Że brakuje im podstawowej wiedzy. Że lepiej się

wyznają w najnowszych memach niż literaturze. Że są niekulturalni. Lista to dalece niepełna.

Cokolwiek by powiedzieć o studentach, są oni wytworem tego społeczeństwa i jego marnego systemu edukacji, który pogłębia klasowe podziały społeczne. Zabija wrodzoną ciekawość. Wyżej stawia klepanie

Nie wszyscy wyjadą z tego chorego kraju. Tym, którzy zostaną, należy się jak najlepsza edukacja wyższa.

głupich formułek niż samodzielne myślenie. Promuje wyścig szczurów. Dobrze, że masz edukację domową, ponieważ jak słusznie zauważył ostatnio Taco Hemingway, polska edukacja „to ciemnota”.

Ja uważam, że każdy, bez żadnego wyjątku, ma jakiś potencjał intelektualny, który można rozwijać. Oczywiście cieszę się ze studentów pilnych i mądrych. Staram się ich wspierać, ale to nie dla nich zasiadam za profesorskim biurkiem.

Jestem dla tych z ostatnich rzędów, którzy bawią się smartfonami i nie przejawiają zainteresowania zajęciami. Wielu z nich słyszało od dziecka, że są nic niewarci, głupi, do niczego. Dziewczynom powtarzano, że zamiast tracić czas na studia, powinny zainwestować w solarium i tipsy, aby znaleźć bogatego męża. Chłopakom, że trzeba mieć konkretny fach w ręku: być mechanikiem czy kierowcą TIR-a. Ale oni postanowili się kształcić, niemal zawsze musząc pracować, by się utrzymać. Ich życie nie jest uślane różami.

Ale oni chcą studiować. Wiedzą, że papierek mniej tu znaczy niż znajomości, jednak chcą coś wiedzieć o świecie. Warto dla nich wypruć sobie żyły, co robię od kilkunastu lat – dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku.

Cisi bohaterowie

To bardzo ponure, ale prawdą jest, że nasz świat byłby znacznie gorszy, niż jest, gdyby nie uparta praca milionów cichych bohaterów i bohaterów, którzy leżą w nieodwiedzanych mogiłach. Czasem trzeba robić coś nie dlatego, że przyniesie nam to korzyść, materialną czy niematerialną, ale dlatego, że to jest słuszne.

Dzień po dniu moi przyjaciele i znajomi akademicy prowadzą cichą,

często heroiczną wojnę z ignorancją i uprzedzeniami studentów i studentek. Są niczym Don Kichot walczący z wiatrakami. Zdają sobie sprawę z zawsze nikłych sił w obliczu potężnych wrogów. Wiedzą, że są ostatnim szansem rozumu w obliczu morza ciemnoty i ignorancji. Że raczej nie spotkają ich za ciężką pracę pochwały ani

satisfakcja materialna. Trudna praca, marne pieniądze, ciągła frustracja – to ich nagroda za wszelkie wysiłki.

A lista wrogów wręcz zapiera dech w piersi i mogłaby przestraszyć nawet najdzielniejszego człowieka. Wrogiem bywa rodzina, w której brak szacunku. Premiująca miernoty szkoła. Ogłupiające i pochwalające

zwycięstwo. Ten, kto uratuje choć jedną duszę przed tym polskim bagnem uprzedzeń i ignorancji, uczynił wiele. Chwała jemu czy jej!

Już nigdy nie wracaj!

Jesteś mądrą młodą kobietą. Wiesz, że możesz machnąć ręką na funkcje nieliniowe, morfologię skał sudeckich i budowę chęłbi modrej, ale bez dobrej znajomości angielskiego będziesz zmuszona tkwić w tym kraju, w którym coraz bardziej nie daje się żyć. Atmosfera jest duszna i znikąd nadziei.

Dlatego proszę Cię z bólem serca i smutkiem: nigdy nie wracaj! I mam nadzieję, że setki tysięcy Twoich rówieśników też stąd wyjadą na stałe. Będą tworzyć dobrobyt Szwecji czy Holandii. Będą spokojnie żyć. Szef nie będzie nimi pomiatał. Książd nie

Czasem trzeba robić coś nie dlatego, że przyniesie nam to korzyść, materialną czy niematerialną, ale dlatego, że to jest słuszne.

chciwość media. Ziejący nienawiścią duchowni katolicy. Sterujący szkolnictwem wyższym ludzie, którzy chcą je zamienić w korporację i zniweczyć wolność akademicką, żądając od uczonych bycia niewolnikami polityków.

Nieważne, czy cisi bohaterowie mają jakiekolwiek szanse na

będzie im zaglądał pod kołdrę. Nie będą czekać miesiącami na wizytę u lekarza specjalisty. Polityk będzie im służył, a nie mówił, jak mają żyć.

Bardzo Cię kocham, Zuzanno!

Tata

Dr hab. Sławomir Czapnik jest politologiem, profesorem Uniwersytetu Opolskiego



www.wydawnictwomg.pl

Reżyser szary, zwykły, czasem naiwny

Nikt nie jest taki, jaki z daleka nam się wydaje. Film mnie leczy ze stereotypów w ocenie ludzi

Rozmawia Artur Zaborski

– Uprzedzam, że będę się ograniczać w słowach.

Dlaczego?

– Potem mam dużo roboty przy autoryzacji – za dużo mówię. Jestem z tego niezadowolony i piszę wywiad od nowa.

Perfekcjonista z pana.

– To, co dobrze brzmi w rozmowie, zapisane może stracić urok.

Dialogi z pańskiego filmu „Maski i ludzie” dla HBO zapisane w gazecie też mogłyby stracić swój urok.

Aż trudno uwierzyć, że przechodnie, których nagrał pan z balkonu w czasie pandemii, opowiadali panu o życiu i codzienności, a stronili od polityki i niechęci do innych.

– A co w tym dziwnego?

To zupełnie inny obraz Polaków, niż proponują nam gazety i telewizja.

– Świat nie jest taki, jakim chcą nam go przedstawić media, które często szukają konfliktu, czegoś, co mocno bije w oczy. Polska przetworzona przez media nijak się ma do kraju, który ja obserwuję, robiąc od ponad dwóch lat ze swojego balkonu na Saskiej Kępie film o przechodniach. Ci ludzie są sympatyczni, otwarci, chcą rozmawiać. To stereotyp, że Polacy zazwyczaj są burkliwi, niechętni. To, co widzę na ekranie telewizora, zwłaszcza w tzw. mediach publicznych, i to, co obserwuję codziennie, to dwa nieprzystające do siebie światy. Schizofrenia.

Jakie ludzie mają potrzeby tak na co dzień?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć od dwóch lat. Na pewno wspólnym mianownikiem jest potrzeba spokoju i równowagi. Nikt nie przyszedł do mnie i nie powiedział: „Marzę, żeby ze wszystkimi się konfliktować, kłócić się, bić, mieć przy sobie broń”. Ale już zdanie: „Chcę mieć spokojny świat dla mnie, dla dzieci i wnuków”, słyszałem wielokrotnie. Albo: „Chciałbym, żeby wszyscy żyli dobrze, w zgodzie ze sobą, każdy miał swoje pole



Paweł Łoziński – reżyser filmów dokumentalnych. Nagradzany na festiwalach w kraju i za granicą. Prywatnie syn Marcela Łozińskiego. Jego najnowszy dokument „Maski i ludzie” jest częścią antologii filmów z czasów pandemii „W domu”, którą można oglądać w HBO i HBO GO.

wyboru i wolność, żeby czuł się dobrze”. Ludzie potrzebują innych i wierzę, że są dla siebie z natury dobrzy. Przeczynałem to wcześniej, ale dopiero teraz, po rozmowie z ponad tysiącem osób, jestem o tym absolutnie przekonany. Potrzebujemy kontaktu, bliskości i poczucia bezpieczeństwa.

To skąd podział Polski?

– Jest sztucznie wykreowany, żeby rządzącym słupki rosły. Bardzo mi się nie podoba to, co władza robi od pięciu lat. Debatę polityczną próbuje się sprowadzić do opowiadania się za kimś lub przeciw komuś. Jest się za albo przeciw LGBT+, uchodźcy – za albo przeciw, aborcja – za albo przeciw. Mają nas za idiotów. Niestety, dosyć skutecznie próbują wykreować wroga, a potem przedstawić siebie w roli

zbawcy. A to wszystko są sztuczne problemy, bo ludzie przecież chcą rano wstać, spokojnie zjeść śniadanie, odprowadzić dzieci do przedszkola, które jest dostępne i niedrogi, potem pójść do pracy zarobić pieniądze, które pozwolą im na godne życie, spędzić wieczór z rodziną zamiast na nadgodzinach, wyjechać na trzy tygodnie urlopu w sympatycznym miejscu. A tu PiS grzeje emocje, że Polska ciągle zagrożona i wróg u bram.

Stara zasada: dzielić, by rządzić.

– Ja wiem, że to w polityce nic nowego, ale to, co się stało w Polsce, przekracza już wszelkie granice głupoty i absurdu, a nade wszystko okrucieństwa. Cierpią konkretni ludzie, których próbuje się odczłowieczyć. Są zastraszani, bici, poniewierani. Jest na to przyzwolenie władzy. Bardzo mnie to boli. Po 30 latach wolności czuję się czasem jak w obcym kraju. I ciągle mnie zaskakuje, że elektorat nabiera się na figurę wykreowanego przez władzę wroga w postaci geja, uchodźcy albo Żyda.

Da się przed tym uciec?

– Mam poczucie, że polityka pcha się każdą możliwą szczeliną do naszych domów. Dzieli nasze stoły.

Powstała dość paranoiczna sytuacja, że czasem kupienie płynu do mycia naczyń staje się deklaracją polityczną. Z publicznych czy właściwie już partyjnych mediów leje się kubłami obrzydliwa propaganda. W tym wszystkim robię to, co potrafię, czyli film, który nie wprost pokaże, że świat nie wygląda tak, jak media nam donoszą.

Pańskim zdaniem powrót do świata bez podziałów i bez polityki wszędzie jest jeszcze możliwy?

Zaskakuje mnie, że elektorat nabiera się na stworzonego przez władzę wroga w postaci geja, uchodźcy albo Żyda.

– Podziały i konflikty są naturalne, pytanie, czy potrafimy jeszcze ze sobą rozmawiać i dochodzić do porozumienia, czy już tylko walczyć. Przestrzeń dialogu dramatycznie się kurczy. A przecież ciągle jeszcze wszystko od nas zależy. Polska to jeszcze nie Białoruś. Wierzę w lokalne wspólnoty, które tworzymy, sąsiedzkie, samorządowe. Jesteśmy obywatelami, chodzimy na wybory co parę lat, wrzucamy karteczkę do urny. Ciągłe wierzę, że nie utraciliśmy jeszcze wpływu na to, jak ułożymy świat wokół siebie.

Patrząc na pandemiczne okoliczności, w jakich powstał pański film, trzeba się zastanowić, czy mamy jakąkolwiek moc sprawczą w otaczającym nas świecie.

– Dobre pytanie! Na razie przyroda czy właściwie biologia nas zaszachowała. Pandemia może nam dać zdrowy dystans do naszej roli. Może jesteśmy tylko dodatkiem do fauny i flory na tej planecie? A skoro tak jest, to może warto zacząć żyć z nimi bardziej w zgodzie?

Pana pandemia zmusiła do tego, żeby dokładniej przyjrzeć się sobie? Z filmu dowiadujemy się tylko tyle, że został pan pozbawiony możliwości biegania w parku z psem.

– Mam dwa pitbule i one muszą się wybiegać, więc znaleźliśmy jakieś wyjście z tej patowej sytuacji. Filmu czasem używam jako narzędzia autoterapii. Kiedy nie znam odpowiedzi na trudne pytania, zadaję je innym. Zastanawiałem się, jak Polacy radzą sobie z pandemią, stąd wziął się mój pandemiczny film. Dużo od bohaterów się nauczyłem, mam nadzieję, że to była wymiana w obie strony.

Czego konkretnie pan się od przechodniów spod balkonu nauczył?

– Że życie toczy się dalej mimo wszystko. Na czas pandemii nauczyliśmy się znowu solidarności, której dawno już wśród nas nie było. Okazało się, że potrafiliśmy żyć dla siebie maseczki, robić zakupy sąsiadom, troszczyć się o starszych, dbać o lekarzy i sprzedawców w sklepach. Pojawiła się taka obywatelska odpowiedzialność. Mam wrażenie, że w najtrudniejszym czasie dotkliwych

obostrzeń epidemiologicznych mało było agresji, a dużo współpracy.

Czy ja wiem, czy tak mało? A maza nie lekarzom i chorym drzwi przez sąsiadów przestraszonych, że zarażą ich wirusem?

– Nie bagatelizuję tego, to było głupie i okrutne. Ale ten promil przypadków nie może przykryć dobrych rzeczy, które wyzwoliły się w nas w pandemii. Tylko o tym mało się mówi, a newsem zawsze jest agresja, hejt.

Z takim optymizmem i uśmiechem, gdy szklanka jest do połowy pełna, musi pan się czuć w Polsce outsiderem.

– Jestem raczej umiarkowanym pesymistą, zresztą jednym z wielu. Myślę, że większość ludzi chce żyć w zgodzie z innymi i stara się patrzeć w przyszłość z nadzieją. Inaczej świata już dawno by nie było. Na

To, co się stało w Polsce, przekracza wszelkie granice głupoty i absurdu, a nade wszystko okrucieństwa.

szczęście większość ludzi chce spokoju. I tego się trzymajmy.

Dobro, które okazaliśmy sobie w pandemii, przetrwa?

– Skoro okazaliśmy się do niego zdolni, to może z nami zostanie? My naprawdę potrafimy się zmobilizować i zmieniać na lepsze. Pandemia została chwilowo odparta nie przez gadanie polityków, tylko dzięki ciężkiej pracy szeregowych pracowników służby zdrowia, pielęgniarek, ratowników medycznych, lekarzy i tych, którzy w odruchu serca pomagali sobie nawzajem. Tylko dzięki nim. Ale dla mediów to nie

jest news, że ktoś komuś coś dobrego zrobił. Mój przyjaciel Włoch, kucharz, gotował za darmo 200 posiłków dziennie dla lekarzy. Można gdzieś o tym przeczytać? Newsem jest to, że ktoś przebił oponę w samochodzie pielęgniarki.

Dlaczego tak lubimy się karmić doniesieniami o tym, co złe?

– Może jakiś kawałek nas lubi się bać? Lubi nie lubić? Może jest w nas już taka frustracja, że gdy nasze podejrzania co do grozy świata się potwierdzają, to paradoksalnie czujemy się spokojniejsi? W czasie pandemii czytałem również w mediach wiele sensownych porad na temat tego, jak nie zwariować bez kontaktów z innymi. Te porady były dla mnie bardzo cenne. Tylko one słabo się przebijają przez drastyczne newsy, które generują mniejszą klikalność i doraźnie są mniej optymalne? Wielu ludzi miało problemy psychiczne, liczba samobójstw w czasie lockdownu wzrosła. O tych kosztach też trzeba mówić. Mam wrażenie, że rozmawiamy o koronawirusie, jakby dotyczył przeszłości, a przecież on ciągle z nami jest. Podobno jest go mniej, zelżało, ale ja nie bardzo wierzę w oficjalne dane, uważam, że są mocno zaniżone. A nasze nastawienie zdążyło już się zmienić: nie jesteśmy tacy chętni do maskowania się, trzymania społecznego dystansu, mycia rąk. Bagatelizujemy zagrożenie, a ten niewidzialny wróg ciągle tu jest. I dopóki nie będzie szczepionki, nigdy nie będziemy już mieć pewności.

Jak pan sobie tłumaczy tę społeczną skłonność do oswojenia koronastrachu?

– To chyba tak jak na wojnie: pierwszy trup robi wrażenie, ale następne już mniej. Może to trochę jak okupacja, daje radę się przyzwyczaić. Ile można trwać w niepokoju? Zadam pytanie przyjaciółom: czy znasz kogoś, kto zachorował? Na ogół okazuje się, że nie. I to nas uspokaja. Na razie.

Pan przetrwał pandemię bez dołków?

– Oczywiście, że zwyczajnie się bałem. I nadal się boję, że coś złego ▶

► się wydarzy. Teraz ten stan chwiejnej równowagi „po” wydaje mi się nawet trudniejszy. Mobilizacja minęła i zaczął się lęk przed sytuacją ekonomiczną. Mam wolny zawód, bez etatu, na własny rachunek. Pandemia spowodowała, że poczułem się tak, jakby ktoś mi dywanik wyciągnął spod nóg – trwam w chwiejnej równowadze. Ale nie jestem w tym wyjątkiem. Wiele osób poznało teraz to uczucie. Sprawdziłem to z balkonu. Rozmowa z ludźmi w podobnej sytuacji była mi bardzo pomocna.

Dużo się mówi o tym, że to artyści pozwolili nam przetrwać pandemię bez palnięcia sobie w łeb. Bez literatury, filmów, muzyki byłoby nam w zamknięciu jeszcze ciężiej.

– Literatura, film czy muzyka to ciągle uniwersalne sposoby na rozmowę międzyludzką. Świetnie, jeśli ktoś miał szansę i czas z tego skorzystać.

Pan więcej oglądał?

– Sporo czasu zajęło mi robienie filmu dla HBO, to było kilkanaście dni stania na balkonie z kamerą i mikrofonem. Jakoś nie dałem sobie prawa, żeby wyhamować z robotą, więc oglądałem i czytałem w swojej normie.

Rzad przyszedł panu z pomocą?

– Programy Ministerstwa Kultury, takie jak „Kultura w sieci”, to kropla w morzu potrzeb. Ja nie stałem się beneficjentem żadnego z nich.

Dobrze, że HBO wymyśliło projekt „W domu”, czyli filmy z czasu lockdownu.

– Pewnie, że dobrze. U mnie to jest część większego projektu pod tytułem „Film balkonowy”, do którego zabrałem się już ponad dwa lata temu. Zaczęło się od tego, że podstuchiwałem rozmowy ludzi, którzy przechodzili pod moim balkonem. Świetne dialogi, żal nie

zagadać, żeby dostać dobry materiał filmowy. Wychyliłem się więc z balkonu, ujawniłem kamerę, wystawiłem dłuższy mikrofon i zacząłem z ludźmi rozmawiać. Kiedy Iza Łopuch z HBO zaproponowała mi zrobienie filmu bez wychodzenia z domu, miałem już na to gotowy sposób. Tak powstał krótki film „Maski i ludzie”, który jest zapisem naszego stanu uczuć i myśli w czasie pandemii. Ten dłuższy, pełnometrażowy film będzie bardziej o kondycji ludzkiej.

Bohaterowie byli zupełnie przypadkowi czy dokonywał pan selekcji, patrząc na to wszystko z góry?

Polska w mediach nijak się ma do kraju, który obserwuję od dwóch lat z balkonu, robiąc film o przechodniach.

– Czasem pojawiają się fajne osoby na jedno zdanie, ale mam też kilkunastu pierwszoplanowych, którzy wracają i opowiadają mi o swoim życiu. Przychodzą, żeby się pochwalić albo poskarżyć. Udało mi się stworzyć coś w rodzaju świeckiego konfesonatu (śmiej). Takie miejsce, do którego można zawsze podejść, coś za pomocą mojej kamery powiedzieć innym ludziom.

Czyli kolejna z naszych potrzeb to potrzeba wygadania się?

– Pewnie. Myślę za Hannah Arendt, że potrzeba rozmowy jest jedną z najbardziej podstawowych ludzkich potrzeb. To coś, co czyni z nas ludzi. Potrafimy spotkać się ze sobą i wymienić gesty, uczucia, dialogi. Tylko człowiek to potrafi.

Trener na siłowni mówi, że ma podopiecznych, którzy w ogóle już go nie potrzebują do ćwiczeń, tylko przychodzą i płacą za treningi, żeby sobie przez godzinę pogadać z kimś, z kim w miarę dobrze się znają i kto nigdzie się nie spieszy.

Debatę polityczną próbuje się sprowadzić do opowiadania się za kimś lub przeciw komuś.

zarejestrować. Na początku ukryłem kamerę i mikrofon, myślałem, że film się sam zrobi. Szybko się okazało, że cudów nie ma. Musiałem się ujawnić.

Dlaczego?

– Żeby pójść głębiej w ludzkie historie. Kiedy słyszę jakieś ciekawe zdanie, to mam ochotę dopytać, dowiedzieć się więcej. Muszę zacząć,

– Podziwiam i zazdroszczę, bo na siłowni zawsze tak się męczę, że nie wiem, czy potrafiłbym rozmawiać! (śmiej). Też kiedyś miałem trenera, ale jakoś wolałem słuchać, niż mówić.

Pod moim balkonem spotykam każdy rodzaj ludzi. Nasze dialogi – raczej nie do wymyślenia w fabule.

W rozmowie wszystkie stereotypy, którymi na co dzień się posługujemy, biorą w łeb. Nie sprawdza się zupełnie myślenie, że za wyglądem idzie charakter czy rodzaj człowieka. Nikt nie jest taki, jaki z daleka nam się wydaje. Dla mnie to dobra lekcja. Ten film leczy mnie ze stereotypów w ocenie ludzi.

Ale czy ludzie, którzy stają nagle przed facetem z kamerą, który zadaje im pytania, zachowują się naturalnie i pokazują prawdziwą twarz, czy jednak się spinają i próbują grać?

– Balkonowy sposób rozmowy ośmiela. Nie ma przymusu, można

wyść z kadru w każdej chwili. Mam jedną zasadę: staram się zawsze wyglądać maksymalnie niepoważnie. To nie jest film fabularny, gdzie reżyser ma trzech asystentów, 40 osób ekipy na planie i musi budzić respekt. Ja – wręcz przeciwnie, jestem reżyserem szarym, zwykłym, czasem naiwnym. Muszę dać się lubić, wtedy przełamię dystans i złapię kontakt. Żeby ludzie chcieli na moment zatrzymać się pod moją kamerą, muszę na chwileczkę przykuć ich uwagę, zainteresować, zaciekać, uwieść. Mam już za sobą 150 dni zdjęciowych, stałem się elementem scenografii, tła. Ludzie przyzwyczaili się, że tam stoję. Czasem, kiedy mnie nie ma, są zawiedzeni.

Wróć pan w krajobraz dzielnicy.

– Staję się zakładnikiem tego projektu i nie bardzo wiem, jak go zakończyć. Może pandemia mi w tym pomoże i to będzie koniec filmu? Bo to niby proste: w kapciach na ten balkon wychodzę, rozstawiam szybko kamerę, bo już nabrałem wprawę. Taka pozorna łatwość kręcenia materiału jest niebezpiecznie uzależniająca. Jak tylko coś się dzieje, muszę być gotowy. Cały czas muszę być czujny, a to trwa już ponad dwa lata. Założeniem tego filmu jest to, że jak się zatrzymam z kamerą w jednym miejscu, udowodnię, że cały świat do mnie przyjdzie.

Ciekawe tylko, jak ci wszyscy ludzie, którzy do pana przychodzą, poradzą sobie, kiedy przestanie pan ten film kręcić.

– Pójdą obejrzeć siebie w kinie.

Artur Zaborski

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Imitatorzy głosu

Za sprawą wyśmienitych germanistów Thomas Bernhard przez kilka dekad zdążył się zadomowić w polszczyźnie, a dzięki Krystianowi Lupie także w naszym teatrze jako czołowy *nestbeschmutzer* literatur europejskich XX w. – jest mile czytany zwłaszcza tam, gdzie brunatnieją nacjonalizmy. Był pisarzem obsesyjnym, przeto i kompulsywnie płodnym, wydawało się zatem nam wszystkim, jego fanom, że choć autor zmarł przed ponad 30 laty, jego dorobek pozostanie dla tłumaczy źródłem niewyczerpanym. Tymczasem studnia nieubłagania wysycha, taka jest cena uwielbienia – gdyby był Bernhard autorem zapoznanym, nie przeżywalibyśmy ambiwalencji z każdym kolejnym spolszczonym tomem, kiedy to radość łączy się z melancholią spożywania ostatków.

Dzięki niestrudzonej Sławie Lisieckiej i Jackowi Bura-sowi otrzymaliśmy teraz prozatorskie miniatury, o których na szczęście nie można rzec, iż stanowią twórcze marginalia austriackiego pisarza. Są to swoiste bagatele, drobne, oszczędne, mieszczące się najczęściej na jednej stroniczce – choć stylistycznie spójne z tym, za co Bernharda się wielbi lub nienawidzi. Zwłaszcza drobiazgi zebrane w „Naśladowcy głosów” to krótkie, lecz kąśliwe piłki z czasów, kiedy autor przeżywał szczyt formy. Tytułowa historyjka przywołuje postać mistrzowskiego imitatora, który na zawołanie mówi głosami dowolnie wskazanych postaci, ale poproszony o to, by spróbował naśladować własny głos, jest bezradny. Czytelnik racjonalny uzna, że nic w tym dziwnego – wszyscy znamy efekt zażenowania, po tym jak pierwszy raz usłyszeliśmy nagranie swojej mowy – brzmi ona wszak zupełnie inaczej niż ta, którą słyszymy, mówiąc (odpowiada za to efekt przewodzenia kostnego).

Mniemam, że w tej przypowieści chodzi jednak o inne przyczyny niemocy: aby zaimitować siebie samego, należy się zdobyć na dystans, lecz nade wszystko – musi istnieć przedmiot naśladownictwa. Być może bohater Bernharda cierpi na przypadłość, o którą podejrzewam funkcjonariuszy partyjnych obozu kacystowskiego. Politycy sekty rządzącej nigdy nie mówią własnym głosem, posługują się przekazami dnia albo bezpiecznym pustostowiem, idealnie obłym i bezpiecznym pustostowiem, oczywiście szczypta szkolnej patriotycznej grandilokwencji nie zawadzi. Nie mówią własnym głosem ani też nie potrafią go naśladować, bo go nie posiadają. Jak ręka przez lata pozbawiona pióra traci charakter pisma, tak i własna mowa, kiedy się jej nie używa – zanika.

Pisowcy doszli do władzy dzięki podsłuchom, muszą więc mieć się na baczności – i tak właśnie, wiecznie na baczność, gęby otwierają na konferencjach, w tańcu i w różańcu. Prezes nie wybaczyłby, gdyby ktoś dał się przytapać na spontanicznych wulgaryzmach przy winie i nie daj Boże ośmiorniczkach, jeśli już, to wódeczka przy bigosie z dziczyzną i staropolskie darzbór na pohybel ekoterrorystom. Modlitwy też mają rozpisane w brewiarzach, a nawet kiedy się modlą „swoimi słowami”, używają wyuczonej przez lata katechez religijnej poprawności. Cóż więc musi się z nimi dziać w życiu prywatnym, jak się skarżą lekarzowi, że ich dręczy hemoroid, w jakich słowach próbują żony (lub kochanki) nakłonić do pożycia, jak się niecierpliwią w korkach? Mają swoją nowomowę, ową „pisczyznę”, badaną przez Michała Głowińskiego, ale ona została stworzona na użytek polityczny, nie sięga do alkowy ani gabinetu proktologa... Idea partii kacystowskiej, jak we wszystkich autorytaryzmach, jest jednogłośność. Jeden wódz + jeden naród + jedna ojczyzna = jeden głos; tak ma się w końcu stać z mediami. Wszyscy mają mówić jednym głosem lub chociaż go imitować.

Politycy sekty rządzącej nigdy nie mówią własnym głosem, posługują się przekazami dnia albo bezpiecznym pustostowiem.

Ostatnio pisczyzna stanęła wobec problemu, zdawałoby się, nierozwiązywalnego – jak jawnie występować po stronie zła? Sprzeciw wobec unijnego projektu ochrony praworządności lub też chęć wypowiedzenia konwencji antyprzemocowej to już gruba sprawa, jeśli oczywiście wciąż chce się udawać Boże Baranki, reprezentować Dobrą Zmianę i chrześcijańskie wartości. Tymczasowym rozwiązaniem okazuje się cudzystów. Tu nie chodzi o praworządność, lecz „tak zwaną” praworządność. To, co Tamci zwą praworządnością, tak naprawdę nią nie jest, podobnie rzecz się ma z tak zwaną demokracją, tak zwanymi prawami człowieka i całą resztą, tak, a nie inaczej zwaną przez wrogów. Nie może przecież być tak, że My i Tamci rozumiemy cokolwiek tak samo, a już na pewno nie może to się dotyczyć pojęć fundamentalnych.

W pisczyźnie obóz władzy ostatnio najczęściej jest opatrywany przymiotnikiem polowski – co od razu stawia jego przeciwników w szeregach antypolskich. Cóż mogę dodać – posługując się doktryną językową kacyzmu: jeśli chodzi o tak przez was zwaną Polskę, o tę, która się wam, pisczykom marzy, to mam ją w tak zwanej dupie.

Echa pustych stadionów

Rafał Pikuła

Takiej przerwy w świecie sportu jeszcze nie było. Puste stadiony, brak transmisji telewizyjnych, relacji radiowych i prasowych. Na przymusowym i niespodziewanym urlopie sportowcy albo wypoczywali, albo zajęli się swoimi biznesami. Kibicom pozostało czekanie lub nurzanie się w przeszłości. Na łamach „Przeglądu Sportowego” mogliśmy czytać wspomnienia o pamiętnych wydarzeniach czy wybitnych postaciach. Sport retro opanował stacje telewizyjne i fany prasowe, ale także księgarnie. Sam w stanie piłkarskiego głodu sięgnąłem po sportowe publikacje, te uznane i te całkiem świeże. Jako że była to połowa czerwca – czas, gdy rozgrywane miało być Euro 2020, a zarazem okres kampanii wyborczej – zająłem się lekturami o futbolu w wykonaniu narodowym.

Mit na miarę oczekiwań

W końcu piłka nożna jest chyba najbardziej czytelną rekonstrukcją kultury. Tęskniąc za futbolem w sensie ścisłym, ale też szukając głębszej refleksji o wymiarze politycznym, zabrałem się do Jonathana Wilsona i jego „Aniołów o brudnych twarzach” (Sine Qua Non).

O tym, że na pierwszy ogień pójdzie piłkarska historia Argentyny – kraju z pozoru dalekiego – przesądziły dwie kwestie. Raz, że nikt tak pięknie nie łączy futbolu z duchem narodu jak angielski dziennikarz sportowy (napisał m.in. „The Anatomy of England” o angielskiej wizji futbolu). Po drugie, historyczne powiązania między polityką a piłką nożną w Argentynie są podobne do tych w Polsce, sama Argentyna zaś – w sensie piłkarskim – jest najbardziej europejskim krajem spośród tych spoza Starego Kontynentu.

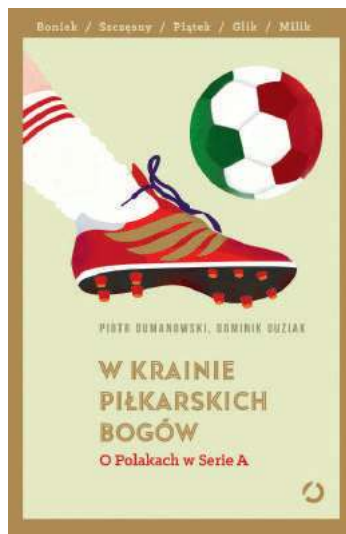
Wilson pisze: „Argentyna to kraj założony przez imigrantów i ufundowany na imigranckim marzeniu o lepszym losie, a piłka nożna odgrywała centralną rolę w formowaniu tego marzenia i opartej na nim

Literackie efekty sportowego głodu

tożsamości. Teraz jednak wszyscy najlepsi piłkarze [argentyńscy] sami są emigrantami zmuszonymi porzucić mityczny kraj srebra i przenieść się z powrotem do Starego Świata”.

„Aniołowie o brudnych twarzach” to opowieść o argentyńskiej tożsamości, o *gaucho* (romantyczna wizja południowoamerykańskiego kowboja), *pibe* (archetyp latynoskiego genialnego urwisa, którego ucieleśnieniem miał być Maradona)

Nikt tak pięknie nie łączy futbolu z duchem narodu jak angielski dziennikarz sportowy.



i o tym, jak futbol regulował życie jednego z państw w Ameryce Południowej. Cała opowieść zaczyna się już w XVI w., a następnie od XIX w. do 2015 r. prowadzi czytelnika do objaśnienia, jak to się stało, że zwykła piłka zawładnęła milionami Argentyńczyków i władza nimi nadal.

W XX w. Argentyńczycy cierpieli z powodu kolejnych kryzysów ekonomicznych i politycznych oraz szukali swojej tożsamości, w kontekście futbolowym, balansując między latynoską wizją piłki jako zabawy (*la nuestra*) a pragmatycznym antyfutbolem. To działo się na stadionie, ale także rozgrywało w argentyńskiej

duszy. Społeczeństwo tkwiło pomiędzy izolacjonizmem a snami o potędze, peronowską wizją rajy na ziemi a polityką koniecznej współpracy międzynarodowej i twardego realizmu.

Historia Argentyny przypomina polską, w kontekście nie konkretnych zdarzeń, ale ducha. Są to motywy jak z powieści realizmu magicznego: prześnione rewolucje, stracone szanse, wieczne złudzenia i oczekiwanie na narodowego mesjasza, który rozbity kraj złączy i w jasną przyszłość poprowadzi. W Argentynie taki się objawił. Był nim Diego Maradona. Mesjasz na latynoską miarę – buńczuczny, sprytny, skuteczny, choć ujmująco dziecięcy – który w trudnym momencie, pod butem junty, zjednoczył naród w 1986 r.

Świat zmęczony historią potrzebuje mitologii. Kuźnią mitów jest zaś piłka nożna. Kompensuje małe i wielkie historie, konflikty i przyjaźnie, jest pytaniem i odpowiedzią, bezpiecznym substytutem wiecznej walki. A Maradona był właśnie takim mitem, którego zmęczone społeczeństwo Argentyny potrzebowało. Jest więc książka Wilsona ostatecznie studium argentyńskiej duszy, tym prostszym, że opisanym przez najbardziej czytelną metaforę świata, jaką jest futbol.

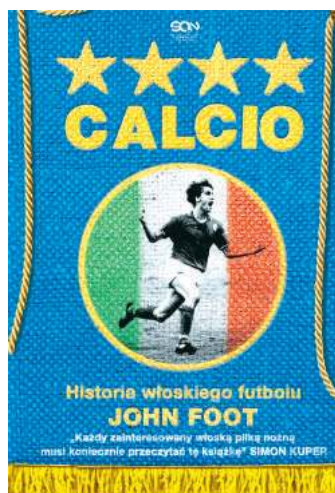
Machiavelli i Maldini

Skończywszy argentyńską przygodę, sięgnąłem po świeżo wydaną pozycję duetu Piotr Dumanowski i Dominik Guziak. Książka „W krainie piłkarskich bogów” (Otwarte) opisuje kulisy futbolu z Półwyspu Apenińskiego. Jako że zarówno Messi, jak i Maradona mają włoskie korzenie, a pierwsze triumfy Włochów na mistrzostwach świata (w 1934 i 1938 r.) były dziełem *oriundi*, czyli piłkarzy argentyńskich o włoskich korzeniach, nie mogłem wybrać inaczej.

Chociaż podtytuł książki brzmi „O Polakach w Serie A”, wiele można się z niej dowiedzieć o samej włoskiej piłce, wokół której – podobnie jak w Ameryce Południowej – kręci się życie. Chodzenie na mecze jest we Włoszech silną tradycją rodzinną. „Piłka nożna jest ostatnim świętym przedstawieniem naszych czasów. Jest w gruncie rzeczy rytuałem, nawet jeśli jest też ucieczką”, twierdził Pier Paolo Pasolini.

Jeżeli coś łączy tak bardzo zróżnicowanych przecież Sycylijczyków, Lombardczyków, neapolitańczyków czy wenecjan, to właśnie przywiązanie do *calcio*. Wiecznie żywe antagonizmy pomiędzy mieszkańcami regionów próbował wykorzystać podczas włoskiego mundialu w 1990 r. wspomniany Maradona. W trakcie półfinałowego meczu Argentyna-Włochy odbywającego się w Neapolu – gdzie był gwiazdą, niemal bogiem – krzychał do fanów, że to on jest Włochem 365 dni w roku, nie zaś przybysze (piłkarze) z Turynu, Bolonii czy Florencji. Trybuny odpowiedziały mu hasłem: „Neapol cię kocha, ale to Włochy są naszą ojczyzną”.

Książka Dumanowskiego i Guziaka przypomniła mi rzecz jasna „Calcio. Historię włoskiego futbolu”



Wokół włoskiej piłki kręci się życie. Chodzenie na mecze jest silną rodzinną tradycją.

Johna Foota, która także ukazywała historię i upadek włoskiej piłki, choć przesyciona była angielską perspektywą autora. Obie pozycje pokazują jednak kluczową zmianę – gdy na przełomie wieków *calcio* stało się footballiem, a włoski styl gry, owo *catenaccio* tak mocno kojarzone

z włoskim życiowym minimalizmem, odeszło w zapomnienie.

Chociaż *catenaccio* (system taktyczny kładący szczególny nacisk na dobrze zorganizowaną obronę oraz faule taktyczne, skupiający się bardziej na chronieniu własnej bramki niż zdobywaniu goli) było

nazywane apenińskim antyfutbolem i cwaniactwem, było też przejawem inteligencji i myślenia strategicznego.

Ta strategia pokazuje, że działanie takich piłkarzy jak Nesta, Pirlo czy Maldini ma w sobie coś z filozofii Machiavellego – liczy się cel. Włosi nie muszą się starać, nie muszą harować na boisku, muszą być skuteczni. Czasem, aby wygrać, wystarczy jedno podanie, jeden błysk piłkarskiego talentu.

Ordnung muss sein

By trochę odejść od fantazji i gorącego południowego ducha, wziąłem na recenzenckie boisko książkę „Tor! Historia niemieckiego futbolu” Ulricha Hessego (Kopalnia).

Niemiecki futbol to synonim potęgi i solidności. Nie bez przyczyny Gary Lineker powiedział, że „piłka nożna to taka gra, w której 22 mężczyzn biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy”. Książka Hessego ukazuje zupełnie inne początki niemieckiej piłki. U samego zarania – zanim piłkarze niemieccy cztery razy sięgnęli po mistrzostwo świata – piłka nożna była nazywana sportem absurdalnym, brzydkim i mało eleganckim.

Narodziny niemieckiej potęgi wiążą się też z powojennym budowaniem nowego społeczeństwa. Chociaż sport był niezwykle ważny dla hitlerowskich Niemiec – jako element wychowania nowej rasy i ogniwo propagandy – dopiero powojenna sumienność i praca u podstaw stały się kluczem do sukcesu *Der Mannschaft*.

Ten przyszedł, gdy dopuszczono w końcu Niemcy (RFN) do międzynarodowych imprez sportowych. Na szwajcarskim mundialu w 1954 r., po epickim starciu z Węgrami – mecz nazywany jest do dziś cudem w Bernie – zachodni Niemcy zdobyli złoto i uznanie, a także symbolicznie zostali ponownie przyjęci do grona krajów cywilizowanych. Po tym zwycięstwie niemieckie elity społeczne zaczęły nadawać piłce nożnej ogromne znaczenie jako spektakularnej ekspresji narodowości oraz płaszczyźnie zaprezentowania się światu. Postrzegano ten sukces również jako wyraz i potwierdzenie rozwoju społeczno-ekonomicznego ówczesnych Niemiec. ▶

► Zachodnioniemieccy politycy zdawali sobie sprawę, jaką siłą polityczną ma piłka nożna. Szczególnie w dobie rosnącej popularności telewizji mogła ona przynieść narodowi dużo większą korzyść niż jakiekolwiek działania dyplomatyczne.

Odbudowie przemysłowego Zagłębia Ruhry towarzyszyło budowanie piłkarskich klubów i reprezentacji. To nie przypadek, że z tego regionu wywodzi się najwięcej liczących

prosta, pozbawiona indywidualizmu i bufonady, bez fajerwerków i sztuczek (ideologii), skupiona na rezultacie i solidności.

Lekcje (z) futbolu

Oczywiście lektura jest erzacem realnych doznań i przeżyć, ale w dobie pustych stadionów nie było lepszego substytutu. W cieniu niedosłusznego Euro 2020 pozwoliłem sobie

Paweł Mościcki i muszę przyznać, że owo literackie spotkanie z Maradoną, Rossim, Beckenbauerem powie-działo mi więcej o społeczeństwach Argentyny, Włoch czy Niemiec niż niejedna rozprawa socjologiczna.

W życiu kibica takie przerwy jak ta spowodowana pandemią zdarzają się rzadko. W moim kibicowskim życiu, liczonym od jednej wielkiej imprezy do drugiej, gdy kolejne epizody łączyłem z kolejnymi czempionatami, podobnej nie było. Czas pandemicznej przerwy, smutek po odwołaniu Euro można było prze-czekać, ale można też było rozegrać własny literacki turniej, do którego zaprosiłem drużyny niemiecką, argentyńską i włoską. Wynik? Dający awans wszystkim.

Rafał Piłkuła

Narodziny niemieckiej potęgi piłkarskiej wiążą się z powojennym budowaniem nowego społeczeństwa.

się niemieckich klubów (wyjątkiem jest bawarski Bayern Monachium). Był to futbol nowego niemieckiego człowieka: oparty na ciężkiej pracy, pokorze i chęci rozwoju. Narodowa piłka nożna stanowiła w powojennych Niemczech antidotum na symboliczną dewastację wizerunku Niemców w ich własnych oczach. Chcieli przestać być kojarzeni z nazizmem, dlatego piłka niemiecka była

na piłkarską podróż, by móc jeszcze głębiej przeżywać turniej, gdy ten w końcu się zacznie. Potraktowałem to jako formę treningu, tyleż umysłowego, co duchowego, a także – co ważne – formę szerszego spojrzenia na polityczność.

„Piłka nożna umie dziś mówić wielkie prawdy, zwłaszcza o tym, co nie ma z nią bezpośredniego związku”, pisał w eseju „Lekcje futbolu”

Przy pisaniu tekstu korzystałem także z:

Franklin Foer, *Jak futbol wyjaśnia świat, czyli nieprawdopodobna teoria globalizacji*, Wydawnictwo Red Horse, Lublin 2006

Zbyszek Melosik, *Piłka nożna. Tożsamość, kultura i władza*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2016

KSIĘGARNIA

*Muzeum Niepodległości
w Warszawie*

Zapraszamy do zakupów
w nowo otwartej
księgarni internetowej
Muzeum Niepodległości
w Warszawie

<https://ksiegarnia.muzeum-niepodleglosci.pl>

30 LAT MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

KSIĘGARNIA

Mazowsze

Partner: POLSKIE RADIO

HISTORIA

artinfo.pl

Mysł Polska

Partner: Idiuna

NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK

reż. Leigh Whannell, prod. USA, już w kinach

Już w pierwszych minutach, gdy Cecilia Kass próbuje wydostać się z domu, tak by mąż się nie obudził, widz ćwiczy się we wstrzymywaniu oddechu. Wypasiony penthouse to tak naprawdę złota klatka, w której rządzi naukowiec Adrian, damski bokser. Gdy ucieczka się udaje, małżonek popełnia samobójstwo. I wtedy zaczyna się jeszcze gorszy koszmar. Bliscy są przekonani, że Cecilia postradała zmysły. Żeby oczyścić się z zarzutów, bohaterka musi przekonać innych, że choć została wdową, mąż jakimś cudem nadal uprzykrza jej życie. „Niewidzialny człowiek” straszy skutecznie, bo zagrożenia nie widać, a jego obecność cały czas pulsuje. Feministyczny horror odczytuje się przez to jako opowieść o ofierze przemocy domowej, której nikt nie wierzy, bo nie nosi blizn ani siniaków. Elisabeth Moss wyspecjalizowała się w rolach bohaterek w kłinczu. Tu też ma przeciw sobie nie tylko napastnika, ale i całe społeczeństwo. I też nie można od niej wzroku oderwać.

Artur Zaborski



26. MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE Piotr Baron Quintet – Wodecki Jazz

Najnowszy projekt wybitnego saksofonisty Piotra Barona, z udziałem czołówki polskich wykonawców jazzowych, jest bardzo ciekawy muzycznie i przyjemny dla ucha. To popularne, ponadczasowe kompozycje Zbigniewa Wodeckiego – tym razem w wersji jazzowej, współcześnie. Autorem ich nowych aranżacji jest właśnie Piotr Baron. Muzyk od 20 lat zajmuje czołowe miejsca w ankiecie Jazz Top pisma „Jazz Forum” w kategorii saksofon tenorowy i sopranowy, jest też wysoko notowany jako allista i barytonista. Współzałożyciel kultowego Traveling Birds Quintet (Baron/Wojtasik/Oleszkiewicz/Stankiewicz/Konrad). W 2018 r. został odznaczony Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

**WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA,
1 SIERPNIA, GODZ. 19**

(ap)



KURTYNA W GÓRĘ

ANTYWSPÓLNOTA

Nie jestem pewien, czy to jeszcze komedia, choć aktorzy robią wszystko, aby publiczność w lot wyłapywała dowcipne puenty i zachowania. Cały zespół gra bez zarzutu, a na jego wyrównanym tle jak zawsze błyszczy komediowy talent Izabeli Dąbrowskiej jako uciążliwej rewidentki. Inni też mają niezapomniane wejścia, np. Mirosław Kropielnicki jako rosyjski brat wspólnik, najwyraźniej reprezentujący mafię, czy Grzegorz Warchoł jako były przewodniczący wspólnoty. Jest jeszcze pełna wigoru para: rozpychająca się właścicielka (Izabella Olejnik) i jej czujny pełnomocnik (Cezary Żak). Wszyscy oni i pozostali właściciele lokali spotykają się na zebraniu wspólnoty, ale wciąż nie udaje im się dojść do porozumienia.

Tak naprawdę rzecz w czym innym. Satyryczny obraz obrad wspólnoty mieszkaniowej, który stanowi treść sztuki, wcale nie jest satyrą, raczej reportażem. Pomysł wspólnot, czyli mikrosamorządów właścicielskich, w domach spółdzielczych lub spółdzielczo-komunalnych okazał się drogą ryzykowną – podzielił ludzi na odrębne działki i ogródki, oddzielił sąsiadów od sąsiadów, choć miało być odwrotnie.

Socjologiczny rzut oka Jiříego Havelki na tę sytuację tylko dotyka istoty problemu, a mianowicie wypchnięcia idei sąsiedztwa, czyli poczucia wspólnoty, przez „święte prawo” własności. Słowem, to jeden z objawów zwycię-



skiego pochodzenia kapitalizmu, w którym sąsiad sąsiadowi raczej wilkiem niż przyjacielem.

Havelka nie ma ambicji pisania wielkiej diagnozy społecznej, ale i tak skóra cierpienie na myśl, że coś takiego porobiło się z nami nie tylko w poszczególnych domach, osiedlach, dzielnicach i miastach. Krystyna Janda z wielką intuicją wybrała na premierę otwarcia Och-Teatru po pandemicznej przerwie sztukę tak boleśnie przylegającą do naszej współczesności.

Tomasz Miłkowski
Jiří Havelka, „Wspólnota mieszkaniowa”, tłumaczenie Michał Sieczkowski, reżyseria Krystyna Janda, Och-Teatr, prapremiera 16 lipca 2020

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Anna Brzeska

Lato w pełni, wielu z nas wciąż przed urlopem. W tym roku w Polsce – jak donosi Wprost.pl na podstawie raportu CBOS – zdecydowanie króluje agroturystyka. Czy jednak na wsi będziemy bezpieczni? Od COVID-19 raczej tak, ale pamiętajmy o innych zagrożeniach. Do najczęściej wymienianych należą żmije zygzakowate – jedyne jadowite węże w Polsce.

Żmije lubią nieużytki

Wśród rolników i działkowców chodzą ostatnimi laty słuchy, że żmij jest coraz więcej – skarżą się na nie zwłaszcza hodowcy, których zwierzęta padły na skutek ukąszeń. Jednak Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska i Główny Inspektorat Ochrony Środowiska nie prowadzą monitoringu liczebności tego gatunku. Możliwe, że lokalnie obserwowane przez rolników czy działkowców częstsze pojawianie się żmij ma związek

Nie należy nacinać miejsca ukąszenia, próbować wysysać jadu ani smarować cebulą.

z pozostawianiem niekoszonych nieużytków lub zmianami w sposobach nawożenia łąk. Bo choć z punktu widzenia ekologii jest to bez wątpienia pozytywne zjawisko, trzeba być świadomym, że żmije jako część ekosystemu również mogą być beneficjentem tych zmian.

Maciej Mażul, przyrodnik z Babiońskiego Parku Narodowego: – Na terenie naszego parku nie obserwujemy wzrostu populacji żmij, co wynika z tego, że jego środowisko znacząco się nie zmienia. Jeżeli chodzi o tereny poza parkiem, jest zupełnie naturalnym zjawiskiem, że jeśli nie kosimy ogródka czy łąki, pojawi się więcej zwierząt. Koszenie i sztuczne nawożenie powoduje bowiem, że wiele żyjących tam owadów, gryzoni czy gadów ginie. Co więcej, w głębokiej trawie znacznie łatwiej im się ukryć przed drapieżnikami – na skoszonym trawniku myszołów wypatrzy żmiję z kilkuset metrów. Dobre warunki do rozwoju powodują też, że zwierzęta zaczynają szukać nowych miejsc, gdzie znaleźć pożywienie.

Uwaga na żmije

Rolnicy i działkowcy mówią, że żmij jest coraz więcej. Skarżą się na nie hodowcy, których zwierzęta padły od ukąszeń

Zachowajmy spokój

Jak tłumaczy przyrodnik, żmije najczęściej można spotkać na obrzeżach lasu i na łąkach. – To zwierzęta zmiennoциenne, szukają więc miejsc, gdzie mogą się wygrzewać na słońcu – wyjaśnia, dlaczego możemy natknąć się na nie na ścieżkach, kamieniach czy nawet asfaltowych drogach. – Charakterystyczny czarny, zygzakowaty wzór na grzbiecie odróżnia tego jadowitego węża od innych węży występujących w Polsce. Najłatwiej go dostrzec u żmij wybarwionych na kolor stalowoszary oraz rudomiedzianych. Trudniejsze jest dostrzeżenie go

Maciej Mażul radzi też, byśmy idąc na łąkę czy górski szlak, zabierali ze sobą choćby znalezione po drodze kije: – Przesuwając przed sobą na ścieżce żdźbła trawy, łatwiej nam będzie wypłoszyć zwierzęta. Dzięki temu zmniejszamy ryzyko nadeptnięcia na nie, a przez to ukąszenia. Pamiętajmy poza tym, że nawet jeśli żmija rzeczywiście zaatakuje nas podczas spaceru, nie jest żadną sprężyną, która rzuci się nam do szyi. Maksymalnie osiąga ona bowiem ok. 90 cm długości i jest w stanie unieść się najwyżej na 30 cm. Stanowi więc raczej zagrożenie dla naszych nóg, jeśli nie mamy wysokich butów czy ochraniaczy. Zdarzają się także ukąszenia dłoni i palców, np. u osób zbierających borówki – warto być więc ostrożnym przy wkładaniu rąk w miejsca osłonięte liśćmi czy trawą.

Według słów przyrodnika w okieśnieniu lęku przed żmijami pomaga świadomość, że jakkolwiek spotkanie z nimi jest możliwe, zwykle kończy się dobrze dla obu stron, czego należy uczyć od najmłodszych lat: – Gdy oprowadzam po parku dzieci, te potrafią dostrzec żmiję nawet w gęstej trawie. Obserwujemy wtedy, jak ucieka przed nami i chowa się w mysiej dziurze. Niestety, ludzie, widząc węża, często chcą od razu go zabić. Warto przypomnieć, że w Polsce wszystkie węże są pod ochroną. Oczywiście jeśli żmija zjawi się w naszym ogródku i w naszym rozumieniu stwarza zagrożenie np. dla dziecka, naturalne jest, że będziemy się bronić wszelkimi środkami.

Gdy nas jednak ukąsi

Co jednak, jeśli mimo ostrożności żmija nas zaatakuje? Na to pytanie odpowiada lekarz z Pomorskiego Centrum Toksykologii szpitala MSWiA w Gdańsku, Michał Patock: – Tu obowiązuje zasada: im mniej zrobimy, tym lepiej. Nie należy więc

u czarnych egzemplarzy. W przypadku spotkania z wężem zacznijmy więc od obserwacji, bo często to, co bierzemy za żmiję, jest niegroźnym zaskrońcem lub padalcem – mówi przyrodnik.

Co zrobić, gdy spotkamy żmiję? Maciej Mażul: – Aby wiedzieć, jak zareagować, należy zwrócić uwagę, jak dany osobnik się zachowuje. Jeżeli żmija jest śpiąca, wygrzewa się na słońcu, postarajmy się ją po prostu obejść lub wycofać się z tego miejsca. Ważne jest, by nie wywołać w niej poczucia zagrożenia. Bo to tak jak z nami: jeśli pocujemy, że jakiś owad gryzie nas w rękę, najczęściej nie patrzymy, z czym mamy do czynienia, tylko odruchowo uderzamy drugą ręką, by usunąć intruza. Podobnie zareaguje żmija.

Przyrodnik podkreśla jednak, że najczęściej żmije nie stanowią zagrożenia dla ludzi: – Zwykle tylko czekają, aż zejdziemy im z drogi, by mogły uciec. Reagują tak, by stracić jak najmniej energii na atak czy walkę.

nacinać miejsca ukąszenia, próbować wysysać jadu ani smarować cebulą. Wszelkie tego typu próby ratowania sytuacji mogą się skończyć dodatkowym zainfekowaniem rany. Co powinniśmy zrobić? Bezwzględnie należy zgłosić się na oddział ratunkowy najbliższego szpitala lub zadzwonić na pogotowie. Nawet jeśli po kilku minutach nic złego się nie dzieje, a osoba ukąszona czuje się dobrze, nie oznacza to, że za pół godziny nie będzie już w ciężkim stanie. Z SOR pacjenci najczęściej trafiają na oddział zatruc, więc jeśli mamy możliwość zawieźć tam pokrzywdzonego od razu – bo mamy taki oddział gdzieś w pobliżu – zróbmy to. Nie

obciążać. Jeśli pokrzywdzony został ukąszony w nogę, nie powinien chodzić – dobrze byłoby więc wezwać pomoc na miejsce zdarzenia. Nie zaleca się też podawać mu samodzielnie żadnych leków.

Groźny jad

– Skutki ukąszenia mogą być różne – mówi dr Patock. – Zaczniemy od tego, że zdarzają się ukąszenia „suche” – żmija kąsa, wprowadzając tylko odrobinę jadu lub nie wprowadzając go wcale. Wtedy, poza miejscowym bólem po ugryzieniu, nie ma żadnych objawów. Jednak jeśli żmija skumuluje dużo jadu – bo przez dłuższy czas

– Jad dostaje się do krwiobiegu, gdzie dość gwałtownie rośnie jego stężenie. Drugim po bólu objawem jest obrzęk. Jeśli żmija ugryzła nas w palec, najpierw puchnie palec, potem opuchlizna przenosi się na dłoń, nadgarstek, przedramię i ramię – zdarza się, że wchodzi na klatkę piersiową czy szyję. Zaburzenia w krążeniu krwi spowodowane przez jad mogą z kolei sprawić, że kończyna jest nie tylko spuchnięta, ale i pokryta krwawymi „siniakami”, rozlewającymi się w okolicy ugryzienia.

Lekarz wymienia jeszcze takie objawy jak ból brzucha, nudności, wymioty i biegunkę oraz te pochodzące ze strony układu nerwowego: zawroty głowy, splątanie, senność, niepokój czy dezorientację.

Michał Patock wyjaśnia również, że ukąszenia w stopę czy dłoń są bezpieczniejsze niż ukąszenia w tułów, twarz, szyję lub genitalia. Teoretycznie ukąszenie może doprowadzić do zaburzeń oddychania i do uduszenia na skutek obrzęku krtani czy skurczu oskrzeli. Zdarzają się też przypadki cięższego przebiegu, doprowadzające do wstrząsu będącego bezpośrednim zagrożeniem dla życia. Jad żmii może powodować poważniejsze skutki u dzieci – te są po prostu mniejsze, więc zwykle bliżej jest od miejsca ukąszenia do szyi czy tułowia – oraz u osób cierpiących na choroby współwystępujące, np. układu oddechowego. Nie można jednak uogólniać, nie każde dziecko musi ucieść mocniej niż dorosły.

Jad żmii niekiedy bywa także – choć to bardzo rzadkie sytuacje – powodem reakcji anafilaktycznych



ma natomiast sensu szukać lekarza pierwszego kontaktu w ośrodku POZ – tam raczej nie będą potrafili pomóc w przypadku ukąszenia żmii.

Jak zabezpieczyć miejsce ukąszenia? – Najczęściej zdarzają się ukąszenia kończyn: nóg, rąk, samych dłoni czy palców. Dobrze jest tę część ciała w miarę możliwości odciążyć czy unieść, np. na temblaku, chuście, bandażu. Dzięki temu ograniczamy powiększanie się obrzęku – wyjaśnia lekarz. – Nie należy jednak kończyny bandażować, wkładać w gips czy inne usztywnienia ograniczające krążenie. Ważne jest przede wszystkim to, by jej nie używać i nie

Jeżeli żmija wygrzewa się na słońcu, po prostu ją ominiemy lub wycofajmy się z tego miejsca.

nie upolowała żadnego gryzonia – ukąszenie może być dotkliwie. Jeśli chodzi o jego widoczne objawy, pamiętajmy, że nie zawsze pojedyncza ranka oznacza, że nie mieliśmy do czynienia ze żmiją. Utało się przekonanie, że po jej ukąszeniu widzimy dwa otwory po zębach, ale nie zawsze tak jest. Żmija mogła wcześniej stracić ząb, wtedy używa tego, który pozostał, i ślad będzie pojedynczy.

Jak tłumaczy lekarz, objawy ukąszenia zwykle rozwijają się szybko:

podobnych do tych, które zdarzają się u osób uczulonych na jad owadów błonkoskrzydłych (np. pszczoł). Michał Patock uspokaja jednak, że już od co najmniej kilku dekad nie zdarzył się w Polsce zgon na skutek ukąszenia żmii zygakowatej. – Nawet w przypadku ciężkich stanów po ukąszeniu medycyna dobrze sobie radzi. Ważne więc, by chory jak najszybciej trafił do szpitala. Najczęściej leczenie trwa kilka dni, czasem nieco dłużej – dodaje. ■

Glukometry do lamusa?

Nowe podejście
do leczenia cukrzycy

Pompa insulinowa daje możliwość lepszego zapanowania nad poziomem glukozy we krwi.



Barbara Jagas

Chorzy na cukrzycę nie zapadają częściej na COVID-19 niż inni, odsetek osób z cukrzycą, które zakażają się koronawirusem, jest taki sam, jak w przypadku osób bez cukrzycy i wynosi 7-8% – mówi prof. Krzysztof Strojek, konsultant krajowy w dziedzinie diabetologii.

Co prawda diabeetycy nie są bardziej podatni na wirusa, ale jeśli już się zakażą, to choroba może mieć u nich bardzo ciężki przebieg, a nawet doprowadzić do śmierci. W jednej z 17 tys. publikacji naukowych, jakie dotąd wyszły na temat koronawirusa, przeanalizowano 355 takich przypadków, które potwierdziły wcześniejsze obserwacje, że na COVID-19 umierają osoby z chorobami współistniejącymi, także z cukrzycą. – Nie wiemy, czy są to zgony spowodowane samą chorobą, czy też powikłaniami, jakie ona powoduje. Ale faktem pozostaje, że cukrzyca ma na pewno negatywny wpływ na przebieg COVID-19 – mówi prof. Strojek. Naukowcy podkreślają przy tym, że przebieg COVID-19 u pacjentów z dobrze wyrównaną cukrzycą jest taki sam jak u osób zdrowych. – Dopiero niewyrównana, czyli źle kontrolowana, stanowi problem, zwiększając śmiertelność nawet 10-krotnie – podaje prof. Strojek.

Takie osoby powinny więc szczególnie uważać i stosować izolację społeczną jako jedyną profilaktykę przeciwko zachorowaniu, ponieważ nie potrafimy jeszcze leczyć z COVID-19, mimo dużego postępu wiedzy na ten temat. Nadal mamy kłopoty z identyfikacją nosicieli koronawirusa, na wyniki testów czeka się zbyt długo i nie zawsze są one wiarygodne. Nosiciele wirusa są

Ciągłe monitorowanie poziomu cukru to jeden ze współczesnych elementów leczenia cukrzycy.

więc wśród nas i na razie nauka nie ma sposobu na ich rozpoznanie w porę, by uchronić przed zakażeniem innych.

Nie przerywać terapii

Oficjalnie na cukrzycę choruje w Polsce ponad 2,2 mln osób, ale szacuje się, że chorych jest więcej, ok. 3,5 mln – część osób bowiem nie wie o tym, ponieważ choroba może nie dawać przez dłuższy czas objawów. – Dopiero zawał lub udar mogą sprawić, że ktoś się dowie, że ma cukrzycę. Jest wiele takich osób, niestety – mówi prof. Grzegorz Dziada z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Problem osób z cukrzycą nabiera nowego wymiaru w epoce pandemii. Towarzystwa diabetologiczne na całym świecie wydały zalecenia dotyczące postępowania z cukrzycą w naszych czasach. I wszędzie mówi się, aby normalnie kontynuować dotychczasowe leczenie. – Nie ma wskazań do przerywania terapii zarówno z wykorzystaniem leków przeciwcukrzycowych, wstrzyknięć

insuliny, jak i leków hipertensyjnych, co dotyczy osób z powikłaniami w postaci niewydolności serca i nadciśnienia tętniczego – mówi prof. Krzysztof Strojek.

Obecnie większość porad odbywa się telefonicznie lub za pośrednictwem telemedycyny, która intensywnie rozwija się w czasie epidemii. I tutaj zaczęły obowiązywać nieformalne praktyki i zasady, które wynikają z dotychczasowych obserwacji. Lekarze proszą, aby pacjenci byli przygotowani do rozmowy, czyli wiedzieli, jakie zażywają leki, w jakich dawkach je biorą, znali swoje pomiary cukru we krwi. – I mamy apel do pacjentów, aby koncentrowali się na sprawach zdrowotnych, by dać możliwość kontaktu innym

chorym, którzy czekają na konsultację – mówi prof. Strojek.

Non stop pod kontrolą

Lepsze wyrównanie cukrzycy mogłoby nie tylko uchronić diabetyków przed ciężkim przebiegiem COVID-19, ale także zapobiec innym powikłaniom, które prowadzą do groźnych następstw, takich jak udar, zawał, niewydolność nerek, utrata wzroku czy nawet śmierć. Umrzeć można także z powodu hipoglikemii, czyli niedocukrzenia, którego się nie spodziewamy, nie prowadząc ciągłego monitorowania poziomu cukru. Dotyczy to zwłaszcza młodych diabetyków z cukrzycą typu 1, gdzie dochodzi do częstych wahań cukru. Odpowiednią kontrolę i interwencję terapeutyczną zapewniają nowoczesne systemy monitorowania glikemii: FGM – Flash Glucose Monitoring i CGM – Continuous Glucose Monitoring, które od paru lat są obecne także w Polsce.

Pierwszy z nich bada poziom cukru na żądanie pacjenta, drugi robi to non stop. Taki system składa się z trzech elementów: sensora – czujnika, który mierzy poziom cukru, nadajnika – przesyłającego dane, i czytnika, który je odbiera. W zależności od marki funkcję czytnika może pełnić pompa insulinowa, telefon lub odrębne urządzenie. Obydwa systemy dokonują pomiaru poziomu cukru bez wkłuwania, czujniki umieszcza się pod skórą, glukoza badana jest w płynie śródtkankowym, a nie we krwi.

Stałe monitorowanie poziomu cukru to jeden ze współczesnych elementów leczenia cukrzycy. – Nie ma prawidłowego leczenia cukrzycy bez kontrolowania glikemii – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec, kierownik Katedry i Kliniki Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. W leczeniu cukrzycy chodzi bowiem o znormalizowanie poziomu cukru we krwi i utrzymanie tej normy jak najdłużej. – Chcemy, aby nasi pacjenci mieli normę glikemii przez więcej niż 70% czasu i by wynosiła ona od 70 do 180 mg/dl – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec. Chodzi tu o poziom cukru, który mierzony jest o różnych porach dnia. Jeśli przez większość czasu utrzymuje się on na

wspomnianym poziomie, to cukrzycę uznajemy za dobrze kontrolowaną. Prof. Myśliwiec podaje przykład, co się dzieje, gdy tak nie jest. – Jeśli pacjent ma poziom cukru w normie przez mniej niż 10% czasu, to ryzyko retinopatii cukrzycowej, a więc zmian w oczach, wynosi 60%. Norma zmniejsza to ryzyko do 5% i niżej – tłumaczy prof. Myśliwiec. O to właśnie chodzi – cukrzyca dobrze kontrolowana to taka, w której poziom cukru jest ustabilizowany i jak najdłużej utrzymuje się w normie. Problemy zaczynają się, gdy pomimo stosowanych leków poziom glukozy ciągle się zmienia.

Urządzenia nie dla każdego

Dzięki systemom FGM i CGM można wychwycić wahania poziomu glukozy i od razu im zaradzić, stosując dopasowaną terapię. – Możemy wtedy podać odpowiednią dawkę insuliny lub węglowodany czy też zdecydować się na wysiłek fizyczny – mówi Małgorzata Myśliwiec.

Nowoczesne systemy kontrolowania cukrzycy w Polsce są refundowane tylko dla dzieci i młodzieży. W Czechach i na Słowacji dla wszystkich.

Są też inteligentne pompy, które same dawkują insulinę stosownie do poziomu cukru, jaki wykryją, a także alarmują w przypadku groźnego niedocukrzenia po to, by coś z tym zrobić, niektóre z nich po prostu blokują podawanie insuliny.

W systemie CGM, który w sposób ciągły monitoruje poziom cukru, można prognozować tzw. trendy w poziomie glukozy na najbliższe 20-30 minut. – Na ekranie pojawiają się strzałki, które to sygnalizują. Jeśli na przykład strzałka biegnie w dół, wskazując, że cukier spada, możemy zażyć węglowodany, aby nie dopuścić do jeszcze większego spadku glukozy czy też groźnej hipoglikemii – tłumaczy prof. Grzegorz Dzida.

Podobną możliwość dają także systemy FGM, które jednak nie mogą różnicować ilości dostarczanej glukozy, nie są też wyposażone w alarmy. A to dlatego, że nie ma w nich ciągłego monitorowania. Chory musi sam wykazać wolę zrobienia takiego badania, nie pilnuje tego inteligentne

urządzenie. Dodatkowym atutem jest jednak to, że dzięki odpowiednim aplikacjom ktoś może kontrolować nam cukier, gdy np. śpimy. Robią to często rodzice chorych dzieci w obawie przed pojawieniem się niedocukrzenia.

Dzięki systemowi ciągłego monitorowania glikemii wprowadzono jednocześnie nowy termin – jest to tzw. zmienność glikemii. – Już nie patrzymy na wyrwykowy poziom glikemii, który pokazuje glukometr, ale interesuje nas właśnie zmienność glikemii – stopień wahaniasię poziomu glukozy pomiędzy stanami wysokimi a niskimi. Jest to dla nas kolejna informacja o cukrzycy i możliwości wystąpienia groźnych powikłań – mówi prof. Myśliwiec. Jej zdaniem glukometr powoli idzie do lamusa, zwłaszcza, jeśli chodzi o dzieci i aktywnych dorosłych.

Niestety, nie wszyscy diabeccy mają dostęp do ciągłego monitorowania glukozy czy też FGM. Tego typu systemy są refundowane tylko u dzieci i młodzieży – FGM dla

pacjentów od 4 do 18 lat, CGM dla osób poniżej 26 lat. Później pacjent musi wszystko kupić sam, a urządzenia są drogie. Niektóre inteligentne pompy insulinowe kosztują nawet 18 tys. zł. Można więc powiedzieć, że nowoczesna terapia dla dorosłych z cukrzycą typu 1 jest dostępna tylko dla osób bardziej zamożnych.

W tej sprawie daleko nam do innych krajów, takich jak Czechy, Słowacja lub Chorwacja, gdzie system ciągłego monitorowania cukrzycy jest refundowany dla wszystkich – bez ograniczeń wiekowych.

Tymczasem na leczenie powikłań i strat związanych z utratą produktywności wydaje się 7 mld zł rocznie, co wykazują badania dr. n. med. Jakuba Gierzyńskiego, eksperta systemu ochrony zdrowia. Można by te pieniądze zaoszczędzić, gdyby wprowadzić refundację nowoczesnego systemu monitorowania cukrzycy dla osób także powyżej 26. roku życia. Nie mówiąc już o polepszeniu im jakości życia.

Telewizja Dziewcząt i Chłopców

Pomysł najpopularniejszych programów telewizyjnych dla dzieci i młodzieży narodził się w prasie, w „Świecie Młodych”

Sławomir W. Malinowski

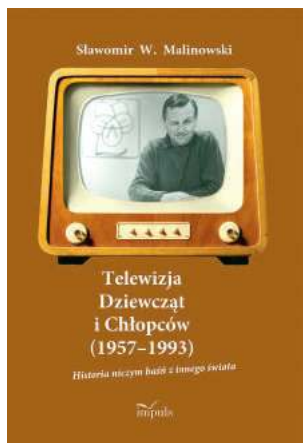
Nie jest pewne, kiedy dokładnie narodziła się Telewizja Dziewcząt i Chłopców. Bo, o ironio, tak naprawdę telewizja ta miała początek w prasie, konkretnie w „Świecie Młodych”. Celowo stawiam akcent na „dokładnie”, ponieważ był to proces trwający kilka miesięcy, no... może rok lub nawet dłużej.

W drugiej połowie lat 50. XX w. w tej harcerskiej gazecie nastolatków pracowało wielu świetnych dziennikarzy: słynny zawiszek Jerzy Kasprzak, propagujący pocztę polową z czasów powstania warszawskiego; Wanda Chotomska, wspaniała autorka książek dla dzieci (ale to okazało się dopiero później), i poeta, niezapomniany Miron Białoszewski. Przyjaźnili się. Białoszewski, jak na człowieka wolnej duszy przystało, kupił sobie motor, pojazd najlepiej pasujący do jego niczym nieskrępowanego postrzegania świata. Urządzali nim wspólne wypadki za miasto. W albumie Chotomskiej zachowało się zdjęcie, ślad szalonych, motocyklowych rajdów. Stoją obok siebie na jakiejś polanie lub poboczu drogi, w tle niezbyt wysokie krzaki. Ona w kasku, z delikatnym, lekko kąśliwym uśmiechem, on wpatrzony w obiektyw aparatu. Wszystko wyjaśnia dopisana później przez Chotomską adnotacja: „Woził mnie na motorze. Przeżyłam”.

Był też w redakcji oddany bez reszty odkrywaniu tajemnic wszechświata i popularyzujący podbój kosmosu Stanisław Borowiecki.

Pracował w niej już także Maciej Zimiński. Przed laty, jako absolwent Rejtana, rozpoczął studia w Szkole Głównej Handlowej, którą później przemianowano na Szkołę Główną Planowania i Statystyki. Jego specjalizacją była organizacja i technika handlu, czyli mógł być ekspedientem w sklepie. Równocześnie jednak zaczął studiować dziennikarstwo. Najpierw w Akademii Nauk Politycznych,

potem na Uniwersytecie Warszawskim. W 1952 r. został absolwentem do kwadratu: i SGPiS, i uniwersytetu. Handlowej żyłki nie miał za grosz, za to talent dziennikarski... olbrzymi! No i dziennikarstwo pociągało go zdecydowanie bardziej. Jesienią 1952 r. trafił do „Świata Młodych”. A po październiku 1956 r. odbyło się zebranie zespołu dziennikarskiego i...



– W drodze demokratycznych wyborów wylaliśmy stare kierownictwo redakcji i wybraliśmy nowe – wspomina pan Maciej. – Szefem został Janusz Domagalik. Jak czas pokaże, był to dobry wybór. Znał się na dziennikarstwie, a do tego rozumiał dzieci i uważał nurtujące je problemy za nie mniej ważne od problemów dorosłych. Może tylko w trochę innej skali. Zastąpił później jako pisarz. Wydał parę naprawdę świetnych książek dla młodzieży: „Koniec wakacji”, „Księżniczka i chłopcy”, „Pięć przygód detektywa Konopki”...

21 czerwca 1957 r. „Świat Młodych” ogłosił pierwszą akcję, ukrytą pod wielce tajemniczym skrótem „W1000P”, czyli... „Wyprawę 1000 Przygód”. (...) A w sierpniu 1957 r. narodziła się w „Świecie Młodych” Niewidzialna Ręka.

Maciej Zimiński:

– Siedzieliśmy całą grupą w redakcji, rozmyślając, jak urządzić

dzieciakom pozostałą część wakacji. Typowa burza mózgów. Ktoś rzucił to hasło, może nawet ja, choć nie jestem pewien, i się spodobało. Natomiast pewien jestem, że miałem szczęście napisać pierwszy tekst obwieszczający jej powstanie. No i chcąc nie chcąc, stałem się, przez przypadek, „ojcem” tej wyjątkowej w skali świata akcji.

13 sierpnia 1957 r. „Świat Młodych” krzyczał z pierwszej strony: „Nasz trop prowadzi na szlak Niewidzialnej Ręki”, a dowództwo „Wyprawy 1000 Przygód” wydało komunikat nr 11: „Wszystkie grupy »W1000P« i indywidualni odkrywcy mają stanąć w dniach i nocach od 15 do 20 sierpnia na szlaku Niewidzialnej Ręki. Przed wyruszeniem na szlak należy: przeprowadzić natychmiast alarmowe zbiórki grup; naradzić się nad projektami; ustalić dokładny plan działania. Po wykonaniu zadań na szlaku Niewidzialnej Ręki należy jak najszybciej oraz dokładnie opisać przebieg akcji i przestać meldunek do Dowództwa. Odkrywcy, którzy dokonają najśmielszych i najpożyteczniejszych czynów, będą mogli stać się członkami plemienia Niewidzialnej Ręki”.

Nie zabrakło oczywiście sugestii: „Na szlaku NR możecie wykonać coś dla jednej osoby, a także dla wielu. (Np. zreperować mostek, zrobić tablicę ogłoszeń przy Gromadzkiej Radzie Narodowej, urządzić kwietnik na podwórku albo piaskownicę dla małych dzieci)”.

Był wszakże jeden warunek: „To, co zrobicie, musi być pożyteczne”. Niewidzialni powinni też działać zawsze wtedy, kiedy ktoś potrzebuje ich pomocy.

Gazeta podpowiadała, by: „najpierw poszukać i popatrzeć. W każdym miasteczku, każdej wiosce, na tej samej ulicy, na pewno jest ktoś, komu pomoc Niewidzialnych się przyda. Może ktoś stary, jak pani Marciniakowa, może ktoś chory. A może też ktoś, kto sam czegoś nie umie wykonać”. (...)

Listy, listy, listy... Góry listów. (...) Jak sobie radzono z zalewem korespondencji? Kto się nią zajmował? Kto odpowiadał na pytania i prośby małych widzów?

– Mechanizm był prosty. Korespondencję dzieliliśmy na poszczególne programy. Odpowiadali na nią sami dziennikarze, a później przynosili w zaadresowanych kopertach do wystania. Wszystkie opatrywano jednym stemplem „Telewizja Dziewcząt i Chłopców; Warszawa 1; Skrytka pocztowa 35”.

Specjalną obsługę, ze względu na niesamowite ilości, miała jedynie Niewidzialna Ręka – podkreśla pani Irena Płochocka. – Tam pomagały dwie starsze panie, już na emeryturze. W ustalony dzień, popołudniem, gdy my kończyliśmy pracę, przychodziły do redakcji i w wydzielonym pokoju rozprawiły się z tą górą listów. Dokładnie je czytały, skrupulatnie segregowały, by na końcu najciekawsze przekazać Jadzi Dąbrowskiej albo Maćkowi Zimińskiemu. Koperty zawierające bilety NR przynosiły w pakietach po 100 sztuk, które obwiązywały gumkami recepturkami. Wszystko wysyłała kancelaria Radiokomitetu. Wykonywały gigantyczną pracę. Nazywaliśmy je „ciociami”. (...)

Lato 1968 r. obfitowało w „Teleferiach” w bogactwo form programowych. Audycja była nadawana dwa razy w tygodniu, każdorazowo po 90 minut, a rywalizacja stanowiła już tylko jeden z elementów przekazu. (...)

Podczas całej telewizyjnej akcji Niewidzialnej Ręki rozeszło prawie 2 mln biletów wizytowych, którymi dzieci podpisywały swoje dobre uczynki. Dzisiaj byli Niewidzialni nie tylko wspominają tę akcję z wielkim sentymentem, ale też podkreślają, jak bardzo zaważyła na ich życiu, stosunku do drugiego człowieka, postrzeganiu świata. Krystian Baron, który wraz z bratem przepisywał ojcu nuty, przyznaje wprost, że udział w NR odwiódł go od zrobienia wielu głupstw. Zbigniew Kapusta, niegdyś z rodzeństwem postrach dzielnicy i źródło wielu utrapień matki, nadal pomaga potrzebującym. „Swoją numer 7651 będę pamiętał do końca życia”, dodaje.

A najstojniejszy Niewidzialny – Antek Koszyk? W Zagórzach obser-

wowałem, jak w milczeniu stał przed bramą byłego Państwowego Domu Dziecka. Opuszczony i zdewastowany budynek straszył głuchą ciszą.

– Po tej akcji – przyznaje pan Antoni – zmieniły się moje marzenia. Zmienił się też stosunek kolegów do mnie, a poza tym nie zależało mi już na imponowaniu komukolwiek. Sztab, ze względu na wyjątkowość czynu, a wówczas zupełnie tak tego nie oceniałem, odtajnił moje nazwisko. Rozdzielali gęby, gdy na podwórzu najpierw zajechała do mnie telewizja, a później dziennikarze z całej Polski. Zacząłem marzyć o wielkiej ciężarówce. Volvo albo mercedesie. No i spełniło się. Przez lata jeździłem wielką cysterną w gorlickiej rafinerii. Teraz wożę prezesa. A ludziom nadal pomagam.

W czasie 25 lat działania Niewidzialnej Ręki nie zdarzyło się, żeby ktoś nadużył jej idei do zrobienia czegoś złego.

Maciej Zimiński:

– Niewidzialna Ręka „prześladuje” mnie do dzisiaj. Dzwonią do mnie z „Życia Warszawy”, „Angory”, „Głosu Nauczycielskiego”, bo czują potrzebę napisania o niej. A nie dalej jak wczoraj rozmawiałem z moim byłym studentem: „Panie Macieju, niedawno w Łodzi jakaś grupa młodych ludzi, w tajemnicy przed prezydentem miasta, zaczęła obsiewać trawniki i nazwali się Niewidzialną Ręką”. Słyszysz, Sławeczku, Niewidzialną Ręką, której od prawie 30 lat już nie ma! Widocznie gdzieś, górnolotnie mówiąc, jej legenda żyje... Można więc z tego wysnuć wniosek – tu powiem straszną herezję – że mimo zlikwidowania przekazania o miłości bliźniego, ponieważ gdy chodzę po ulicy, to tego nie widzę, tkwi w ludziach tęsknota za czymś dobrym. I to jest isierka nadziei, która jeszcze się tli. Mimo to dzisiaj nie wyobrażam sobie wznowienia Niewidzialnej Ręki – w tych sytuacjach społecznych, w tym chamstwie, to-buzerstwie, gdzie pod jej szyldem byłyby robione rzeczy złe, po prostu świństwo. A nam w czasie 25 lat nie zdarzyło się, nie dostaliśmy przynajmniej sygnału, żeby ktoś nadużył jej idei do zrobienia czegoś złego.

Gdy w poniedziałki o 16.15 rozlegał się sygnał „Zwierzynca”, podwórka

pustoszały, a rozłożone przed telewizorami maluchy zapominały o całym świecie. Program, co dzisiaj może wydać się wręcz niepojęte, był czarno-biały, a do tego bez szaleńczych pościgów, latających bohaterów i komputerowych efektów specjalnych. Był za to Pan. Jeden Starszy Pan z sumiastym wąsem, który niezwykle malowniczo opowiadał o zwierzętach i otaczającej nas przyrodzie. Banał – powiecie? Może i banał... Ale jakże piękny! Na pomysł programu wpadł Maciej Zimiński.

– W 1967 r. do któregoś z wakacyjnych wydań postanowiliśmy zaprosić gawędziarza potrafiącego opowiadać o lesie. Niestety, nikt takiego w kręgu znajomych nie mieliśmy. I wówczas jeden z kolegów zasugerował, że w redakcji

Polskiego Radia „Dla tych, co na morzu”, pracuje Michał Sumiński, który jest świetnym gadaczem, wprost niezwykłym malarzem wyobraźni. A przy tym ma o czym mówić. No to go zaprosiliśmy...

Proszę pamiętać, że program nadawano na żywo, więc sprawdzian umiejętności był znacznie ostrzejszy niż teraz, gdy całość jest nagrywana, a w razie wpadki potknięcie można skorygować.

– W studiu postaviliśmy dekorację przedstawiającą leśniczówkę: leżały pnie drzew, na zastawce wisiały rogi jelenia, a w tle stroszył piórka jakiś ptak – kontynuuje pan Maciej. – No i Sumiński pośród tego wszystkiego snuł swą opowieść. O czym? Nie pamiętam, ale zrobił na nas kolosalne wrażenie. Układając ramówkę na sezon 1968/1969, uświadomiliśmy sobie, że w ogóle nie poruszamy tematów przyrodniczych. Mając w pamięci tego genialnego narratora i wspaniałą osobowość kamerową, postanowiliśmy uruchomić „Zwierzyniec”. Jego opowieści, jak i kontakt z widzami, były absolutnie czarodziejskie. (...)

Fragmenty książki Sławomira W. Malinowskiego
Telewizja Dziewcząt i Chłopców (1957-1993).
Historia niczym bań z innego świata,
Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2020



KAMIENICA

ZDJĘCIA MONIKA KRZYSZKOWSKA

XIX-wieczny ostaniec kompleksu pofabrycznego w Łodzi. Żyją tu potomkowie dawnych pracowników przędzalni oraz ludzie, którym miasto przyznało mieszkania komunalne. Kiedyś, za czasów świetności, kamienica była częścią zakładów przędzalniczych

Scheiblerów. Najnowocześniejszych w Europie. Świetnie prosperujących do czasów wielkiego kryzysu w latach 20. XX w. W latach 90. chylące się ku upadkowi fabryki Scheiblera prywatni inwestorzy przekształcili w luksusowe lofty. O tej kamienicy zapomniano.

Kolumny przygotowała
Karina Krystosiak





Mikołaj Buczak

Sorry, no Spanish

Nowi mieszkańcy Hiszpanii

Napływ turystów oraz kryzys gospodarczy, który spowodował m.in. spadek cen nieruchomości, sprawiły, że do Hiszpanii na jeszcze większą skalę niż wcześniej zaczęli napływać nowi mieszkańcy. Brytyjczycy upodabali sobie w szczególności Wspólnotę Walencką, wybrzeże Andaluzji, Wyspy Kanaryjskie oraz Baleary. Uplaszowali się także na trzecim miejscu, jeśli chodzi o liczbę osób rezydujących w Hiszpanii, czyli takich, które przebywają na terytorium kraju dłużej niż trzy miesiące rocznie i mają zezwolenie na pobyt (*certificado de registro*) lub kartę pobytu (*tarjeta de residencia*). Ale co wyróżnia Brytyjczyków na tle innych narodowości, to fakt, że 36,2% z nich to osoby powyżej 65. roku życia, które w Hiszpanii postanowiły spędzić emeryturę, a średnia wieku wynosi 53,1 lat.

Rekord bije prowincja Alicante (Wspólnota Walencka), w której pod koniec 2018 r. rezydowała jedna czwarta (79 466 tys.) wszystkich Brytyjczyków przebywających w Królestwie Hiszpanii. Na drugim miejscu znalazła się Malaga (Andaluzja) – 17,1% (56 651), a na trzecim Baleary – 8,2% (27 269).

36,2% Brytyjczyków to osoby powyżej 65. roku życia, które w Hiszpanii postanowiły spędzić emeryturę.

W obliczu brexitu sytuacja Brytyjczyków, którzy nie mają rozwiązanej sytuacji pobytu (zameldowanie nie jest obowiązkowe), jest zagrożona, a największym ich zmartwieniem jest dostęp do opieki medycznej. No i co się stanie z granicą między Hiszpanią a Gibraltarem, którą codziennie przekracza kilka tysięcy osób?

Hiszpański rząd ma jednak plan, który sprawi, że sytuacja osób mających prawo do stałego pobytu się nie zmieni, i ma nadzieję, że sytuacja polityczna zmusi osoby, którego tego jeszcze nie uregulowały, do podjęcia odpowiednich kroków. Jest tylko jeden warunek, który musi zostać spełniony przez rząd brytyjski: taka sama możliwość dla obywateli Hiszpanii w Wielkiej Brytanii.

Innym problemem emerytów jest związany z zawirowaniami politycz-

nymi słabnący kurs funta szterlinga. Emerytury otrzymywane z Wielkiej Brytanii są dla większości jedynym źródłem dochodu, za który z miesiąca na miesiąc mogą pozwolić sobie na coraz mniej. Dlatego też niektórzy decydują się Hiszpanię opuścić, a przynajmniej odłożyć marzenie o spokojnej starości i wstrzymać się z decyzją do całkowitego finału brexitu. Oficjalne wyjście Wielkiej Brytanii 31 stycznia 2020 r. nadal nie rozwiązało wielu kwestii, ponieważ umowa zawarta z Unią Europejską jest jedynie tymczasowa i obowiązuje do końca 2020 r. Prawdziwe zmiany, które wejdą w życie od 1 stycznia 2021 r., mogą jednak okazać się dla wielu brytyjskich firm i obywateli na terytorium Hiszpanii katastrofalne w skutkach.

Według badań Languages for The Future z 2017 r. hiszpański jest językiem, który po opuszczeniu Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię stanie się głównym faworytem w batalii o tytuł *lingua franca*. Przewiduje się

także, że w niedalekiej przyszłości w wyścigu o najpopularniejszy język obcy wśród brytyjskich uczniów wygra wśród hiszpański, przegrywając francuski i niemiecki. Mimo że nie ma żadnych oficjalnych i rzetelnych badań na ten temat, można zaryzykować stwierdzenie, że większość Brytyjczyków mieszkających w Hiszpanii nie zna języka Cervantesa. Powodów jest kilka. Pierwszy z nich to na pewno fakt, że większość tych ludzi to emeryci, którzy nie przyjechali do Hiszpanii, aby ślęczyć nad gramatyką i wkuwać słówka. Po drugie, Brytyjczycy opanowali konkretne miejscowości, gdzie bardzo często stanowią wysoki procent ogółu mieszkańców. Mieszkają blisko innych rodaków i spędzają z nimi czas. Po trzecie, emerytura to też biznes. Zawsze tam, gdzie są duże skupiska

Brytyjczyków, są też bary, restauracje, sklepy, gabinety lekarskie, agencje nieruchomości itd., w których obsługa mówi w języku angielskim. W niektórych miasteczkach i miastach nawet informacje przesyłane pocztą, np. z gazowni, są w języku angielskim. Ostatnim powodem jest popularność Hiszpanii jako destynacji turystycznej. Rynek hotelarstwa i gastronomii wymaga od pracowników znajomości angielskiego, ale także tłumaczenia wszystkich informacji na *lingua franca*.

Musimy też pamiętać, że prawdą jest, iż Hiszpanie nie są prymusami w nauce angielskiego, ale Brytyjczycy w statystykach Eurostatu wypadają jeszcze gorzej, jeśli chodzi o naukę języków obcych. Tylko 34,6% osób w wieku 25–64 przyznaje, że zna bardzo dobrze co najmniej jeden język obcy (Hiszpania – 54,3%; Polska – 67%). Karen Maling Cowles, przewodnicząca Stowarzyszenia Brytyjskich Przedsiębiorców w Benidorm (Asociación de Comerciantes Británicos de Benidorm), w wywiadzie dla portalu Ideal również zauważa, że „są tu [w Benidorm] bary, które wyglądają bardzo brytyjsko albo są replikami angielskich pubów. I dlatego ludzie tam chodzą. W ciągu 27 lat, które spędziłam w Hiszpanii, widziałam ogromny brak integracji i to, jak Anglicy żyją w zamkniętych społecznościach”. Coraz więcej miejscowości, w których osiedlają się Brytyjczycy, przestaje być wymarzonym, spokojnym rajem, a zamienia się w epicentra nieodpowiedzialnej turystyki. Nie tylko Magaluf, Lloret de Mar czy Majorka, także Benidorm znalazło się na ustach wszystkich ogólnokrajowych i światowych mediów w 2018 r. za sprawą osobliwego pomysłu brytyjskich turystów. Grupa mężczyzn urządzająca w Benidorm wieczór kawalerski zapłaciła niecałe 100 euro Tomkowi – bezdomnemu z Polski – za wytatuowanie sobie na czole imienia oraz adresu zamieszkania pana młodego. Sprawa wstrząsnęła Hiszpanią, a Karen



Maling Cowles postanowiła zorganizować zbiórkę na usunięcie tatuażu oraz pomoc w leczeniu alkoholizmu poszkodowanego mężczyzny.

Die deutsche Kolonie

Niemcy nie przeprowadzają się do Hiszpanii aż tak licznie jak Brytyjczycy, ale i tak plasują się na siódmym miejscu (169 661 osób), jeśli chodzi o liczbę rezydentów, a średnia wieku wynosi 47,9 lat. Prawie jedna piąta (31 023 osób) z nich postanowiła osiedlić się na Balearach, które już kilkanaście lat temu stały się także popularną destynacją wakacyjną dla młodych Niemców. Na tyle popularną, że nazywana jest prześmiewczo 17. niemieckim landem, a linia lotnicza EasyJet postanowiła promować ten kierunek hasłem reklamowym, za które następnie musiała przeproszać: „Najpiękniejsze w Niemczech: Majorka”. I mimo że Niemcy, w przeciwieństwie do Brytyjczyków, problemów z językami obcymi nie mają, to kwestia braku integracji dotyczy również ich.

Trudno jednak stwierdzić, kiedy tęsknota za ojczyzną przeradza się w coś w rodzaju kolonizacji. I kiedy tęsknota jest prawdziwa, a kiedy to tylko biznes, na który jest popyt. Restauracje z niemieckimi szlagierami w tle, bary z currywurstem, niemiec-

kojęzyczny tygodnik „Mallorca Magazine”, a i Oktoberfest się znajdzie. Czym byłaby wyspa bez króla? Oczywiście niemieckiego króla nie tylko muzyki, ale także Majorki. Przydomek *König von Mallorca* nadany został popularnemu piosenkarzowi Jürgenowi Drewsowi w 1999 r. w bardzo popularnym niemieckojęzycznym programie telewizyjnym „Wetten, dass...?”. Król Majorki postanowił więc założyć restaurację Kultbistro König von Mallorca, w której goście mogą nie tylko zjeść sznycła i posłuchać niemieckich hitów, ale także na własne oczy zobaczyć kiczowatą perlę i koronę króla.

Baleary nazywane są prześmiewczo 17. niemieckim landem.

Język niemiecki również musiał się dostosować do nowej sytuacji. I tak powstało słowo *Ballermann*, pochodzące od hiszpańskiej nazwy baru na plaży w stolicy Majorki, Balneario No. 6 (dosł. Uzdrowisko nr 6) oraz niemieckiego czasownika *ballern* (nawalić się, strzelać, łomotać). *Ballermann* ma kilka znaczeń, może oznaczać po prostu ten jeden konkretny bar, ale także część plaży miejskiej w stolicy Majorki, która od kilkudziesięciu lat jest licznie odwiedzana przez niemieckich turystów.

Upodobali sobie ją do organizowania imprez na plaży i picia przez długie słomki sangrii z plastikowych wiader (niem. *Eimersaufen*).

Ze względu na nasilający się problem z zachowywaniem się głośno turystami w 2014 r. wprowadzono zakaz picia własnych napojów wyskokowych na plaży, a w 2020 r. zakazano sprzedaży alkoholu w okolicznych sklepach między 21.30 a 8.00.

Niemiecki aktor Markus Oberhauser w 2013 r. wcielił się w postać reportera Wolfganga Maiera i dla nieistniejącej telewizji FTL, nazwą i logo do złudzenia przypominającej RTL, postanowił sprawdzić, jak rzeczywiście

jest na Majorce. W pięciominutowym prześmiewczym „reportażu” przechadza się po stolicy wyspy, przeprowadzając wywiady ze swoimi rodakami. Jednak to, co miało być żartem, pokazało dość smutny obraz wielu niemieckich turystów. Ważną obserwacją z ośmieszającego Niemców reportażu Maiera jest to, że gdy zwraca uwagę, iż zachowania wielu w Niemczech byłyby niedopuszczalne, słyszy: „No, ale tu przecież możemy”.

Turyści prędzej czy później odjadą, a stali mieszkańcy pozostaną. ▶

► Osoby starsze, które postanowiły spędzić emeryturę na Majorce, nie są nią specjalnie zainteresowane. Liczą się łagodny klimat i święty spokój. Joachim Wagner, przewodniczący stowarzyszenia Ciudadanos Europeos de Baleares (Europejscy Obywatele Balearów), który na Majorce przeprowadził się ponad 30 lat temu, próbuje tłumaczyć, dlaczego tak jest. W wywiadzie dla „Diario de Mallorca”, zapytany, czy Brytyjczycy i Niemcy mają problem z integracją, zauważa, że „prawdą jest, że niektóre z tych miejsc przypominają małe getta tych narodowości, co wydaje się jednym z problemów. Mieszkając obok siebie, nie muszą uczyć się języka, a to może mieć bardzo negatywne skutki. Co więcej, prawie każda narodowość ma własne stowarzyszenie. Jednym

Przyjeżdżają, zamykają się w tych swoich małych sklepach z telewizorami i ani pogadać sobie nie można”, mówi mi znajomy Galisyjczyk, gdy rozmawiamy o Chińczykach w Hiszpanii.

Przechadzając się głównymi ulicami większych i mniejszych miast, łatwo można zauważyć, że królują tam sklepy międzynarodowych marek, salony fryzjerskie, restauracje i bary. Jednak gdy tylko wejdziemy w jakąkolwiek boczną uliczkę, sytuacja się zmienia. To właśnie tam, pomiędzy sklepami żelaznymi, Chińczycy najczęściej otwierają podwoje swoich sztabowych biznesów w Hiszpanii: restauracji, mikroskopijnych całodobowych minimarketów z przekąskami, alkoholem i napojami oraz sklepów wielobranżowych z tekstyliami

ostatnich dostępnych danych z 2008 r. prawie 70% z nich pochodziło z powiatu Qingtian w prowincji Zhejiang położonej na wybrzeżu Morza Wschodniochińskiego.

Również hiszpańskie uniwersytety mierzą się z problemem, który same stworzyły. Podczas gdy w 2003 r. w szkołach wyższych studiowało 200 osób pochodzenia chińskiego, w 2016 roku było ich już ponad 8 tys. Dane te jednak wliczają studentów, którzy przyjeżdżają do Hiszpanii tylko po to, aby uzyskać dyplom europejskiego uniwersytetu, który w Chinach daje większe możliwości na rynku pracy. Studenci ci muszą też ponosić dwukrotnie wyższą opłatę za studia niż Hiszpanie.

Jaki jest więc problem? Bariera językowa i nielogiczne postępowanie szkół wyższych, które chcą przyciągnąć zagranicznych studentów, nie wymagają certyfikatów znajomości hiszpańskiego. Egzamin językowy są farsą. Doprowadziło to do groteskowej sytuacji, w której na niektórych kierunkach większością studentów są niepotrafiący wypowiedzieć się po hiszpańsku Chińczycy. Uniwersytety przemykały na to oko, praktycznie rozdając dyplomy. Nie chodzi jednak tylko o szkoły prywatne, ale także tak uznane w świecie naukowym jednostki jak Uniwersytet Comptense w Madrycie. *Business is business*.

Co stoi na przeszkodzie integracji mieszkających od wielu lat w Hiszpanii Chińczyków? Głównie to, że są zamkniętą społecznością. Język, tradycja i kultura są wpajane młodemu pokoleniu, które urodziło się i wychowało w Hiszpanii, co oczywiście ma swoje pozytywne strony. Nie można wyzbyć się swojego pochodzenia. Wydaje się, że *chiñoles*, jak się ich nazwa, z połączenia słów *chino* (Chińczyk) i *español* (Hiszpan), chcą innego życia niż ich rodzice i dziadkowie. Będą musieli jednak sami zdecydować, jaką rolę chcą odegrać w hiszpańskim społeczeństwie.

Obecność Chińczyków w Hiszpanii jest przykładem jednej z mniej udanych integracji.

z większych wyzwań dla Ciudadanos Europeos de Baleares jest zintegrowanie ich, ale wierzę, że wydarzy się to dopiero za kilka pokoleń. Emeryci mieszkający tutaj nie za bardzo chcą zmieniać swoje przyzwyczajenia, ale z młodymi ludźmi jest już zupełnie inaczej”.

Wagner przyznaje także, że stara się uświadamiać tym, którzy na Majorce chcą się przeprowadzić, iż muszą znać chociaż podstawy języka, ponieważ „ci, którzy tu przyjeżdżają, muszą się zintegrować. To logiczne, że ten, kto przyjeżdża jako gość do czyjegoś domu, postępuje zgodnie z zasadami, które w nim obowiązują”. Mam jednak wrażenie, że te życzenia są dość utopijne. Dopóki Majorca i inne miejsca będą atrakcyjnymi lokalizacjami na spędzenie emerytury, nie uda się zmusić nikogo do integracji z lokalną społecznością, jeśli jej nie potrzebuje. Tak samo wielu Polaków wyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych nie nauczyło się nigdy angielskiego, mimo że mieszkają tam nawet kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Na ile jednak takie postępowanie jest realnym zagrożeniem dla miejscowych kultur i tożsamości, czy to narodowej, czy regionalnej?

Chiñoles

„Nie, nie, to oni są dziwni, nie my. To oni nie potrafią się zintegrować.

z Chin. Takie stacjonarne Aliexpress, w których można kupić wszystko: od przebrania na Halloween dla niemowlęcia przez środek do udrażniania rur po gipsową figurkę Matki Boskiej z przylepionymi do płaszcza różyczkami z niebieskich wstążek.

Chińczycy stanowią piątą najliczniejszą grupę imigrantów w Hiszpanii, a oprócz tego najchętniej ze wszystkich decydują się na otwarcie tu własnej firmy. W 2013 r. wskaźnik ten wynosił prawie 47%. Obecność Chińczyków w Hiszpanii jest także przykładem jednej z mniej udanych integracji, która w przypadku innych nacji rzadko kiedy stanowi problem. Spośród imigrantów w drugim pokoleniu, których rodzice przybyli do tego kraju, to właśnie Chińczycy (oraz Boliwijczycy) najmniej czują się Hiszpanami.

Fala imigracji Chińczyków do krajów Europy Zachodniej skierowała się w latach 80. ubiegłego wieku głównie do Włoch i Francji. Gdy rynek był już nasycony, Chińczycy zaczęli osiedlać się w Hiszpanii i tam zakładać swoje firmy. Bum turystyczny i gospodarczy na początku XXI w. sprawił, że otwierało się ich coraz więcej i potrzebne były ręce do pracy.

Rozwiązanie? Ściągnięcie członków rodziny czy znajomych. W ten sposób chińska społeczność sukcesywnie się powiększała. Według

Fragmenty książki Mikołaja Buczaka *Sobremesa. Spotkajmy się w Hiszpanii*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2020



Czaputowicz mówi, że chce odejść

To humorystyczna deklaracja. Otóż minister Czaputowicz w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” oświadczył: „Uważam, że to dobry moment na zmianę na czele naszej dyplomacji”. Tym samym zadeklarował swoją dymisję. I teraz warto zapytać: czy zrobił to dlatego, że ma już dość kierowania MSZ, czy też – przeciwnie – wie, że go odwołają, więc żeby zachować twarz, uprzedza ten ruch?

Ha! Gdyby miał dość kierowania MSZ, to nie chodziłby po mediach i nie zwierzał się dziennikarzom, tylko odszedł. Na z góry upatrzone stanowisko, które by sobie załatwił. Tak jak Teresa Czerwińska odeszła ze stanowiska ministra finansów. Zresztą nic ze środka MSZ nie zapowiadało, że Czaputowicz ma dość ministrowania. Można wręcz odnieść wrażenie, że był zadowolony z sytuacji, która się wytworzyła. Że wprawdzie niewiele ma w sprawach MSZ i polityki zagranicznej do powiedzenia, ale w związku z tym niewiele spoczywa na nim obowiązków. Poza tym na tle wiceministrów, którzy przyszli do MSZ z zewnątrz i na polityce zagranicznej zupełnie się nie znali – mógł uchodzić za głowacza. To mu odpowiadało, choć miał pretensje do wiceministrów, że nie ma własnej wizażystki, a inni w rządzie mają.

Sporo na temat zmiany w MSZ powiedział też Andrzej Duda. W telewizji Polsat stwierdził, że „jeżeli Krzysztof Szczerski otrzyma propozycję bycia ministrem spraw zagranicznych i będzie chciał z niej skorzystać, to zostanie ministrem”.

Po takiej deklaracji trudno przypuszczać, by Mateusz Morawiecki nie złożył Szczerskiemu, szefowi Gabinetu

Prezydenta, stosownej propozycji... Ba! Można rzec, że wszystko jest już między panami dogadane, w związku z czym Jacek Czaputowicz został odstrzelony. I za parę tygodni, po wakacjach, tak jak to PiS zapowiada, rekonstrukcja rządu nastąpi i pożegnamy się z ministrem.

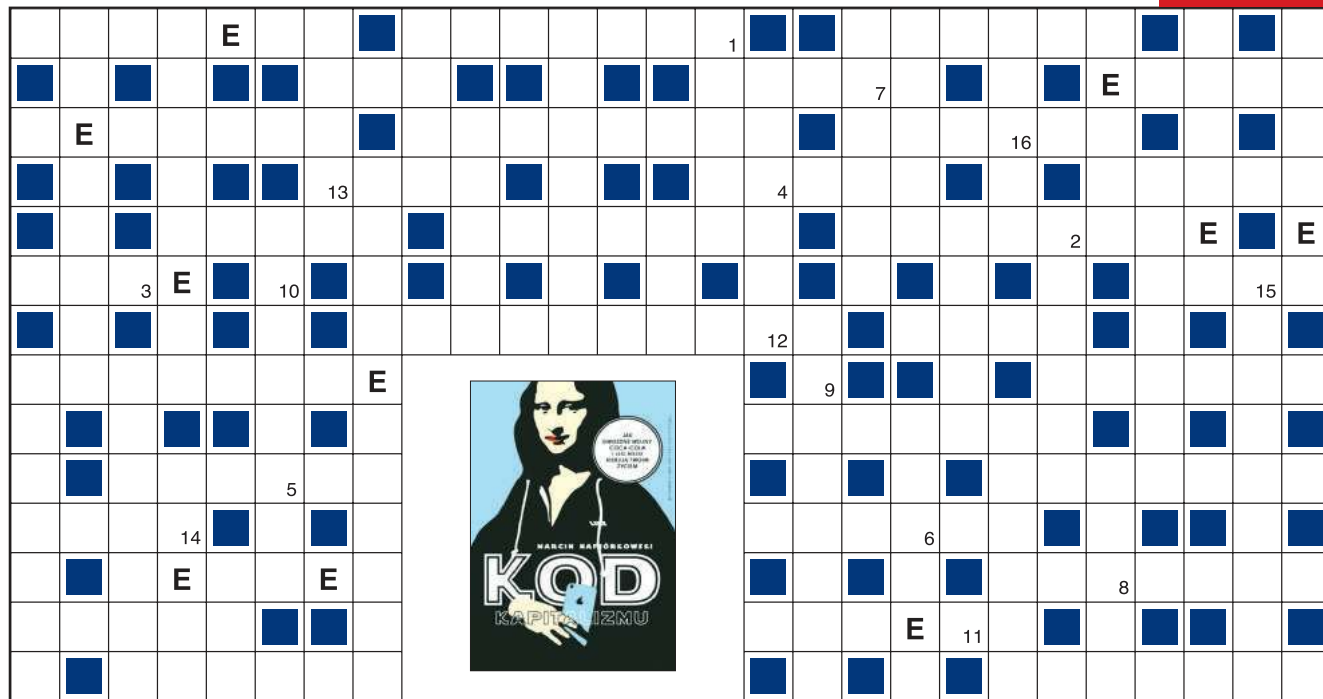
Ale nie mówmy hop, bo choć sprawa jest już chyba jasna, mogą zainterweniować siły tajemne. Po pierwsze, może zainterweniować Jarosław Kaczyński – choćby po to, by pokazać prezydentowi i premierowi, kto tu rządzi. Okazja sama wpada mu w ręce, bo dla niego MSZ to ministerstwo zupełnie niepotrzebne. Po drugie, swoją rolę odegrać może ciężące nad Szczerskim fatum. Od kilku ładnych lat ten prezydencki minister stara się o różne posady: miał być zastępcą sekretarza generalnego NATO, miał być komisarzem w Unii, miał być w ONZ, wszystko było niemal ogłaszane (czyli dograne) i... mijał się z posadą. Wybierano kogo innego. Jak ktoś ma takie go pecha, to warto podchodzić ostrożnie do kolejnych spekulacji na jego temat. Po trzecie wreszcie, Szczerski ma pecha, a Czaputowicz – szczęście. On przecież posadę ministra spraw zagranicznych otrzymał przez przypadek. Sam Kaczyński nazwał go eksperymentem. Potem parokrotnie go już zdejmowano, ale zawsze coś stanęło na przeszkodzie i utrzymywano *status quo*. Zawsze się wywijał, chyba głównie dlatego, że różne pisowskie koterie nie widziały w nim zagrożenia, jego słabość i niemrawość były jego siłą. Kończyło się na tym, że lepszy on niż konkurent z innej frakcji.

Teraz przychodzi czas na kolejną tego typu walkę.

Attaché

W kulturze japońskiej gejsze są prawdziwymi artystkami. Bawią gości rozmową, tańcem, śpiewem i grą na instrumentach, również teraz. Mayu i Kioku przed spotkaniem w tokijskiej restauracji Asada.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery E ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 16 utworzą końcowe hasło.

- zielona, gorzka wódka, kiedyś zakazana
- rzeka we Włoszech, a Górna to region
- Jennifer Lawrence lub Saoirse Ronan
- stolica Jordanii
- dykteryjka, faccja
- kurtka jak eskimoski skafander
- wkład do spółki w formie rzeczowej

- jodła pokojowa
- twórca dzieła
- w niej poznaje się prawdziwych przyjaciół
- interes, firma
- czwarta część czegoś, choćby litra
- przyrząd elektronowy o dwóch elektrodach
- wyprawił się tam Napoleon w 1798 r.

- można się trząść się jak ona
- poprzedzony błyskawicą
- Generalny Sił Zbrojnych lub Główny Sanitarny
- potrzebne jest do zrobienia murzynka
- ciężarówka z Tatarstanu
- torbacze o silnych tylnych nogach
- gondola pod balonem
- skłonny do sztydzenia
- figurka z ulic Wrocławia
- zupa z kaszą jęczmienną
- filmowy lub Bostoński
- elegant, strojniś
- prelegentka
- pocieszenia dla tego, kto nie zdobył głównej
- uszu albo na przeciwnika
- jednostka siły

- iść z kimś na nie – być we wrogich stosunkach
- wkładany na albę
- pisali na nim starożytni Egipcjanie
- pozostaje po ścięciu drzewa
- Marco, z ojcem i stryjem dotarł do Chin
- czas, który nastąpi
- metalowe kolce mocowane do butów
- próbowali w nim sił Andrzej Duda i syn Gowina
- „...mniejszości” z Tomem Cruise’em
- pojazd gaśnicowy na ośnieżonym stoku
- i wierna kopia, i odpowiedź
- jedno z najbardziej znanych włoskich dań
- imię Giertycha i Żaluskiego
- Kalisz, Petru lub Terlecki
- obrzęd, ceremoniał

- patrzysz: on, więc go trach! A tu łwica tonie w łzach
- ...Ratched z „Lotu nad kukułczym gniazdem”
- zbiorowisko, nagromadzenie
- zwany też aspiratorem
- maszyna sprężająca, ekshaustor
- pasażerski, wielorybiczny, drobnicowy
- wiekowa liczba
- tg wśród funkcji trygonometrycznych
- walijski, irlandzki lub biały
- ciągnik rolniczy
- odgłowniona i wypatroszona ryba
- ...na przód – odwrotnie
- przeciwieństwo nagrodzenia
- drobna, planktonozerna ryba karpiowata
- stempel lub naklejka w paszporcie
- imię satyryka Laskowika

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość:

czytelny podpis:

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-971”. Do rozlosowania książki „Kod kapitalizmu” ufundowane przez Krytykę Polityczną. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 sierpnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-968” z 12 lipca: W wolności jest odwaga.
Nagrody otrzymują: Łucja Bardoń z Cieszyńska, Witold Klucznik z Suwałk, Beata Kordon z Tychów.

PENETRACJE



KRZYSZTOF MROZIEWICZ,
AUTOR KSIĄŻKI „DELIRIUM
WŁADZY. KTO RZĄDZI, TEN
BŁĄDZI” (FUNDACJA ORATIO RECTA)

Można układać mozaikę z zamachów, pogromów, wojen lokalnych, śmierci i narodzin. To wszystko dzieje się także teraz. Będzie też działać się w przyszłości. Oglądanie tego lub uczestnictwo w procesach powoduje zawrót głowy, o który oskarżamy nie siebie, lecz świat, który nabawił się choroby psychicznej. Otóż świat zawsze wariował i tak już będzie wiecznie, z dodatkiem coraz to nowych wariantów, jak np. teraz mamy: wojny klimatyczne. Co do moich tytułów – „Kto rządzi, ten błądzi” wydaje się pewnikiem. Natomiast delirium to skutek odwodnienia („odwładzenia”) organizmu. Władza, odchodząc, zabiera ze sobą zmysły.

zwierciadło **S. MAŁGORZATA
CHMIELEWSKA,**

PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA

Miałam szczęście, moje dzieci są wspieranymi ludźmi. Udało nam się stworzyć taką śmieszną rodzinę. Jeden z moich synów przedstawia się jako „bękart siostry”. Są bardzo dowcipni, a ja uwielbiam ludzi z poczuciem humoru. Robili sobie rozmaite happeningi. Pamiętam, idę kiedyś ulicą, z pięciorgiem, a nawet dziewięciorgiem, bo byli z nami wtedy dzieci mojej przyjaciółki, i one nagle, tak się umówiły, na środku Nowego Świata zaczynają krzyczeć do mnie: „Mamo”. Ja w habicie, cała ulica

ogłąda się na nas, szepczą coś pod nosem. Znakomite! Bardzo się kochamy.



HENRYK MARTENKA,
KOMENTATOR

Duda powinien wiedzieć po wielu latach roboty na odcinku zagranicznym, by nie popisywać się znajomością języka na poziomie początkowym, bo słuchać hadko! Przydałaby mu się szczypta skromności, by nie pchał się na afisz, skoro nie potrafi. Bo jeśli tak Duda w świecie gada po angielsku, to *thank you very much from the mountain...* Rozmowa, w której Duda szczęśliwie niczego nie zdradził – a cóż na Boga mógł zdradzić? Numer komórki Kaczyńskiego? Zawstydzia zdziennienie naszego prezydenta, który tykał jak pelikan absurdu podsuwane mu przez rosyjskich trefniów.



AGNIESZKA GROCHOWSKA,
AKTORKA

Niedawno odebrałam nauczkę od życia: film, w którym zagrałam w Szwajcarii, dostał się do konkursu Tribeca Film Festival w Nowym Jorku. Premiera miała być 18 kwietnia. Planowano spotkanie z Robertem De Niro, który jest jednym z organizatorów Tribeki. Ciągnie mnie ten Nowy Jork, zawsze ciągnął, i nigdy się jakoś nie złożyło, żeby go zobaczyć. Cieszyłam się. Na początku marca przyjaciele zaczęli wzdychać: ten wirus, wiesz, może odpuść Nowy Jork. I co? Okazało się, że to w ogóle nie była moja decyzja. Po prostu zamknięto granice.

Aby język giętki...

PROF. MARCIN KRÓL O CZYTANIU

Nauczenie dziecka przyjemności czytania to jeden z najistotniejszych obowiązków wychowawczych rodziców, bo na inne sprawy mamy niewielki wpływ.

**JUSTYNA KOWALCZYK
O SPORCIE WYCZYNOWYM**

By osiągnąć szczyt, musisz przestać miauczeć, tylko zakasać rękawy, kontuzje traktować jak małe wypadki przy pracy.

**PROF. JACEK RACIBORSKI
O PRZYSZŁOŚCI**

Gdy zaczniesz pękać Zjednoczona Prawica, pęknie też jedność opozycyjnego elektoratu. Napięcia wewnętrzne są bardzo silne w PiS i PO.

**PROF. KRYSZYNA SKARŻYŃSKA
O ANDRZEJU DUDZIE**

Często podnosi głos, być może uważa, że to dodaje znaczenia jego słowom.

DANIEL PASSENT O KOŚCIELE

Od A do Z, od alkoholizmu po zachłanność i zaniechania. Kościół nie jest święty.

MAŁGORZATA SZUMOWSKA O SOBIE

Jestem fighterką, wszystko mnie interesuje. Chciałabym poznawać inne światy.

LEON TARASEWICZ O KICZU

Bardzo lubię, bo kicz dla swoich odbiorców odgrywa tę samą rolę, co sztuka dla społeczeństw rozwiniętych.

ANDRZEJ STASIUK O SPANIU

Szczerze mówiąc, spanie na ziemi przy ogniu na Gobi, w Altaju, zachodniej Mongolii albo w Pamirze jest moim ulubionym sposobem spędzania czasu.

**BEATA ŚCIBAKÓWNA
O RADACH BABCI MARIANNY**

Zanim się zwiążesz z facetem, najpierw go upij – zobaczysz, jaki jest naprawdę.

**JUSTYNA KLIMASARA
O EKSPONOWANIU CIAŁA**

Wkurza mnie to, że ludzi bardziej interesuje mój tyłek niż kwestia pedofilii w Kościele.



Ile czasu trzeba, by zrobić selfie, zwłaszcza gdy wieje silny wiatr, a ty masz długą brodę? USA, Południowa Karolina.

FOT. RANDALL HILL/REUTERS/FORUM

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Pan i Pani z Wami!

W luteranśkim Kościele Szwecji, będącym największą wspólnotą wyznaniową w tym kraju, liczba wyświęconych kobiet przekroczyła właśnie liczbę wyświęconych mężczyzn – kapłanek jest obecnie 1533, a kapłanów 1527. Kapłaństwo kobiet, w obliczu niewielkiej liczby powołań, dopuszczono w 1959 r., a od 2013 r. kraj ma nawet prymaszkę, Antje Jackelén. Niestety, do pełnej równości jeszcze sporo brakuje, gdyż szwedzkie duszpasterki wciąż zarabiają średnio o 2200 koron mniej niż duszpasterze.

Fantazje spuszczone ze smyczy

Nową gwiazdą internetu jest „ludzki szczeniaczek”, prywatnie 21-letnia Jenna Phillips z Teksasu. Na TikToku, a przede wszystkim na płatnej platformie OnlyFans publikuje ona filmiki, na których ku ucieście fetyszystów zajada psie przysmaki, chodzi na smyczy czy gryzie japonki. – Po prostu czuję się jak pies. Chcę się tarzać, aportować, być głaskana, biegać na spacerach itd. Zawsze zachowywałam się jak szczeniak, choć początkowo nie robiłam tego w erotycznym kontekście – tłumaczy dziewczyna. Wyrażanie nietypowej tożsamości przyniosło jej nie tylko szczęście, ale i sukces finansowy. – Moje przychody wzrosły 100-krotnie, od kiedy zostałam zawodowym szczeniakiem – wyznaje Jenna, która wcześniej pracowała w salonie optycznym.

W kaftan przez koszulkę

Bez porównania gorzej wyszedł na internetowej popularności 45-letni obywatel Tajlandii Tiwakorn Vithiton, który umieścił na Facebooku swoje zdjęcie w T-shircie z hasłem „Straciłem całą wiarę w instytucję monarchii”. Jak informuje rodzina mężczyzny, został on siłą zabrany przez policję i pielęgniarzy do szpitala psychiatrycznego. Tył dobrego, że na razie nie postawiono mu zarzutów kryminalnych, choć w dawnym Syjamie za obrazę króla gro-



*Miłość to znaczy popatrzeć na siebie,
Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy,
Bo jesteś tylko jedną z rzeczy wielu.
A kto tak patrzy, choć sam o tym nie wie,
Że zmartwień różnych swoje serce leczy,
Ptak mu i drzewo mówią: przyjacielu.*
Czesław Miłosz, „Miłość”

Nz. zwierzęta z parku narodowego w Botswanie.

zi od trzech do 15 lat więzienia. Promykiem nadziei jest wspaniałomyślność Ramy X, który zwrócił się do rządu o zaniechanie ścigania osób dopuszczających się mniej poważnego obrażenia jego majestatu. Ludzki pan!

Tyłem do zwiedzających

Placówki z całego świata odpowiedziały na wyzwanie angielskiego Muzeum w Yorkshire i rywalizują na Twitterze w kategorii... najfajniejsze pośladki w zbiorach. Jeśli jednak ktoś się spodziewa, że z hasztagiem #Best-MuseumBum publikowane są wyłącznie obrazy i rzeźby atrakcyjnych kobiet i mężczyzn, może się bardzo zdziwić. Szkockie Muzeum Uniwersytetu w Aberdeen postawiło na średniowieczną miniaturę z krowim zadem, a Muzeum Zoologii i Anatomii Porównawczej w Londynie – na puchate pszczele kupry. W Polsce kuratorami, którzy epatują tyłkami, zapewne zainteresowałby się prokurator.

Szlaban na cip, cip i kukuryku

Sąd Okręgowy w Tarnowie ostatecznie orzekł, że kury i koguty ozdobne nie są zwierzętami domowymi i nie mo-





ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyszner
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Zuczkowski

gą mieszkać w bloku. Sprawa dotyczyła osób, które nie mogły spać przez drób sąsiada. Po bezskutecznych interwencjach straż miejska zwróciła się o pomoc do Temidy, powołując się na fakt, że miejscowe przepisy nie pozwalają na trzymanie zwierząt gospodarskich poza wyznaczonymi terenami. Właściciel ptaków bronił się, że są one zwierzętami domowymi, bo wpuszcza je do budynku, zakłada im pieluszki i m.in. wspólnie oglądają telewizję. Sąd podkreślił, że przywiązanie do kur i kogutów jest ujmujące, ale ustawa o ochronie zwierząt ściśle określa pojęcie zwierzęcia domowego – i ukarał miłośnika gdańskania naganą.

Miej okno i patrzaj w okno

Czujesz, że musisz choć na trochę zmienić otoczenie? Dzięki portalowi WindowSwap możesz włączyć na ekranie swojego komputera losowo wybrany widok z okna innego internauty (i w razie potrzeby jednym kliknięciem zamienić go na inny). Każdy zainteresowany może dołączyć do międzynarodowej społeczności WindowSwap, wystarczy nagrać maksymalnie 10-minutowe wideo prezentujące widok na naszą ulicę, podwórko czy ogród. Pomysłodawcy projektu tłumaczą, że portal pozwala wszystkim głodnym podróżowania „poczuć się choć odrobinę lepiej, do czasu aż ponownie będzie można w bezpieczny sposób eksplorować naszą planetę”.



Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chylecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Nadrzecze – Etiuda Ges-dur op.10 nr 5

Co mi w duszy gra

Chopinowi Duda-Gracz

W Domu Urodzenia Fryderyka Chopina w Żelazowej Woli do końca października czynna będzie wystawa prezentująca 34 prace z cyklu „Chopinowi” Jerzego Dudy-Gracza. Artysta malował go w latach 1999-2003, odwiedzając 92 miejscowości w poszukiwaniu pejzaży najbliższych jego rozumieniu muzyki Chopina. Tworząc swój monumentalny cykl, studiował też korespondencję, rękopisy i literaturę dotyczącą kompozytora oraz słuchał utworów w wykonaniu Janusza Olejniczaka. Powstało 313 prac poświęconych wszystkim kompozycjom Chopina. „Mnie zawsze inspirowała wyłącznie Polska. Ja jestem nieuleczalnie chory na Polskę. Cykl chopinowski to nie ilustracje, lecz inspiracje. Podjęcie próby przełożenia dźwięków na barwę, to także złożenie hołdu ukochanemu kompozytorowi”, tłumaczył malarz.



Sulechów – Preludium f-moll op. 28 nr 18



Nadrzecze – Pieśń „Pierścień”
Es-dur op. 74 nr 14



Wielowieś – Etiuda a-moll op. 25 nr 4

DAJ SZANSE NA ŻYCIE.
WSPOMÓŻ
**DOMY POMOCY
SPOŁECZNEJ** ❤️

[HTTPS://POMAGAM.PL/DPSY](https://pomagam.pl/dpsy)

STYLOWY I POETYCKI KRYMINAL NEO-NOIR



CANNES

KONKURS GŁÓWNY



JEZIORO DZIKICH GĘSI

FILM ZDOBYWCY ZŁOTEGO NIEDŹWIEDZIA NA BERLINALE

DIAO YINANA

W KINACH OD 31 LIPCA

AURORA